CAMILLA DEL SOLDATO.

POWIEŚĆ O CZTERNAŚCIORGU DZIECIACH.

NAKŁADEM KSIĘGARNI „CZYTAJ” W ŁODZI.

Powieść o czternaściorgu dzieciach.

Camilla del Soldato.

POWIEŚĆ O CZTERNAŚCIORGU DZIECIACH

Odznaczona 1-szą nagrodą
na konkursie książki
dla młodzieży
szkolnej
w Medjolanie.

Nakładem Księgarni „CZYTAJ" (właśc. K. Pawlak)
Łódź, ul. Prezydenta Narutowicza Nr. 2.

Autoryzowany przekład
dokonany przez
ELESTĘ.

Druk Bolesław Kotkowski i S-ka, Zakłady Graficzne, Sp. Akc.
Łódź, ul. Piotrkowska Nr. 91.

ROZDZIAŁ I.

W którym z konieczności występują osoby dorosłe. Później postaramy się pozostawić je na uboczu. Występuje w nim także i noworodek.

Stary proboszcz pochylił nad nowonarodzonym swą myślącą twarz.

— Ładne dziecko — oświadczył z miną znawcy; — cieszę się wraz z panem. A jakie imię mu dacie?

— Cis — odparł ojciec, lekarz wiejski.

— Dobrze, dobrze — pochwalił proboszcz: — Cis, Ciszek, Franciszek. Ładne imię. W ten sposób pogodzisz pan naszą wiarę chrześcijańską ze swą wiarą wolnomyśliciela. Dobrze, dobrze.

— Przepraszam, wielebny ojcze: nie powiedziałem Franciszek powiedziałem Cis.

— Ach, ach, Cis, Cis... Cis, jakże to?

— Poprostu Cis, tak jak po łacinie Taxus baccata; tak jak memu drugiemu synowi nadam imię Dęba lub Buka.

Dobry proboszcz otworzył szeroko oczy i usta; potem spoważniał i oświadczył spokojnie i stanowczo, że na takie rzeczy zezwolić nie może.

Proboszcz, acz święty człowiek, był w swych poglądach stanowczy i uparty tak samo, jak doktór. Wiedzieli o tem obaj. Więc spokojnie i z zaciętością, spoglądali na siebie w półmroku cichego kościółka, obaj jednako zdecydowani nie ustąpić.

Zakrystjan czekał z kropidłem, książką i solniczką w ręku, przymrużywszy oko i skrzywiwszy usta. Był to człowiek skromny i potulny lecz w chwilach niepokoju i oczekiwania mrużył zawsze jedno oko i wykrzywiał zawsze usta.

Kuma, ładna dziewczyna lat ośmnastu, zbyt ściśnięta w swym odświętnym stroju, zarumieniona raczej z zakłopotania niż ze zmęczenia, czekała z noworodkiem na rękach.

Noworodek z ściśniętemi piąstkami i zamkniętemi oczkami czekał również.

— Tylu jest świętych w kalendarzu — spokojnie podjął znowu proboszcz: — istny nadmiar cnót, jest w czem wybierać...

— Tyle jest drzew, majestatycznych i pożytecznych, które nam mówią o dobroci i wielkości Ducha twórczego — spokojnie odciął się doktór.

— Tylu jest chrześcijańskich bohaterów, których imię jest błogosławieństwem i obietnicą dla noworodka.

— I tyle jest zbawiennych roślin, pełnych cennych soków, a wyższa mądrość umieściła je przed naszemi oczyma, abyśmy się nauczyli...

Zakrystjan, zmęczony mrużeniem prawego oka, zmrużył teraz lewe. Chrzestna, zmęczona trzymaniem niemowlęcia na prawem ramieniu, przełożyła je na lewe. Noworodek, zmęczywszy się milczeniem, począł płakać.

Sytuacja noworodka jest zawsze trudna. Gdy milczy, wszyscy lękają się, że nie oddycha i potrząsają nim, aby zapłakał: gdy płacze, potrząsają nim, aby umilkł.

Rex, piękny wyżeł, wsunął się przez otwarte drzwi, a wraz z nim przeniknął do kościołka promień słońca. Było to sierpniowe popołudnie.

— Co się tu dzieje? — spytał pies zakrystjana grzecznie, w swoim języku.

— Nic, coby się ciebie tyczyło — odpowiedział ów w języku używanym wobec psów w kościałach.

Rex nie był obraźliwy i wybiegł szybko; trzymał ogon trochę ukośnie, jak fuzję, przewieszoną przez ramię. Ale nawet zniknięcie psa nie poprawiło sytuacji. Przeciwnie, rozlegał się coraz głośniejszy płacz niemowlęcia.

Więc zakrystjan otworzył oko i wyprostował usta, pokornie prosząc o pozwolenie zaofiarowania swojego *zapośredniczenia.* Wydawało mu się nietrudnem pogodzić obie przeciwnościowe strony.

— Mówcie prosto i jasno — rzekł jego zwierzchnik, którego ta niepotrzebna kwiecistość stylu wielce niecierpliwiła.

— Niepodobna, księżę proboszczu; gdy mam wypowiedzieć w języku...

Doktór się roześmiał i rzekł zachęcająco:

— A więc wyruszcie z językiem i z myślą.

— Według mojego własnego zdania, co się łączy z przedmiotem sprawy, zdaje mi się, że możnaby nadać mającemu się narodzić... Przepraszam, ale zdaje mi się, że mówię do rzeczy...

— Nie, ale mniejsza o to. Rąbcie dalej — rzekł proboszcz, nie chcąc się irytować w kościele.

— Zdaje mi się, że możnaby mu nadać najpierw imię świętego, a potem drzewa, albo naodwrót. W tym poszczególnym wypadku niemowlę płci męskiej miałoby imię Cisa Franciszka albo Franciszka Cisa jak kto woli.

Na tem stanęło i ceremonja chrztu odbyła się szybko, przyczem zakrystjan wielce się puszył, a chrzestna westchnęła z ulgą; tylko noworodek, czując, iż pokrapiają jego główkę wodą, a do buzi sypią sól, nie zmienił swego postępowania i nie przestał dopominać się o mleko.

— Franciszek Cis — mruczał ksiądz przekonywająco, wtrącając te dwa imiona do uroczystych słów łacińskiego rytuału. Ale maleństwo nie chciało się poprawić. Z ściśniętemi piąstkami protestowało przeciw zabiegom osuszania mu gołej głowiny; uspokoiło się dopiero, gdy poczuło, że mu zakrywają twarzyczkę i wynoszą z kościoła, z czego wywnioskowało, że ceremonja jest skończona i podwieczorek się zbliża.

ROZDZIAŁ II.

W którym występuje dwoje bliźniąt, nie znających się na filozofji. Mają natomiast silne głosy, a to jest najważniejsze w dyskusji.

Cis rósł dumny, wysmukły i prosty. Gdy miał rok, chodził już dobrze, bez obcej pomocy.

I dobrze zrobił; gdyż tymczasem przygotowywano mu w wielkim pośpiechu siostrzyczkę, której dano imię Kalina.

Trzeba wiedzieć, iż tej jesieni, proboszcz, który każdej nocy spieszył do łoża pewnego chorego (tak niecierpliwego, iż nikt nie chciał go pielęgnować) dostał zapalenia płuc, z czego doktór go wyleczył, nie chcąc przyjąć za to żadnego wynagrodzenia. Zupełnie nic. Mało tego; pierwsze drozdy, które proboszczowi wolno było jeść, przysłał mu doktór. A gdy mu wreszcie pozwolił palić, dał mu jednocześnie paczkę pięknego tytoniu, jasnego i pachnącego, istną delicję dla podniebienia proboszcza, odwykłego już od tych przysmaków.

Więc jakże tu spierać się o imię? Ego te baptiso, Marjo Kalino...

Zresztą dwa te imiona brzmiały bardzo dobrze.

Gdy przyszła na świat reszta dzieci — a w piętnaście lat przyszło ich dziewięcioro — kwestji imion już nawet nie poruszano. Proboszcz wybierał swoje imię, doktór swoje i pomiędzy tymi dwoma zacnymi ludźmi wszystko szło jak najlepiej.

W ten sposób proboszcz ochrzcił bez protestu drzewa, krzewy, aromatyczne zioła. Przy dwojgu ostatnich, co przyszły na świat razem, dobry staruszek, teraz już osiwiały, podniósł wgórę drżącą prawicę i pobłogosławił Tymianka i Miętę.

— Dziękuję — rzekł doktór z uśmiechem, — to już ostatnie.

— To dobrze — odparł proboszcz napół poważnie, a napół żartobliwie; — inaczej kazałbyś mi pan jeszcze pobłogosławić tojad i cykutę.

— Nie stałoby się nic złego, wielebny. I te rośliny zrobiły i robią ciągle dużo dobrego. Nie mówiąc o tem, iż niewielu wspominałoby Sokratesa, gdyby nie ta błogosławiona filiżanka z cykutą, która mu pomogła uwolnić się od swarliwej żony i kruchego już życia.

— Uwolnić się, uwolnić się... — mruczał proboszcz. — Nie mówi się uwolnić. Życie to nie płaszcz, który można zrzucić, gdy się wyda zbytecznym. To konieczność. Nie nam przystoi wyrokować, kiedy należy z niem skończyć.

— Konieczność — którą, jednak narzucono nam bez naszej wiedzy.

— Nieprawda. Wybraliśmy sami. Pan wie...

Lecz w tym punkcie sporu, Tymian i Mięta rozpoczęli pomiędzy sobą sprzeczkę znacznie głośniejszą od tej, jaką wiedli dwaj starzy przyjaciele; a ponieważ dwoje noworodków miało krzepkie głosy, trzeba było pozostawić filozofję w spokoju.

ROZDZIAŁ III.

W którym nareszcie nie występują osoby dorosłe. Prawda, że w końcu ukazuje się ciocia Julcia, ale ona nigdy nie była osobą dorosłą.

Miejscem zebrań w pogodne popołudnia jest kraj lasu, przy pagórku, pokrytym murawą; można tam wybornie ukryć się i zniknąć, gdy wołają i gdy nie starczy miejsca w spróchniałym pniu kasztana.

Latem przychodzi się tu w sandałach, a jeszcze lepiej boso, w zimie w obuwiu na drewnianych podeszwach, — zawsze ubranym lekko. By stawić czoło słocie, niemasz lepszej materji nad własną skórę; sama się reparuje, bez igły i nici.

Towarzyszem zabaw jest teraz inny Rex; tamten spoczywa w ziemi za domem, gdzie został pochowany z należnemi honorami.

— Nie wiem, dlaczego — rzekł Buk, poprawiając sobie spodenki, przytrzymywane tylko przez jedną szelkę, i przez to uparcie opuszczające się z jednej strony więcej, niż z drugiej; z tej przyczyny musiał przestać drażnić chrząszcza, którego położył przed sobą nawznak: — nie wiem, dlaczego ciocia Julcia powiedziała: Tem lepiej.

— Kiedy? — zapytał Cis, podnosząc oczy z ponad Księgi Dżungli.

— Gdy była mowa o bliźniętach.

— Tem lepiej? spytała Różyczka, rozbierając dwie anemiczne lalki, aby, stosownie do rady tatusia, poddać je słonecznej kuracji.

— Lepiej, że się urodziło dwoje naraz, niż jedno po drugiem — rzekła Kalina; — ale mnie się zdaje, że gdyby przyszło jedno, byłoby mniej roboty.

— To taka sama przywara, jak każda inna — oświadczył Mak, który położył się na brzuchu, aby lepiej grzebać w mrowisku.

— Co?

— Mówienie: tem lepiej. Tak jak i proboszcz mówi zawsze dobrze, dobrze, nawet wówczas, gdy jest źle, źle.

— Ty nie krytykuj, bo sam masz gorsze przywary — upomniała go Kalina.

— Naprzykład jakie? — spytał brat napoły zdumiony, napoły obrażony.

— Choćby dłubanie w nosie — odparła Różyczka.

— To nie jest przywara: to potrzeba czystości — odciął się poważnie badacz mrowiska.

Wszyscy się roześmiali.

— A ja mówię, że gdyby zamiast dwojga noworodków urodził się jeden...

— Ha, ha! posłuchajcie: rodzi się dwoje noworodków — szydził Buk, większy pedant pod względem języka, niż szelek.

— A więc? z czego się tu śmiać? Co takiego powiedziałem?

— Nie mówi się: rodzi się noworodek — pouczał Cis, śmiejąc się — skoro jest noworodkiem, wiadomo, że się urodził.

— Nudzicie mnie! chciałem powodzieć, że gdyby zamiast dwojga bliźniąt, urodziło się jedno...

— Ha, ha! Jedno bliźnię? Przecież wtedy już nie jest bliźnięciem!

— A ja, gdybym był noworodkiem, tobym się wstydził — oświadczył Mak z przekonaniem, nie przerywając swych badań.

Ogólne zdumienie i wesołość.

— Ale dlaczego?

— Dlatego.

— Głupi.

— Być, czy nie być noworodkiem — rzekł Buk pogardliwie: — Co za śmieszna rozmowa! Pfe!

— Dalej, powiedz, dlaczegobyś się wstydził?

— Dlatego, że noworodek nie umie sobie z niczem sam poradzić; a potem robi tyle brudu.

— O, biedactwo! — zawołała Różyczka litościwie.

— Wcale nie biedactwo! To jest niedołęstwo, to wada. Spójrzcie na nowonarodzone kocięta! Czyściutkie, aż miło! Natomiast niemowlę ludzkie...

— Ba, co robić? Jeśli takie przeznaczenie, czego się tu wstydzić? Ty także, gdy byłeś noworodkiem...

— Ja nigdy nie byłem...

Drugi, gwałtowniejszy wybuch śmiechu, któremu towarzyszyło oderwanie się guzika od szelki Buka, przerwał protest Maka.

— On, rozumiecie? on — oświadczył szyderca Buczek, majstrując przy szelce i reszcie swej garderoby — mówi, iż się nigdy...

— Ależ tak, napewno! Mama powiedziała.

— Co mama powiedziała? Że nie byłeś nigdy noworodkiem?

— Jesteście głupcy! Mówię, że mama powiedziała, że ja...

— Że ona, że ty, że my...

— Dalej — zakomenderował Cis — pozwólcie mu wyjaśnić.

— Że ja nie robiłem nigdy tego... co robią noworodki.

Tutaj niewiadomo dobrze, co nastąpiło. Tarzanie się po trawie, fikanie nogami, pozostawienie spodni i mrowiska własnemu losowi. Kalina też opuściła druty swej ręcznej robótki. Tylko Różyczka, bardzo zajęta swemi dziećmi, które się niby opalały, lecz stawały się coraz bledsze, odziewała je śpiesznie, nie troszcząc się więcej o rozmowę.

— Więc ty utrzymujesz — rzecze Cis, pierwszy przestając się śmiać, — że nigdy nie robiłeś tego, co....

— Nigdy.

— Rany boskie! Co za żyjący fenomen!

— Tak, tak, mama powiedziała to pewnego dnia do tatusia. Powiedziała: Mak był zawsze czysty, jak dorosły.

— Tam-tam, dzieci, tam-tam! Prędko, schowajmy się! Zniknijmy!

— Ja biegnę też do dużego kasztana!

— Nie, tam będzie zbyt ciasno. Prędko! Idź do drugiego!

— Cicho wszyscy! Biada, jeśli kto zawoła kuku.

— O, mój kłębek... Poczekajcie aż go złapię. Jak go zobaczy, — zgadnie.

— Różyczko, pośpiesz się... Nie, nie, już nie zdążysz... Tam-tam się zbliża... Masz go! Zostań tu, ale milcz. Jeśli nas zdradzisz, rozpruję dziś w nocy brzuchy twoim lalkom.

Czworo dzieci zniknęło. Chrząszcz odzyskał swobodę. Mrówki

dziękowały Opatrzności. Różyczka z opuszczoną głowę oddała się trosce o swe dzieci.

Ukazuje się ciocia Julcia z tam-tamem, przewieszonym przez ramię, z koszykiem na ręku i dwojgiem dzieci, które się uczepiły jej spódnicy. Stawia koszyk na ziemi, rozgląda się dookoła dużemi, szaremi, wesołemi oczami i wzdycha: — Scena opustoszała.

— Opustoszała — powtarza Różyczka, nie podnosząc głowy.

— A ty, oczywiście, nie wiesz, gdzie są twoi bracia.

— Ech... Bo...

— Ech... Bo — powtarza ciocia Julcia: — Zrozumiałam doskonale. Ale to nic. Nawet tem lepiej.

ROZDZIAŁ IV.

W którym okazuje się cioci Julci pewne względy, nie rozgłaszając wszyskich jej przywar. Dowiadujemy się nawet, dlaczego lubi mówić: Tem lepiej.

Pomimo całego szacunku, jaki jestem winna cioci Julci, muszę wam powiedzieć, iż wielkie są u niej tylko dwie rzeczy: oczy i dobroć.

Oczy są nawet za duże w tej twarzyczce drobnej i bladej; dobroć, jak wiecie, zajmuje wogóle mało miejsca i bardzo jej dużo może się zmieścić w najmniejszej osóbce.

O wieku cioci Julci nie będziemy mówili, gdyż to jest bez znaczenia. O ile idzie o jej postać, gdybym ją wam określiła w centymetrach, mogłabym jej sprawić przykrość. Ciocia Julcia występuje w tej książce z grzeczności dla mnie i pragnę, aby się tu czuła dobrze, aż do ostatniego rozdziału.

Jeśli jesteście ciekawi jeszcze innych szczegółów, zwróćcie się gdzieindziej; ja nie chcę się dłużej nad tem rozwodzić. Co zaś do tam-tam, wiecie wszyscy, co to jest. Kto nie wie, tem gorzej dla niego. Sądzę, że będzie wam miło, jeśli w tej opowieści nie znajdziecie żadnych wyjaśnień. Lecz mam nadzieję, iż pojmiecie z niej różne rzeczy, trudne do objaśnienia.

Ciocia Julcia zasiadła poważnie na trawie. Dwoje małych nie wypuściło z rączek jej sukni i osunęło się na ziemię z wyciągniętemi nóżkami; — były z tego bardzo zadowolone.

— A więc, jesteś tu sama, samiuteńka, biedna Różyczko... Ach, ach, to ciekawe!

— Co takiego?

— Nic, nic! Kasztan, z którego wyrastają główki dziecięce. Ale teraz pochowały się. Tem lepiej.

— Dlaczego mówisz: tem lepiej?

— Ze względu na pewien problem arytmetyczny.

— Ja nie umiem arytmetyki.

— Ależ tak, i ty zrozumiesz. Posłuchaj: jeśli pewna ciotka ma siedem kawałków tortu, przeznaczonych dla siedmiu siostrzeńców, a z tych siostrzeńców widzi tylko troje, ci troje dostaną najmniej po dwa kawałki...

— Ale ja — zawołał głos z wydrążenia najgrubszego kasztanu, — ja tu jestem!

— Ja też!

— I my też!

— Ach, doskonale. Oto jesteście wszyscy. Wytrysnęliście za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, jak w bajce. Tylko, że tortu niema.

— Jest, jest! — piszczy Mak, który pobiegł do koszyka.

— Dla tego, kto szpera, niema nic.

— Nie szperam, patrzę.

— Nie trzeba patrzeć — sroży się ciocia Julcia, szeroko otwierając szare oczy i zakrywając kosz rękoma. — Wpierw musicie mi odpowiedzieć. Dlaczego nie przyszliście do domu, gdy usłyszeliście tam-tam?

— Dlatego, że chcieliśmy, żebyś ty przyszła tutaj.

— Źle zrobiliście.

— Dlaczego?

— To powiem wam później. Teraz powiedzcie mi: dlaczego pochowaliście się, gdy przyszłam?

— Chcieliśmy, abyś nas trochę szukała.

— Zrobiliście jeszcze gorzej.

— Dlaczego?

— Dlaczego, powiem wam później. Powiedzcie mi też, co was skłoniło do przerwania tej zabawy?

— Wiadomość o torcie — odparł prostoduszny Cis, patrząc z niewymowną tkliwością na tę maleńką cioteczkę, przy której wydawał się olbrzymem.

— Bardzo dobrze. Tylko o to wam chodzi? Oto tort. Kawałki są równe; nie potrzeba ich porównywać. Smacznego. Ja odchodzę.

— Ciociu Julciu — rzekł Cis, kładąc swój kawałek tortu napowrót do koszyczka i pieszczotliwie dotykając jej ręki — jeśli ty się na nas gniewasz, nie będę jadł.

— Nie, nie gniewam się. Mówię tylko, iż w taki dzień, jak dzisiaj możecie zaoszczędzić drogi mnie i tym maleństwom.

— Nie wiedzieliśmy, że one też przyjdą.

— To ci mądrale! A komu miałam je zostawić? Czy pomyśleliście o tem? Oto mama leży w łóżku i ma trochę gorączki; tatuś zatroskany o nią i zajęty swymi chorymi; oto nowy braciszek i siostrzyczka, z którymi jest sporo roboty... A wy sobie tu siedzicie, jakgdyby to wszystko was nie obchodziło, jakgdyby nic nie działo się w waszym domu? Dobrze. Tem lepiej dla was; ale ja odchodzę.

— Idę z tobą — rzekł Cis — ojciec może mnie potrzebować w ambulatorjum.

— Ja też — rzekła Kalina; — jesli mama zechce, mogę być przy niej i piastować jedno z bliźniąt.

— Idziemy wszyscy — mówi Mak, połykając tort razem ze łzami: — nie łaj nas więcej, ciociu Julciu. (Mak wzrusza się najłatwiej ze wszystkich dzieci).

— Któż was złajał? Ja powiedziałam tylko swoje zdanie. Czy was przekonałam? Tem lepiej. Teraz mama leży spokojnie, a noworodki śpią. Zjedźcie tort, a potem pójdziemy do domu. Chodź tu Buczku. Masz tu igłę z nitką i guzik, — rzekła ciocia, dobywając te rzeczy z małej torebki, uczepionej u jej paska; — zobaczymy, co potrafisz. W takich rzeczach przejawia się człowiek wyższy. Naco się zda udawać, Bóg wie, kogo, jeśli nawet dla przyszycia guzika trzeba się uciekać do pomocy innych?

— Ciociu Julciu, dlaczego dziś rano, gdy dowiedziałaś się, że się urodziły bliźnięta, powiedziałaś: tem lepiej?

— Ach! To z powodu tych wieśniaczek, zawsze nieco przesą-

dnych. Rozumiecie, że gdyby się urodziło tylko jedno maleństwo, byłoby was trzynaścioro.

Ach, na te słowa, w przeczystem powietrzu wrześniowego popołudnia rozległy się wybuchy serdecznego śmiechu. Śmiał się nawet Szczawik i Topolka, którzy zaledwie umieli liczyć do dziesięciu.

— Ależ, ciociu, odkąd to siedem i jeden — razem trzynaście?

— Nie znacie się na tem. To ja zrobiłam taki obrachunek i wychodzi doskonale.

Dzieci śmieją się jeszcze serdeczniej, niż kiedykolwiek. Teraz oczy cioci tryskają figlarnością. Zachodzące słońce złoci każde źdźbło trawy. Dokoła panuje wielki spokój. Cis ukląkł przed ciotką, ujął jej ręce i począł liczyć na jej palcach; przy każdem imieniu ciocia potakująco kiwała głową.

— Ja—jeden, Kalina—dwoje, Buk—troje, Mak—czworo, Różyczka—pięcioro. Teraz daj mi drugą rękę i liczmy dalej. Szczawik—sześcioro, Topolka—siedmioro. Dobrze?

— Dobrze.

— Teraz dodaj do tego Tymianka i Miętę, a zobaczysz, że nawet nie doszliśmy do dziesięciorga.

— Dojdziemy. Dojdziemy nawet do czternaściorga.

— Ciociu? — zawołała Kalina napoły z lękiem, napoły z powątpiewaniem. — Boję się...

— Czego?

— Boję się, że coś ci zaszkodziło. Może święcone wino przy chrzcie?

— Nie piłam go. Dajcie mi jeszcze czyjąś rękę, bo moich palców już mi nie starczy. Tak, daj twoją rękę, jest najczystsza. Więc mówiliśmy: Tymianek—ośmioro, Mięta—dziewięcioro, Łukasz—dziesięcioro. Jaś... cicho! Jeśli mi będziecie przerywali, omylę się w liczeniu. Jaś—jedenaścioro, Bronek—dwanaścioro, Wiktor—trzynaścioro i Maniusia—czternaścioro.

— Co za figlarka z cioci! Zaraz chciałem powiedzieć, że to wszystko żarty.

— Nigdy nie mówiłam tak poważnie.

— Aha, pewnie! Im bardziej chcesz nas rozśmieszyć, tem stajesz się poważniejsza, znamy to.

— Skąd wzięłaś te wszystkie dzieci?

— Z listu, który nadszedł dziś rano.

— Czy wszystkie były w kopercie? A gdzie są teraz?

— Nie były w kopercie. W kopercie były ich imiona. Dzieci są w pociągu; przyjeżdżają dziś wieczorem.

— Jezus, Marja! — zawołała wylękła Kalina: — to będzie robota! Czy same noworodki?

Tym razem ciocia Julcia wybuchnęła śmiechem i padła na trawę nawznak, jak beztroskie dziecko. Dwoje jej ulubieńców, Szczawik i Topolka skorzystały z tego coprędzej, by rzucić się na nią i w szale radości uderzać ja po twarzy rączkami, lepkiemi od masła i cukru.

Reszta dzieci jest mniej wesoła. Myśl o tej nowej dziecięcej gromadce, co przybywa do ich domu, (jeśli to istotnie jest prawda a nie wymysł cioci), nie bardzo im się uśmiecha. Sami sobie wystarczają w zupełności i nie czują potrzeby powiększania kompanji.

— Było nam bardzo dobrze samym, — mruknął Buk z niechęcią. — To nie będzie żadna przyjemność...

Ciotka spojrzała na niego i nagle spoważniała.

— Chodźmy do domu — rzekła, powstając. — Znajdzie się tam robota dla wszystkich. Jeśli Buk nie ma ochoty i woli pozostać tutaj i bawić się, to jego rzecz. Ja potrzebuję tylko tych, co idą chętnie.

Ale Buk nie pozostał. Przeciwnie, nie chcąc się dać zawstydzić Cisowi, który posadził sobie Szczawika okrakiem na plecy, wziął Topolkę na ręce.

ROZDZIAŁ V.

W którym opowiada się szczerze, jak ciocia Julcia została przyjęta w tym domu.

Na kilka miesięcy przed urodzeniem się bliźniąt ciocia Julcia zdecydowała się opuścić swój piękny domek w mieście, pełen ciszy i ładu, by przenieść się do tego dużego, starego domostwa, gdzie panował wieczny gwar i rozgardjasz, gdzie praca, zaledwo się kończyła, rozpoczynała się na nowo, i gdzie, jak wiedziała, była bardzo potrzebna.

Lecz pierwsze przyjęcie nie było zachęcające. Nie oznajmiwszy nikomu o swem przybyciu, przyszła ze stacji pieszo i zupełnie sama.

Na jednej z kamiennych ławek, stojących po obu stronach drzwi wejściowych, dwoje dzieci układało w szereg kamyczki, które miały przedstawiać wagony niezmiernie długiego pociągu.

Ciocia Julcia zbliżyła się milcząco, po swojemu, i zasiadła na końcu ławki z takim spokojem, jakby się czuła u siebie. Dzieci zmierzyły z nieufnością tę bladą kobietę w szarym płaszczu, w szarym welonie, z oczyma szaremi, dużemi i badawczemi; po szybkim, ostrym egzaminie Topolka odezwała się do niej nagle z niechęcią :
— Idź, idź, jesteś brzydka.

— To nie jest powód, aby mnie odsyłać — odparła ciocia Julcia spokojnie swym jasnym, dźwięcznym głosem: — Na świecie bywają piękne i brzydkie.

— Kim jesteś?

— Jestem ja.

— Pocoś tu przyszła?

— Bo mi się podobało tu przyjść.

— Czego chcesz?

— Narazie nie chcę nic. Przyglądam się, jak się bawicie. Ty jesteś Topolka, a to jest Szczawik.

Szczawik zmarszczył brwi i coprędzej odsunął kamyki od obcej pani. Dziewczynka, natomiast, zbliżyła się zaciekawiona, by lepiej jej się przypatrzeć.

— Ząb ci wypada — rzekła wkońcu.

— Nie wypadnie — upewniła ją ta grzecznie; — wysunął się tak nazewnątz przez kaprys, gdy jeszcze byłam dzieckiem, ale siedzi mocno.

Topolka długo rozmyślała, w dalszym ciągu surowo badając przybyłą.

— Ale jednak — spytała potem już z większą poufałością — gdy byłaś młoda, byłaś przynajmniej większa?

Na te słowa szara kobietka wybuchnęła świeżym, perlistym śmiechem, dowodzącym, jak bardzo była jeszcze młoda.

— Kto się śmieje w ten sposób? — spytał z okna głos mamy. — Julcia, Julcia, to chyba nie ty! To byłoby nazbyt pięknie!...

— Któżby miał być? — odparła ciocia Julcia, podnosząc ku oknu swe figlarne oczy.

Ale na schodach dały się słyszeć liczne głosy i mama, otoczona chmarą dzieci, przybiegła z otwartemi ramionami.

— Jak jechałaś? Jak mogłaś zostawić naszego brata? Raczej, jak Wirgiljusz poradzi sobie bez ciebie?

— Przyjechałam koleją. Wirgiljusz podróżuje ze swemi odczytami. Teraz jest w Sardynji. Być może, że pojedzie do Francji. A bez niego nasz dom był mi nazbyt smutny. Jeśli przeszkadzam...

Mama ściskała siostrę jeszcze ciągle, szepcząc jej na ucho: — Niech cię Bóg błogosławi.

Trzymając się za ręce, obie siostry weszły do domu, a za niemi orszak dziecięcy. Dopiero wówczas poznali się według wszelkich reguł i z podróżnej torby cioci posypały się czekoladki. Ale konwencjonalnych pocałunków nie było.

Konwenans i uprzejmość, to dwie rzeczy zupełnie różne.

Dzieci doktora, lubo nawykłe do wzajemnej ustępliwości, nie znały zgoła konwenansu; a ciocia Julcia znała go natyle, by wiedzieć, ile jest wart.

— Dajcie mi rękę — rzekła z uśmiechem; — to mi wystarczy narazie. Widzicie mię poraz pierwszy i nie możecie wiedzieć, czy będziecie mię kochały, jak ja was kocham.

— Tak, tak, będziemy cię kochały — przyrzekło chórem siedem ciepłych, dźwięcznych głosików.

— Tak sądzicie? Tem lepiej. Jednak mnie się zdaje, iż macie wszyscy silniejsze głosy, niż ja. Jak to zrobimy, abyście mię usłyszały, gdy was zawołam?

— Dam ci swoją gwizdawkę.

— Moją trąbkę.

— Mój bębenek.

— Nie, dziękuję. Wolę małe tam-tam. W tem jest więcej godności. Napiszę do jednego przyjaciela, który ma milutkie tam-tam i chętnie mi je pożyczy. Czyja to rączka wsuwa się do mojej ręki?

Ach, to ty, Topolko? Czego chcesz? Czy powiedzieć mi jeszcze raz, że jestem brzydka i że mam sobie pójść?

— Nie, nie — odparła mała cichutko, rumieniąc się i przysuwając się do ciotki. — Nie odchodź. Wcale nie jesteś brzydka. Nie przyjrzałam ci się dobrze: wydajesz się, jakby szara wróżka.

W ten sposób ciocia Julcia dostała się do domu i do serc dzieci.

ROZDZIAŁ VI.

Z którego można zrozumieć, w jaki sposób tatuś umiał sobie zdobyć taką wielką miłość swych dzieci.

Więc tego wieczora towarzystwo ruszyło w drogę w następującym porządku: naprzód ciocia Julcia pomiędzy Kaliną i Różyczką, które ją ujęły pod ręce; potem Cis i Buk, jako wierzchowcy z maleństwami, jako jeźdzcami; ztyłu Mak z koszyczkiem.

Tatuś czekał na nich na progu. Ten tatuś to olbrzym: wysoki i silny; bary szerokie, twarz tchnąca energją, głos donośny; z dziećmi, zazwyczaj zwięzły w słowach. Wystarczało tedy, aby wydawszy rozkaz, zapytał: — Zrozumieliście? — dzieci wykonywały go bezzwłocznie.

I tego wieczora załatwił się szybko z wydaniem rozporządzeń:

— Mak pójdzie na wieś i da znać sołtysowi, aby dużą karetą pojechał na stację na ostatni pociąg i żeby był trzeźwy i czysty. Buk pomoże Józkowi: trzeba przewrócić siano. Kalina pójdzie do mamy. Różyczka zrobi to, co każe ciocia. Szczawik i Topolka przysłużą się, jak potrafią. Cis pójdzie ze mną.

Ambulatorjum znajdowało się na parterze starego domu, lecz miało osobne wejście. Doktór miał tam wszystko potrzebne do małych operacyj i podręczną apteczkę. Cis był jego asystentem. Był zdolny i uważny i szczycił się tem, że ojciec mu ufa.

Tego wieczora jego zadanie było łatwe. Nie było potrzeby przytrzymywać żadnego niecierpliwego chorego; nie trzeba było słuchać krzyków i przekleństw. Przyszedł tylko staruszek, któremu obcięło dwa palce. Lecz zachował się wprost ze stoicyzmem. Zacisnął zęby i nie pisnął podczas całego opatrunku.

— Brawo! — pochwalił go doktór. A starowina zaśmiał się bezzębnemi ustami:

— A co, panie doktorze, niedarmo byliśmy na wojnie!

— Byliście na wojnie, Kasprze? Na której?

— Na której? W 59-ym. Miałem wtedy ośmnaście lat. Teraz zbliżam się do dziewięćdziesięciu. Uciekłem z domu z paniczem. Chciało się zobaczyć Garibaldiego i przyłożyć ręki do przepędzenia Niemców. Ach! to były czasy! Dzisiejsza młodzież twierdzi, że dawniejsze wojny były zabawką w porównaniu z tą, która, dzięki Bogu, już się skończyła. Według niej, gdyby nie zatrzymali ich przy Piave, a potem nie przegnali do stu djabłów, Niemcy gospodarowaliby u nas gorzej, niż dawniej. Wierzę temu i pochwalam. Ale mówię, że to nie znaczy, iż my, za naszych czasów biliśmy się na żarty. Jak się panu zdaje?

I staruszek odszedł, potrząsając głową.

Cis przepłukał miseczki, odkaził narzędzia i ułożył wszystko w porządku. Ojciec siedział przy biurku, oparłszy głowę na dłoni i milczał. Zapadał wieczór. Na górze słychać było chodzenie, zamiatanie, bieganinę dzieci... Cis wzniósł oczy ku sufitowi.

— Co tam robią u licha? — myślał; lecz nie odezwał się, by nie przeszkadzać ojcu.

— Przygotowują pokoje dla gości — rzekł ojciec, odgadłszy myśl syna. Czy ciocia nic ci nie powiedziała? Wielki to ciężar zwala się na moje barki — dodał z uśmiechem, pełnym rezygnacji. — Lecz ani przez chwilę nie pomyślałem o tem, by się zeń otrząsnąć i mam nadzieję, że moje dzieci mi pomogą. Pewien kolega z miasta poleca mi te dzieci.. Raczej przysyła mi je poprostu. Mówi, że mają z czego żyć dostatnio, lecz muszą się nauczyć żyć. Są inteligentne, lecz wątłe; dobre, lecz zbyt wydelikacone i mało odporne. Straciły ojca na wojnie, a matkę przed kilku dniami; nie mają krewnych, którzy mogliby się niemi zająć, a są zbyt do siebie przywiązane, aby można je było rozłączyć i oddać do kolegjum. I przybywają właśnie dzisiaj, gdy dwoje tych maleństw zaledwo się urodziło! ... Jak tu powiedzieć, że jednego dnia przybyło mi siedmioro dzieci, rozumiesz?

Tak, Cis rozumiał. I patrzył na ojca z miłością. Z miłością

męską, milczącą i głęboką. Niewiele dzieci może, jak on, pochwalić się ojcem, zawsze silnym, stanowczym, pogodnym. Lecz tego wieczora ojczulek był zmęczony i stroskany: może dlatego wyrwało mu się takie zwierzenie; to pewna, że Cis nigdy jeszcze nie słyszał od niego tak długiej przemowy. Więc odpowiedział mu weselej, niż mu było na duszy.

— Więc cóż? Będzie nas czternaścioro. Miejsca starczy dla wszystkich, a ty potrafisz być ojcem i dla dwudziestu czterech dzieciaków.

— Ale mama? Biedna kobieta, ma i tak dość roboty.

— Jest przecież ciocia Julcia.

— Ciocia będzie musiała niedługo wracać.

— Więc utworzymy wśród siebie pewien rodzaj gminy i będziemy sami wszystko robili. Dziewczynki w kuchni, przy drobiu, w garderobie, a my, chłopaki, przyłożymy ręce do grubszych robót. Zobaczysz, tatusiu, że opłaci ci się kupić folwark, by zużytkować wszystkich tych robotników.

Ojciec uśmiechnął się i z miłością spojrzał na swego pięknego syna. Pół żartem, a pół serjo, Cis powiedział prawdę i ojciec wstał, znowu spokojny i stanowczy, jak zawsze.

Zamknąwszy ambulatorjum, obaj ociągali się trochę na dworze, zanim weszli do domu. Niebo, ciągle jeszcze złote na zachodzie, miało już delikatny, zielonkawy odcień; w górze, na ciemnym błękicie błyszczały światełka dwóch, czy trzech gwiazd. Ojciec oparł rękę o ramię syna: ów stał bez ruchu, z podniesioną głową, szczęśliwy, iż może mu służyć za podporę.

— Folwark, nie; — rzekł wreszcie doktór, któremu ta propozycja się podobała: — lecz chciałbym założyć wzorowy sad i za pieniądze, należące do tych moich nowych dzieci, któremi przecież muszę zarządzać, kupię może ziemię, a wy ją będziecie uprawiali. O radę i wskazówki napiszemy do wuja Wirgiljusza, a gdyby on zdecydował się przyjechać tutaj i osiąść w okolicy, wówczas... Wówczas byłbym spokojniejszy o wszystko, o dom, rodzinę, o hodowlę roślin, zwierząt i dzieci.

ROZDZIAŁ VII.

W którym idzie się na wieczerzę i mówi się o tych, którzy mają przyjechać.

Ciocia, Różyczka i stara pomocnica Agata napracowały się porządnie, sprzątając pokoje, przygotywując łóżka, tembardziej, że Szczawik i Topolka, uszczęśliwieni i wyprowadzeni z równowagi całym tym rozgardjaszem, miast pomagać, plątali im się wciąż pomiędzy nogami.

Idźcie stąd, dzieci — mówiła ciocia; — idźcie lepiej do Katarzyny i spytajcie, czy możecie jej w czem pomóc.

Dzieci posłuszne pobiegły na dół.

— Z drogi, z drogi! wołała Katarzyna, krzątając się koło dzieży; — dalej, dzieci! — I wyganiała je z kuchni, jak się wygania kury, machając rękami i fartuchem, ubielonemi od mąki. — Idźcie na górę, do cioci i zobaczcie, czy was potrzebuje.

Dzieci, posłuszne, znów pobiegły na górę. Wreszcie zmęczone ciągłem bieganiem po schodach, zasiadły na stopniach drzwi wejściowych, by liczyć gwiazdy, które się ukazały na niebie i czuwać nad tem, co się dzieje na ziemi. Mak powrócił ze wsi; powrócili Buk i Józek z grabiami na ramionach. Tatuś i Cis przeszli około dwojga maleństw, by pójść na górę do mamy. — Aż tam-tam cioci wezwało wszystkich na wieczerzę.

— Mama ma się dosyć dobrze, a bliźnięta bardzo dobrze — oznajmił tatuś, siadając do stołu. — Jak poradziłaś sobie z noclegiem, Julciu?

Kazałam opróżnić pokój, gdzie były jedwabniki, wstawić dwa łóżeczka i duże łóżko ze strychu; w pokoju chłopców kazałam ustawić dwa składane łóżka, które pożyczyłam od rządcy, p. Agliati: mówi, że mogę je zatrzymać przez całą zimę; ale lepiej będzie mieć własne. Maniusia będzie spała z Kaliną i Różyczką: zsunęłam ich dwa łóżeczka i zrobiłam z nich jedno duże. Na dzisiaj nie starczyło materaców dla wszystkich; ktoś zadowoli się siennikiem, prawda? Co ci to, Buczku?

— Jest mi, że ja nie mogę spać na sienniku.

— Oho! — zawołały dzieci. — I chce być wielkim podróżnikiem!

— Nieprawda. Chcę podróżować, owszem, ale z wszystkiemi wygodami. Ja nie chcę nic badać. Nawet nozdrzy.

— Nie — potwierdził tatuś poważnie: — Buk nie bada niczego. Nawet własnego sumienia. Należałoby go teraz zapytać, czy nie lepiej dla niego wyrzec się małej wygody, niż wielkiego szczęścia: czy wolałby naprzykład być jednym z gości, co prześpi tę noc na materacu i mieć, jak oni, ojca, śpiącego na dnie morza i mamę na cmentarzu.

Buk, czerwony, jak dojrzały pomidor, opuścił twarz na talerz.

— O biedne istoty! — zawołała tymczasem Różyczka, wzruszona. — Ja będę ich mamusią...

Wszyscy się roześmiali.

— Taka drobina matki dla pięciorga dzieci, z których najstarsze ma piętnaście lat!

— Kto powiedział, że mam być mamusią wszystkich? W tej rodzinie nigdy nie pozwolą wypowiedzieć się do końca! Oczywiście, że miałam na myśli najmniejszych.

— Mała jest tylko jedna, — rzekł ojciec: Maniusia. A tę oddamy ci zupełnie. Dobrze?

— Ciociu, — rzekł Cis — czy chcesz umieścić gości w pokoju, gdzie były jedwabniki?

— Tak. Dlaczego?

— Dlatego, że wydaje mi się trochę za brzydki. Czy nie lepiejby było oddać im naszą sypialnię?

Buk, który nagle podniósł głowę, opuścił ją szybko. Lecz ciocia odgadła jego myśl.

— Nie. W waszej sypialni macie za dużo waszych rupieci. Przenosiny byłyby zbyt trudne; a potem, znam kogoś, ktoby się o to pogniewał. Pokój jest świeżo wybielony, uprzątnięty. A za kilka dni, zobaczycie jaki ładny stanie się przy waszej pomocy.

— A co będzie z jedwabnikami na wiosnę?

— Będziemy mieli czas o tem pomyśleć — rzekł ojciec. — Dalej, dzieci. Powiedzcie Józkowi, żeby zaprzęgał. Cis i Kalina

pojadą ze mną na stację. Mak zostanie przy mamie, aż powrócę. Różyczka zajmie się małemi; Buk załatwi wszystkie sprawy wieczorne: zamknie kurnik i izbę z narzędziami, zaniesie zupę Rexowi, obejdzie dom dookoła, zobaczy, czy wszystkie okna i furtki są zamknięte, gdyż zrywa się wiatr. Wiem Buczku, że mogę ci zaufać.

Buk nareszcie podniósł oczy, by spojrzeć w twarz ojca i skinąć głową potwierdzająco.

ROZDZIAŁ VIII.

W którym asystujemy przy przybyciu gości i spędzamy z nimi pierwszy wieczór w rodzinie.

Nie ulegało wątpliwości, że to byli oni: nikt więcej nie wysiadł na małej stacyjce i żadne inne drzwi wagonu nie otworzyły się o tak późnej godzinie.

Ale Cis i siostra prawie nie wierzyli swoim oczom, gdy przy mdłem świetle niewielu lamp ujrzeli schodzące jedną za drugą, powolne i poważne trzy drobne postacie, blade twarze, żałobne ubrania które zdawały się nie być dziećmi, lecz małymi, zdrobniałymi ludźmi.

Gdy znaleźli się już na peronie i zwrócili ku otwartym drzwiczkom wagonu, najstarszy wziął na ręce śpiącą małą dziewczynkę, podczas gdy dwaj inni stanęli przy stopniach wagonu, czekając z wyciągniętemi przed siebie rękoma. I oto w drzwiach ukazały się najpierw dwie kule, które jeden z braci ujął coprędzej; potem stanął w nich biedny chłopczyna, najbledszy z wszystkich, niepewny na swych zbyt cienkich nóżkach. Bracia chcieli mu być pomocni przy wysiadaniu, lecz właśnie nadbiegł doktór, wziął go w swe krzepkie ramiona i przeniósł do starej karety, gdzie Kalina zasiadła przy nim, z Maniusią na kolanach. Bronek i Wiktor usiedli naprzeciwko. Cis wskoczył na kozioł obok sołtysa, który zrobił, co było w jego mocy, by wystąpić mniej brudnym i podochoconym, niż zazwyczaj.

— Otul dobrze pledem Maniusię i Jasia — rzekł doktór do córki: — im wieczorne powietrze najbardziej może zaszkodzić, prawda, chłopcy? — zapytał potem tamtych, którzy skinęli głową

z uśmiechem. Byli bardzo zdziwieni i zadowoleni, widząc tego olbrzyma, dbającego o nich, jak gdyby ich już znał oddawna.

— Łukaszu, — rzekł znowu doktór — ty pojedziesz ze mną w powoziku.

W karecie przebyto drogę w milczeniu: goście zbyt byli obcy, a Kalina zbyt nieśmiała wobec nich. Tuliła tylko czule śliczne maleństwo, co trochę zalęknione rozglądało się dookoła, i dbała o to aby Jasio dobrze sobie okrył kolana. Za to w powoziku niewątpliwie zamieniono kilka serdecznych i szczerych słów, gdyż twarz Łukasza po przybyciu na miejsce była weselsza i nie tak blada.

Zeskoczył lekko na ziemię i schylił się przed ciocią Julcią, stojącą z dziećmi na progu, w tak dwornym ukłonie, iż Mak zaczerwienił się na myśl, jak trudno byłoby mu ukłonić się z taką swobodą, zarazem pełną szacunku; Buk odwrócił się, by ukryć swój śmiech i pogardliwe pfuj. Szczawik i Topolka dziwili się wszystkiemu wytrzeszczywszy oczy, tembardziej, iż w oczekiwaniu gości pozwolono im pójść spać o dwie godziny później, niż zwykle.

W jadalnym pokoju paliła się lampa i stół był nakryty.

— Dla wszystkich? — spytała Kalina, zdziwiona.

— Dla wszystkich dzieci — odparła ciotka. — Dwanaście nakryć. Zupa dla tych, co odbyli podróż, pączki dla wszystkich. Potem owoce; a potem białe wino dla uczczenia nowoprzybyłych.

Doktór patrzył na szwagierkę z uśmiechem wdzięczności. Ileż wysiłku rąk i perswazji musiała w to włożyć zacna kobieta, aby wszystko tak się udało, i aby stara Agata i mrukliwa Katarzyna, które i tak musiały dziś napracować się znacznie więcej, niż zwykle, znalazły się tutaj uśmiechnięte, patrząc z pewnem wzruszeniem na biedne dzieci, takie chudziaki w swych smutnych, żałobnych sukniach.

Mak i Różyczka będą usługiwali przy stole — ciągnęła ciocia; tatuś i ja pójdziemy zajrzeć na górę do mamy i dopilnować, czy wszystko jest w porządku. Smacznego, dzieci.

Maleńka i szczuplutka uczepiła się ramienia doktora, wysokiego i tęgiego i okrążyła stół, pozdrawiając towarzystwo swemi figlarnemi oczyma.

Oczywiście dzieci, pozostawszy same, czuły się z początku

nieco zmieszane. Lecz widocznie, serdeczność rychło zapanowała w tem gronie, jeśli ciocia Julcia, powróciwszy w pół godziny później z butelką wina, by wypić za zdrowie powiększonej rodziny, została przywitana wesołem, rzeźkiem, dźwięcznem: Niech żyje!

Dwanaście wesołych twarzyczek, z których siedem było opalonych i rumianych, a pięć już się nieco zaróżowiło, zwróciło się ku niej.

Więc przyjaźń została już zawarta i wszystko poszło dobrze; mniej dobrze dla pączków, z których na dwu półmiskach nie pozostało ani jednego.

Gdy wino zostało rozlane do małych kieliszków, które Różyczka uprzejmie roznosiła dokoła, ciocia rzekła z uśmiechem:

— W górę kieliszki. I powtarzajcie za mną. Pijemy:..

— Pijemy, — powtarzały chórem rozbawione dzieci.

— Za zdrowie...

— Za zdrowie... — Trzy najmłodsze, a wśród nich Maniusia, tak się śmiały, iż nie zdążyły nigdy powtórzyć w porę.

— Najlepszych ojca i matki.

— Najlepszych!

— I czternaściorga dzieci...

— Dzieci...

— Z których dwanaścioro obecnych przysięga również w imieniu noworodków...

— Noworodków...

— Uważać się za rodzeństwo.

— Rodzeństwo! — śpiewał chór podniesionym głosem. Ktoś dodał niespodziewanie: — Niech żyje ciocia Julcia!

— Niech żyje!

Ojciec ukazał się na progu i podniósł rękę.

— Nie krzyczcie, bo obudzicie noworodki i przeszkadzacie mamie.

— Niech żyją noworodki — cichutko, ale z szeroko otwartemi ustami powtórzył Bronek, który zdążył już wysunąć się na czoło, jako najweselszy członek całej kompanji.

— Teraz wszyscy na górę, i ani mru-mru! Żeby nie było słychać ani waszych kroków, ani waszych głosów. Jasiu, podaj rękę

Łukaszowi i Cisowi. Ja sam zaniosę brzydkie kule, które wkrótce usuniemy zupełnie — dodał jeszcze doktór. Lecz Buk wyjął mu je zaraz z ręki.

Na podeście schodów nie obeszło się bez łez: przecież Szczawik i Topolka nie chcieli rozstać się ze swą małą przyjaciółką, Maniusią, by jak zwykle pójść pod opieką starej Agaty na drugie piętro, do swej sypialni; Maniusia zaś chciała koniecznie udać się tam z niemi. Ale pieszczotliwe słowa Różyczki, która nie szczędziła obietnic na jutro (chrzciny lalek i pochód), zdołały uspokoić maleństwa.

W pół godziny później cisza panowała w domu, pełnym dzieci: prawie we wszystkich pokojach, sen objął swe panowanie. Czuwano tylko w sypialni rodziców; ojciec, matka i ciotka rozmawiali półgłosem o wielu rzeczach i rozstrzygali sprawy najpilniejsze. Były to jednak wszystko sprawy poważne, które nie mogą was interesować; dla tego też nie wspomnę wam o nich.

ROZDZIAŁ IX.

Zawieramy w nim znajomość z Eulalją, która w przyszłości odegra ważną rolę w tem opowiadaniu.

Przez szpary dużych okiennic światło przenikało do pokoju, pozbawionego wszelkiego komfortu, w którym jednak goście doskonale przespali całą noc. Ktoś zapukał do drzwi: — Puk-puk.

— Proszę! — odparł Łukasz, jeszcze nie zupełnie przebudzony. Lecz nikt nie wchodził.

— Proszę! — krzyknął Bronek.

— To pewnie pokojowa przyszła zabrać ubrania i obuwie do czyszczenia — rzekł Wiktor, przecierając oczy. Bracia wybuchnęli śmiechem, czem nietylko do reszty przebudzili, ale i rozgniewali Wiktora.

— Przecież nie powiedziałem żadnego głupstwa.

— Właśnie, że powiedziałeś i jeszcze jakie — rzekł Bronek, śmiejąc się coraz bardziej.

— Jeśli czekasz tutaj na pokojową, poczekasz jeszcze trochę — zauważył Łukasz spokojnie.

— A więc? spytał chłopiec z lękiem, był bowiem leniwy i zarazem bardzo pedantyczny.

— A więc nauczysz się obsługiwać sam siebie — odparł Jaś, ja się też nauczę chodzić bez kul.

— Puk-puk.

— Ależ proszę! — Lecz nikt nie wchodził.

— To pewno Szczawik, — rzekł znowu Jasio. — Słyszę pukanie u dołu drzwi. Widocznie nie umie otworzyć.

Bronek wyskoczył z łóżka, pobiegł do drzwi, uchylił je i z ust jego wyrwało się ach! tak pełne radosnego zdumienia, że wszyscy wychylili się z zaciekawieniem z łóżek.

Ktoś, co pukał, podskakując wszedł.

— Kto jesteś? Kto jesteś? — pytali wszyscy, zarazem zdziwieni i rozbawieni.

— Eulalja — odparła szybko sroka.

Chłopcy padli na łóżka, śmiejąc się serdecznie. Eulalja przyglądała im się pokolei, a potem roześmiała się także, hałaśliwie, naśladując jednocześnie ich rozmaite głosy.

Bronek, oszalały z radości, począł tańczyć dokoła niej boso i w koszuli. Eulalja przyglądała mu się poważnie, wreszcie zdecydowała się powiedzieć: — Głupi.

A wypowiedziała to tak wyraźnie, iż nie mogło być żadnej wątpliwości.

W drzwiach, które pozostały otwarte, ukazała się imponująca postać doktora. Zaledwo Eulalja go dostrzegła, frunęła mu na ramię a ulokowawszy się tam, przytakiwała z powagą wszystkiemu, co mówił.

— Dzieńdobry, moje dzieci. Kto chce pójść ze mną na wieś? Musimy postarać się o sandałki dla was wszystkich, bo pewnie nie umiecie jeszcze chodzić boso. Mam nadzieję, iż znajdziemy także marynarskie trykoty, bez rękawów. Pończochy i marynarki zaraz odłożymy na bok; rozpoczyna się kuracja! Zjedzcie prędko śniadanie. Ty, Jaśku, nie ubieraj się. Cis przyjdzie po twoje rzeczy. Zaniosę cię na dół, do ambulatorjum. Chcę zbadać te twoje zleniwiałe nogi.

I zanim chłopiec, trochę wybladły, zrozumiał dobrze o co chodzi,

doktór wziął go na ręce i skierował się ku schodom. Przy tym nagłym geście Eulalja sfrunęła z jego ramienia i jęła ich wyprzedzać w podskokach, przyczem skrzecząc, świetnie naśladowała głos Katarzyny: — Z drogi, dzieci, z drogi! — jakby do niej należało torowanie drogi doktorowi.

— Myć się tem mydłem, które czuć olejem — mruczał Wiktor, zaledwie doktór oddalił się z Jasiem; — wycierać się tem grubem płótnem, czesać się bez kawałka lustra... Niepodobna! Ja tu nie wytrzymam.

— A najgorszego nie widziałeś jeszcze — zauważył Łukasz śmiejąc się i przeglądając się w szybie okiennej, przyczem szczotkował sobie włosy starannie.

— A cóż może być jeszcze gorszego?

— Ach! — odezwał się Bronek, oparty o parapet okna, skąd rozkoszował się widokiem doliny, gdzie strumyk pędził wartko, śpiewając swą słodką i dźwięczną pieśń, tak pieszczotliwą dla ucha; — może czerstwy chleb na śniadanie; a może i suchy.

— A kto ich tam wie — dodał Łukasz nie bez intencji — czy zostawią kawę dla tych, którzy nie zejdą w porę. Ja idę tymczasem.

Bronek, wielce łakomy na kawę, oderwał się od okna i zdecydował się nareszcie dokończyć tualety.

Jeśli atoli chodziło mu o kawę, mógł się nie spieszyć. Na stole, pokrytym tylko ceratą, stało dużo sporych miseczek, dużo pokrajanego chleba, dwa spore dzbany z mlekiem i nic więcej.

— Ani kawy, ani cukru? — spytał Bronek, rozglądając się dokoła z takim lękiem, iż pobudził Łukasza do śmiechu.

— Nie — odparła z uśmiechem ciocia Julcia, wchodząca właśnie i prowadząca Maniusię za rączkę. — Tutaj mleko jest tak dobre, iż nie trzeba go słodzić; o ile idzie o kawę, doktór zabronił jej dzieciom. Dzień dobry, siostrzeńcy. Jak się wam spało w tem obozowisku?

Łukasz podszedł ku niej uprzejmie i wesoło:

— Doskonale, dziękujemy. A Maniusia? — zapytał ze swej strony, unosząc wgórę małą siostrzyczkę: — Czy się cieszysz — zapytał jej czule — czy się cieszysz, że jesteś na wsi?

— Tak — odpowiedziała Maniusia, ściskając go. — Bardzo mi się tu podoba. Mamusi też będzie się podobało, gdy tu przyjedzie, prawda?

Ciężki smutek zasępił delikatną twarz Łukasza. Ciocia Julcia spiesznie uderzyła w tam-tam, które jak zwykle nosiła przewieszone przez ramię.

— Co się stało? Dlaczego alarmujesz? — spytała malutka, już rozbawiona.

— Aby obudzić śpiochów — odparł Bronek.

— Źle odgadłeś — rzekła ciocia Julcia, śmiejąc się; — aby zwołać tych, co są daleko. Buk rozkłada siano na słońcu, Mak łupie drzewo, Kalina poszła na folwark po jajka. Różyczka ubiera maleństwa. Cis odwiedził z ojcem ciężko chorego. Wszyscy już wstali od dwóch godzin, zasłali nawet swoje łóżka i przynieśli świeżą wodę do pokojów. Resztę sprzątania załatwia Agata z pomocą dwojga dzieci, które mają kolejny dyżur. Dziś jest kolej Kaliny i Maka. Patrzycie na mnie ze zdumieniem? Tak kazał tatuś. Zresztą, to tylko w mieście jada się zaraz po wstaniu: na wsi zazwyczaj przedtem pracuje się trochę. Zresztą tutaj robi się wszystko raczej dla przyjemności, niż z obowiązku: a wy zrobicie, jak będziecie chcieli.

Kalina powróciła z koszykiem jaj. Była śliczniutka z swą rumianą, śmiejącą się twarzyczką. Na schodach dał się słyszeć głos Różyczki, schodzącej z maleństwami. Buk i Mak wskoczyli zręcznie przez otwarte okna. Doktór i Cis nadeszli powoli, podtrzymując bladego, lecz pogodnego Jasia.

Jakim to cudem suchy chleb i mleko bez cukru smakowało także i miejskim gościom?

Być może, iż była to zasługa świeżego, zdrowego powietrza; a może kompanji, licznej i wesołej; może też rozmowy o tych wszystkich wiejskich sprawach, tak całkowicie dla nich nowych. Faktem jest, że pajdy chleba znikały szybko w ich miseczkach i Agata musiała podać jeszcze jeden półmisek.

— Dwie dobre nowiny — oznajmił tatuś: — Mama spała dobrze, ma się dobrze i chce was wszystkich zobaczyć. A nogi Jasia będą jak żelazne.

Łukasz, Bronek i Wiktor zwrócili się ku bratu, potem ku doktorowi, a potem znowu ku bratu; nie mogli przemówić ani słowa, ale te trzy pary oczu iskrzyły się radością.

— Żelazne? — spytała Maniusia, zdumiona. — Kto wie, jaki to będzie hałas przy chodzeniu!

— I jak będzie darł pończochy! — dodała Topolka, zacisnąwszy usteczka z minką zatroskanej gosposi.

— A te prześcieradła, które przedziurawię, gdy wejdę do łóżka — dodał Jasio, śmiejąc się najradośniej ze wszystkich.

Ktoś podszedł z zewnątrz, oparł się o parapet okna i pozdrowił serdecznie:

— Dzieńdobry całemu towarzystwu.

— A, pan hrabia! — zawołał doktór, powstając i podchodząc do okna: — Co za niespodzianka! Proszę wejść do środka!

— Nie, dziękuję. Wolę cieszyć się tym obrazkiem z zewnątrz. Jednak... Proszę mi wybaczyć mą ciekawość... Powiedziano mi, że pańska rodzina się powiększyła, ale...

— Ale pan nie przypuszczał, że aż tak bardzo, prawda? — dokończył doktór, śmiejąc się i przyjmując papierosa, ofiarowanego mu przez starego pana. — Łukaszu, chodź tutaj.

A gdy chłopiec, wysoki i szczupły stanął przy nim, przedstawił go: — To najstarszy z moich nowych dzieci. Zaufanie kolegi wzbogaciło mię na tyle.

— Dobrze — pochwalił gość. I spoglądając na małą odznakę. jaką Łukasz nosił przy marynarce, zapytał: — Marynarz?

— Ojciec był oficerem marynarki, odparł młodzieniec, patrząc prosto w twarz starego pana.—Dowodził torpedowcem, który został zatopiony.

Na twarzy hrabiego odbiło się wzruszenie; wyciągnął rękę ku Łukaszowi i szepnął: — Wybacz mi. A cóżbyś na to odpowiedział, gdybym zaprosił ciebie i całe towarzystwo, abyście ten pierwszy wasz dzień na wsi spędzili w moim parku? Dalej, doktorze, bądź pan wspaniałomyślny. Daj pan dzień spoczynku także i swym pszczołom — robotnicom i przyślij wszystkich do mnie, aż do wieczora. Co o tem powie tam-tam? — spytał hrabia, zwracając swą piekną mimo zmarszczek twarz ku cioci Julci.

— Tam-tam zgadza się bezwarunkowo — szybko odparła kobietka, z którą stary pan lubił żartować. — Wstańcie, dzieci, pójdziemy pozdrowić mamę.

Ale doktór był nieco innego zdania.

— Sądzę, rzekł, iż Kalina nie powinna opuszczać matki na cały dzień, a Cis musi coś załatwić dla mnie. Więc Kalina będzie musiała powrócić o drugiej; a Cis, panie hrabio, będzie mógł przyjąć pańskie zaproszenie dopiero popołudniu.

Poddając się decyzji ojca rodziny, zarówno stary pan, jak i dwoje dzieci wyrazili swą zgodę skinieniem głowy.

— Co pan zrobisz z tych wszystkich dzieci? — spytał hrabia, gdy pozostał sam z doktorem.

— Z boską pomocą zrobię z nich ludzi, panie hrabio: silnych i prawych.

— W pańskich rękach, nie wątpię o tem. Ale, mówię, na jaką drogę ich pan skieruje?

— Prawdopodobnie na drogę pracy na roli, przynajmniej moje. Powinni zostać rolnikami, ale wykształconymi. Aby rozumieli całe piękno swej pracy, opartej na nauce i wielkiej wytrwałości. Nie mam i nie będę miał dużo własnej ziemi; lecz nowe moje dzieci są majętne i, być może, że z ich pomocą i dla nich zdołam zrealizować pewne swoje dawne marzenie. Jeśli niejeden opuszcza wieś przez nieświadomość i ambicję, trzeba aby znalazł się inny, kto poświęci dla niej nowe i wielkie wysiłki. Będzie to, jak zastrzyk dla schorzałego ciała, prawda?

— A jeśli który z tych chłopców będzie miał inne skłonności?

— Jeśli będą istotnie dobre, będziemy je hodowali narówni z tą, wrodzoną człowiekowi i opatrznościową.

— A jeśli zechce zakosztować lub powrócić do życia miejskiego?

— Nie sprzeciwię się... Będę atoli przekonany, że powrócą. Prawdziwe życie jest tutaj: a kto go zakosztował, nie zapomni go nigdy.

ROZDZIAŁ X.

W którym odwiedza się mamę; ona zaś zna się na różnych rzeczach, które utraciłyby swe piękno, gdybyśmy je chcieli objaśniac.

Mama siedziała na łóżku trochę blada, lecz uśmiechnięta; była to mama kwitnąca i piękna.

Łukaszowi przypomniała się inna twarz, wychudła i zsiniała; biedny chłopiec podszedł do łóżka, drżąc lekko. Ale mama to odczuła, więc przywitawszy i pożegnawszy inne dzieci, zatrzymała przy sobie Łukasza, położyła mu rękę na ramieniu i patrzyła nań z taką słodyczą, iż czuł się zarazem zrozpaczony i pocieszony. Mama rzekła.

— Nasz dom jest zbyt wiejski dla tych, co przywykli do miejskich wygód; lecz mam nadzieję, iż wkońcu będzie wam tutaj dobrze.

— O, tak — zapewnił Łukasz, starając się nadać głosowi spokojne brzmienie: — Maniusia już czuje się szczęśliwa. Jaś wyzdrowieje. A my...

Tutaj przerwał. Bywają rzeczy, które zbyt jest trudno wypowiedzieć, zwłaszcza dla chłopca piętnastoletniego o duszy subtelnej i wytwornem wychowaniu; na szczęście mama zrozumiała i to.

— A wy — dodała serdecznie — jesteście również naszemi dziećmi. Łukaszu, ucałuj noworodków. W tej licznej rodzinie, małe dzieci znajdują się pod opieką starszych: czy będzie ci miło, jeśli odtąd oddam tych dwoje najmłodszych pod twoją opiekę? Pojawiliście się w domu niemal równocześnie... Anusiu!

Anusia, młoda wieśniaczka, której zmarło kilkodniowe niemowlę, i która teraz pomagała mamie karmić bliźnięta, wyjęła z kołyski dwa zawiniątka i podała je Łukaszowi, jak się podaje wiernym relikwję do ucałowania.

Twarzyczki tych dwojga ludzkich niemowląt były jeszcze tak czerwone i pomarszczone, iż chłopiec z początku odczuł jakby odrazę; musiał się przezwyciężyć, aby pogodzić się z tą ceremonją. Ale, gdy poczuł pod swemi wargami ciepło i miękkość tych ciałek, gdy ujął te maleńkie rączyny, myśl o tem zupełnem niedołęstwie, oddanem pod pieczę jego młodocianej siły, przeniknęła w jego duszę, wzru-

szyła ją i trochę przejęła dumą. Spojrzał na mamę, a w oczach jego była obietnica; mama zrozumiała, jakgdyby wypowiedział ją ustami; pomiędzy nią i Łukaszem został zawarty pakt przyjaźni, która z czasem miała jeszcze się utrwalić.

Całe towarzystwo udało się do parku pałacu Agliati, przyczem chłopcy prześcigali się w gorliwości wożenia Jasia na wózku, który Mak wywlókł z szopy, a Buk wyłożył sianem. W tym czasie Cis, wsiadłszy na bryczkę przy boku ojca, kierował łagodnym konikiem Murzynkiem i milczał.

Doktór wysiadł trzy, czy cztery razy, aby odwiedzić chorych w domkach, rozrzuconych po wsi; Cis czekał na niego, zawiódłszy konika w cień, gdzie Murzynek szczypał trawę, parskając z zadowolenia. Załatwili we wsi różne sprawy i zobowiązali szewca oraz właściciela sklepu z odzieżą, aby przysłali do domu doktora do wyboru sandały i trykoty różnej wielkości. Należało też kupić trzy puszki z lakierem i dwa pendzle dla cioci Julci, która określiła kolory i wielkości.

— Co ciocia z tem zrobi? — zapytał doktór, gdy Cis, złożywszy sprawunki na bryczce, zajmował miejsce obok ojca.

— Ba! To tajemnica, — odparł chłopiec, śmiejąc się. Potem spoważniał i rzekł: — Tatusiu, nie pójdę do parku. Napewno będę ci potrzebny w ambulatorjum.

— Nie; wolę, żebyś poszedł. Pierwsze dni są najtrudniejsze dla współżycia. Buk jest kapryśny, Mak nieśmiały i roztrzepany. Trzeba, abyś tam poszedł i dopilnował.

— Tatusiu — odezwał się jeszcze nieśmiało: — zdaje mi się, że Łukasz umie o wiele więcej ode mnie.

— A więc? Ty znasz życie z pewnością lepiej od niego. Będziecie sobie pomagali. Synku, nie miej fałszywej miłości własnej, ani też niewiary w siebie... — dodał ojciec, czule obejmując swego pięknego syna (a były to krzepkie barki, prawie jak u dorosłego mężczyzny). — Ja znam wartość mojego Cisa i bardzo go cenię.

Cis, cały czerwony z zadowolenia, pomyślał, iż niema ofiary, którejby nie poniósł dla takiego ojca: przezwycięży nawet pewną dozę

nieufności i zawiści, jaką instynktownie czuł do Łukasza, o wiele wytworniejszego i uprzejmiejszego od niego; wyrzeknie się nawet śniadania, z pewnością doskonałego, jakie gospodyni pałacu Agliati przygotowała dla gości; pomimo, że Cis bardzo lubił dobrze zjeść.

Była już trzecia, gdy mógł wreszcie wyjść z domu i uszedłszy kilka kroków po szosie, skręcił i zapuścił się w szeroką aleję, ocienioną dwoma rzędami wspaniałych jodeł, prowadzącą do pałacu i do parku. Dwie drobne postaci szły naprzeciw: Łukasz i Kalina.

— Spóźniłam się? — spytała niespokojnie, biegnąc spiesznie naprzeciw brata.

— O godzinę — odpowiedział poważnie.

— Jak mi przykro... Tam było tak ładnie! Teraz biegnę... Nie odprowadzaj mię już, Łukaszu. Pójdę sama.

— Dlaczego? Idę tak chętnie. Spotkamy się niebawem, Cisku! Cis poszedł swoją drogą sam i niezadowolony. Nie podobały mu się dwie rzeczy: po pierwsze, że Kalina była niepunktualna i nieuważna wobec mamy; po drugie, iż pomiędzy nią a Łukaszem panowała już taka poufałość.

Powinien był przecież zrozumieć, że mówić sobie *pan i pani* pośród dzieci, które miały żyć razem, byłoby śmieszne; lecz Cis, jak wszyscy starsi bracia, był raczej zazdrosny: nie podobała mu się troskliwość Łukasza wobec tej jego ładnej siostrzyczki, świeżej, jak pączek róży.

Właśnie, gdy wchodził do parku, dobiegł jego uszu nagły wybuch gniewnych głosów, wśród których poznał głosy swych braci; to skierowało jego myśli w inną stronę i zniewoliło do przyśpieszenia kroku. Krzyk umilkł tak nagle, jak powstał. Lecz Cis nie uważał tego za dobry znak: przeciwnie! Począł więc biec ku gąszczowi drzew, poza któremi, jak przewidywał, coś się dzieje.

Istotnie, działo się to, że się bili; w tak absolutnem milczeniu, iż Cis słyszał wyraźnie przyśpieszony oddech walczących. Buk i Mak walili mocno, powolnemi, dobrze odmierzonemi ciosami; tamci odpowiadali uderzeniami słabszemi, lecz gęściejszemi. Tu przeciwnicy byli krzepcy, tam nerwowi.

— Hola, tam! — zakomenderował głośno Cis, przyswajając sobie akcent i słowa ojca. — Precz z rękoma.

I rzucając się rezolutnie w ten kłębek rąk i nóg, rozdzielił walczących.

— To pięknie! — rzekł potem, zwrócony do braci: — To tak przyjmujecie gości?

— Nie myśmy zaczęli — odparł Buk, blady, ze zmarszczoną brwią i ściśniętemi pięściami.

— Nie — rzekł Bronek, rozcierając zbolałe ramiona i starając się odzyskać dobry humor: — Nie, bić wyście się nie zaczęli, ale wyście nam pierwsi ubliżyli.

— To myśmy wam ubliżyli?

— Tak — potwierdził Wiktor, czerwony i zacietrzewiony, jak kogut, — tak, właśnie ty nazwałeś mię głupim fircykiem.

— Oho, wielka rzecz! A czy ty nie nazwałeś mię chamem?

— Nie! Tak nie powiedziałam. Powiedziałem: To jest po chamsku! Aby prędzej dobiec do mety, uderzyłeś mię łokciem w brzuch!

Cis słuchał z splecionemi dłońmi; Mak milczał, zawstydzony.

— Nie urządza się wyścigów bez sędziego — rzekł potem Cis spokojnie: — nie urządza się walki bez arbitra. Teraz ja jestem z wami. Jeśli chcecie się mocować, wola wasza; lecz róbcie to według reguł.

— Nie — odparł Bronek ze śmiechem — na dziś mam dosyć i chcę zawrzeć pokój. Chodź, Maczek, poszukamy jakichś gadów.

Dwaj chłopcy oddalili się, trzymając się pod rękę. Buk, jeszcze zły, odwrócił się i poszedł sobie sam. Wiktor przyłączył się do Cisa.

Znaleźli troje najmłodszych, bawiących się w pobliżu Jasia i Różyczki; tych dwoje, siedząc w cieniu olbrzymiego dębu, było tak pochłoniętych, jedno opowiadaniem, a drugie słuchaniem, iż nie dostrzegło przybyłych, dopóki ci nie stanęli tuż przed nimi. Wówczas Różyczka klasnęła w ręce, wołając:

— Cisku, Cisku, słyszysz? Jaś wie, co drzewa opowiadają sobie nocą. To cudowne. I zna głosiki pasikonika, mrówki, komara, wie wszystko, co sobie mówią.

Cis przykucnął na ziemi i rzekł z uśmiechem:

— A więc posłuchajmy.

Lecz Jasio, onieśmielony, nie chciał więcej opowiadać.

ROZDZIAŁ XI.

W którym się widzi, że i Wiktor nabrał ochoty do pracy.

Ja — oświadczył Wiktor następnego ranka — nie włożę sandałków bez pończoch. Nie znoszę uczucia bosych nóg w skórze. A zresztą potrafię może przewracać siano, siać i pomagać przy winobraniu. Ale do grubych robót nie jestem zdolny: Ani do motyki, ani do rąbania drzewa.

— A kto tego od ciebie żąda? — spytał Łukasz nieco znudzony.

— Doktór powiedział, że możemy robić to, na co mamy ochotę, byleśmy tylko coś robili.

— Właśnie — rzekł Bronek, śmiejąc się — całe zło leży w tem, że Wiktor chciałby nic nie robić.

— Kto to powiedział? Co innego jest nic nie robić, a co innego zmuszać się na gwałt, by zostać chłopem. A gdybym nie miał do tego powołania?

— Wówczas powinienbyś zostać handlarzem drobiu.

— Dlaczego właśnie handlarzem drobiu?

— Ponieważ masz wybitne powołanie do pieczonych kurcząt.

Roześmiali się wszyscy czterej, raczej wszyscy pięcioro, wraz z Eulalją, która, jak zwykle, przyszła odwiedzić swoich nowych przyjaciół. Ale Wiktor znowu spoważniał i podjął swe narzekania.

— Gdyby się przynajmniej wiedziało, dla czego?

— O czem mówisz?

— Dlaczego musieliśmy przyjechać tutaj, zmieniać nasze przyzwyczajenia i wyrzec się naszych wygód...

— Było to życzenie naszego biednego ojca, w razie jego śmierci; była to wola naszej biednej matki; była to rada, więcej, rozkaz ze strony naszego lekarza. Jesteśmy teraz w domu człowieka wielkiej wartości, który wie, co robi. Teraz on jest naszym opiekunem; i jeśli zamierza używać nas do pomocy przy wiejskiej pracy i chce pokierować naszem życiem według swoich poglądów, nam pozostaje tylko, być mu posłusznym. A jeśli obdarzy nas swem przywiązaniem, jeśli przywróci zdrowie Jasiowi, jeśli Maniusia znaj-

dzie tu drugą matkę i dobre siostrzyczki, zdaje mi się, iż powinniśmy być mu nietylko posłuszni, ale i wdzięczni.

I Łukasz, który poraz pierwszy w swem życiu przemawiał tak długo i poważnie, odszedł, pozostawiając braci pod wrażeniem tego swojego nowego, stanowczego wystąpienia, co uczyniło z niego jakby ich ojca.

— A kto wiedział o tem wszystkiem? — spytał wreszcie Wiktor.

— Ja — odparł Jasio; ale umówiliśmy się z Łukaszem, aby wam nic nie mówić.

— A dlaczego? — spytał Bronek.

— Dlatego, że takie rozmowy wydawały nam się zbyt poważne dla takich chłopców, jak wy.

— Chłopcy, to nie znaczy dzieci, — zauważył Bronek, obrażony.

— Ale słać łóżka i przynosić wodę do pokoju, szemrał dalej Wiktor — to wydaje mi się już za dużo. To są babskie roboty.

— Ależ właśnie, jeśli roboty męskie wydają ci się za ciężkie, powinieneś robić chętnie babskie — zauważył Jaś ze śmiechem. — A ja chciałem cię prosić, abyś mnie wyręczył — dodał biedny chłopiec, który uważałby się za szczęśliwego, gdyby mógł robić to, co Wiktorowi przychodziło z taką trudnością.

— Nie myśl o tem Jasiu — rzekł doń Bronek skwapliwie: — ciebie wyręczę zawsze, to się rozumie. Ale uważaj! Jeśli nie zdecydujesz się wysunąć z łóżka tych twoich w przyszłości „żelaznych" nóg, wyjmę cię poprostu razem z materacem. Zresztą, jeśli chcecie, ja mogę sprzątać cały pokój. Lubię to. Odkąd tatuś zabrał mnie na swój okręt i opowiadał, iż marynarze robią wszystko sami i są kucharzami, pomywaczami, praczami, krawcami, szewcami, malarzami...

— A żołnierze? — przerwał Jasio. — Czyż nie muszą sami robić wszystkiego? Jeśli nie zwiną dobrze swych składanych łóżek i nie trzymają swych rzeczy w należytym porządku, idą do kozy. Bronku, podaj mi moją kurtkę.

— Poco ci potrzebna?

— Chcę z niej wyjąć ołówek, by naszkicować motyw, który przyrzekłem cioci Julci. Przypomniałem sobie o tem, gdy mówiłeś o malarzach. Muszę to zrobić...

— I chcesz rysować w łóżku? Nigdy. W tej chwili wyłaź z betów! — zakomenderował wesoły braciszek. — Naprzód wstań, a potem pracuj. Nakaz doktora.

— A jeśli natchnienie mi przepadnie?

— Jeśli przepadnie, odnajdę je, zamiatając — szybko odparł Bronek. Jaś roześmiał się i posłuchał. Cieszył się, widząc Bronka tak skwapliwym; chętnie słuchał tego braciszka, młodszego od siebie o dwa lata, a który już go prześcignął siłą i stanowczością charakteru. Jasio zaś był najbardziej obdarzony darami umysłu. Był też trochę malarzem i trochę poetą. Drobny z postaci pomimo swych lat czternastu, wyglądał zaledwie na dwanaście, lecz w rozmowie wydawał się człowiekiem dorosłym. W czasie, gdy nogi musiały leżeć spokojnie, myśl odbywała dalekie wędrówki; nawet Łukasz, tak pilny i zdolny, umiał mniej od niego. Ale najlepszym z wszystkich był chyba Bronek, zawsze gotów sprawić innym jakąś radość; dlatego bracia wybaczali mu, iż tak mało przykładał się do nauki i pomagali mu odrabiać zadania. Gdy tylko powstanie od książek, nie było rzeczy trudnej lub męczącej, którejby chętnie dla nich nie zrobił. Był też muzykiem w rodzinie: z wielką wprawą i animuszem grał na dużej harmonijce z mieszkiem i wieloma klawiszami, sporządzonej przez ich biednego tatusia. Ale po śmierci mamy, instrument, pokryty ceratą, stał zamknięty w swej drewnianej skrzyni i tak go przewieziono do domu doktora, razem z resztą ich bagażu.

Ten bagaż, składający się z trzech dużych kufrów, dwóch skrzyń i wielu ogromnych pak budził zaciekawienie dzieci doktora; tembardziej, że Bronek opisał im już cuda pociągu, który jak naprawdę prawdziwy pędzi po szynach i aeroplanu, który, gdy miał ochotę, leciał prosto w górę, ku niebu; a Jasio opowiadał o książkach Fabre'a, w których są opisy życia owadów, piękniejsze, niż bajki o wróżkach. Ale zanim uda się zaopatrzyć pokój w dużą szafę, komodę i bibljotekę, skrzynie i kufry pozostaną zamknięte.

Mak miał w owych dniach bardzo dużo do roboty: był stolarzem dla rodziny, jak Buk był dla niej kowalem i mleczarzem. Mieli swoją pracownię w pokoju, gdzie były wszystkie narzędzia i zwykle sami załatwiali drobne reparacje, nie uciekając się do pomocy mistrzów

tego rzemiosła, u których odbyli swą naukę. Właśnie, aby pomóc stolarzowi wykończyć szafę i komodę i by wykonać szafę do książek podług rysunku Jasia, Mak rzeczywiście poszedł do warsztatu stolarza i pracował tam z zapałem przez całe dni, powracając do domu dopiero wieczorem. Obiad jadał w południe razem z innymi terminatorami; tem swojem życiem robotnika chwalił się, i słusznie, dając tem dowód wytrwałości i dobrej woli.

Pierwszy tydzień był okresem przystosowania się zarówno do ludzi, jak do rzeczy: należało tyleż przyzwyczaić dusze do wspólnego życia (to było zadanie cioci Julci), ile nogi do sandałków i ręce do pracy.

Łukasz, wprawny w lakierowanie, malował na biało łóżka i umywalnie. Jaś siedział z nogami, wystawionemi na działanie promieni słonecznych i wycinał w grubym papierze liście kasztanu, na wzór liści, które Buk na polecenie cioci przedtem wyszukał, co najpiękniejsze w linjach. Ale co ciocia zamierzała zrobić z temi wzorami, było tajemnicą cioci i Jasia. Tem zaufaniem, jakie mała cioteczka okazywała Jasiowi, zdobyła sobie całkowicie jego serduszko.

Buk, najtrudniejszy do przystosowania się, a najłatwiejszy do wybuchów gniewu, bywał posyłany tu i tam, aby użył swobody; zamierzano też powierzyć mu zbudowanie nowego kurnika dla kurcząt, które się wylęgły ostatnie, zrobiły się psotne i właziły wszędzie.

Kalina szyła na maszynie ręczniki i poszewki, które ciocia pospiesznie przykroiła; Różyczka wykończała w nich dziurki i przyszywała guziki. Agata szyła wielkiemi ściegami nowe materace; a tapicer darł do nich włosie. To znowu tak się podobało Szczawikowi, iż chcąc mu w tem pomagać, plątał się przy nim ciągle.

Dwie malutkie miały dostęp do kuchni. Piękne złote włoski Maniusi i jej smętna czarna sukienka rozczuliły Katarzynę od pierwszego spojrzenia, a gdy dojrzała ją, zbliżającą się wraz z Topolką, która przyszła prosić o coś na obiad dla lalek, nie miała serca odesłać ich precz. Przeciwnie, zaczęła powoli pragnąć, aby przyszły. Była to pora wyłuskiwania grochu fasoli i dziewczynki chętnie jej pomagały, bawiąc się tem, jak ze strąków, teraz skurczonych, wysuwały się białe, śliczne ziarnka, centkowane na czerwono.

Bronek przyłączył się do Cisa i chodził za nim wszędzie, chcąc robić wszystko, co robił Cis. Nauczył się szybko usługiwać w ambulatorjum, oświadczając, iż medycyna byłaby jego namiętnością, gdyby nie trzeba było uczyć się jej z książek. A gdy pewnego poranka doktór zaproponował mu, aby pojechał z nim odwiedzić chorych (Cis był na folwarku, gdzie właściciel i rządca chętnie szukali jego pomocy, umiał bowiem bardzo szybko obrachować dni pracy i należności), Bronek zgodził się z takim zapałem, jakgdyby chodziło o to, by pojechać na jarmark. Eulalja, która choć nazwała go głupcem, a nie mogła jakoś bez niego się obejść, sfrunęła szybko na jego ramiona i pojechała z nimi, wielce rada z przejażdżki.

A Wiktor?

Pierwszego dnia Wiktor włóczył się z rękoma w kieszeniach. Wystarczało mu patrzeć, jak inni pracowali. Nikt nie uczynił mu z tego powodu żadnej uwagi. Tylko, gdy wieczorem, przy kolacji, ojciec zażądał sprawozdania od każdego i wszyscy mieli coś do opowiedzenia, on trzymał twarz pochyloną nad talerzem; rozumiał, iż to milczenie rzuca na niego bardzo niekorzystne światło.

Następnego dnia, trochę się ociągając, Wiktor poszedł za Jóźkiem do stajni, na łąki, do sadu. O! nie poto, by pracować; dla miejskiego panicza są to rzeczy zbyt upokarzające. Ale chciał widzieć, jak się kieruje koniem, gdy się go wyprowadza ze stajni; a także, jak się przygotowuje strawę dla niego. Małomówny Józek, wychodząc ze stajni, zadowolił się zabraniem dwóch par wideł i gdy znaleźli się na łące za domem, wsunął mu jedne do ręki.

Aby nie wydać się niezdarnym, Wiktor zbierał suche już siano, jak to widział u Jóźka. A gdy je nałożyli na wóz, chętnie mu pomógł zwieźć je pod dach. Gdy zaś Józek zaproponował mu, aby z nim poszedł do warzywnego ogrodu kopać kartofle, nietylko, że się na to zgodził, ale tak sobie w tej robocie upodobał, iż nawet nie zauważył, jak nogi przemokły mu w sandałach.

Wieczorem, w godzinie zdawania sprawy z całodziennej pracy nie opuszczał już głowy i szukał spojrzenia doktora; wydawało mu się, jakgdyby był w szkole, gdy, nauczywszy się lekcji, czeka niecierpliwie, aż go wywołają. Doktór, który obserwował go nieznacznie,

nie powiedział nic, aż nie pojawiła się na stole miska, pełna smażonych kartofli, przywitana owacyjnie przez wszystkie dzieci. Wówczas zwrócił się z uśmiechem do Wiktora:

— Te kartofle — rzekł — smakują mi lepiej, niż zazwyczaj. — A chłopiec, czerwony z zadowolenia, był tak wzruszony, iż omało nie udławił się jednym.

ROZDZIAŁ XII.

W którym widzimy, jak osoba, dla której gotuje się przyjęcie, staje się niekiedy ofiarą tej uroczystości; a także, jak łatwo jest posądzać niesłusznie.

Dzień, w którym mama mogła poraz pierwszy zasiąść do ogólnego stołu, był wielkiem świętem dla wszystkich; już w przeddzień czyniono z wielkim zapałem przygotowania. Drzwi, któremi miała wejść do pokoju jadalnego, były uwieńczone girlandami z liści. Na stole były rozsypane białe róże, przysłane z folwarku. A gdy mama ukazała się, oparta o ramię cioci Julci, wszystkie dwanaścioro dzieci zaintonowały chóralną pieśń, podtrzymywaną mocno przez harmonijkę Bronka.

Słowa, ułożone przez Jasia, a dostosowane do melodji, znanej wszystkim dzieciom, nie miały wartości poetyckiej; lecz dla mamy przecież tylko dobra intencja miała znaczenie.

Wesoło i radośnie
Witamy cię, o pani!
I dzisiaj w dani
Składamy ci hołd miłośnie.
Grzecznie i wzorowo
Spełnimy twe rozkazy,
Nie miej do nas urazy
I powiedz, że czujesz się zdrowo.

Mama się uśmiechała, bardzo wdzięczna, ale była jeszcze bardzo blada i osłabiona. Śpiewali z takim zapałem, iż nawet nie zauważyli, że fałszują.

Gdy odśpiewali dwa ostatnie wiersze, mama sądziła, iż nadszedł moment podziękowania im: ale zaledwie zakończyli drugą strofę, ochoczo rozpoczęli znowu pierwszą.

Na szczęście Agata przyniosła dymiącą wazę i biedna bohaterka dnia mogła uprzejmie podziękować śpiewającym i nareszcie trochę odpocząć, przynajmniej tak długo, jak długo łyżki łapczywie brały zupę z talerzy. Potem rozpoczął się wesoły gwar rozmów, który wzmagał się ciągle, aż do chwili, gdy tatuś nakazawszy ręką milczenie, podniósł kielich za zdrowie mamy, a Łukasz powstawszy, wypowiedział nieco drżącym głosem zadowolenie swoje i rodzeństwa, iż mama... mama, którą oni już wielce szanują... powróciła i prezyduje przy stole. Tutaj się zatrzymał, gdyż wzruszenie i żal za inną mamą nie pozwoliły mu mówić dalej. Cis, który przy pierwszych słowach Łukasza, poczuł żądło zazdrości, jakgdyby przywiązanie tych nowych dzieci, mogło umniejszyć miłość matki do jej własnych, zawstydził się teraz swego brzydkiego uczucia i był rad, że Bronek na swój łobuzerski, żartobliwy sposób przerwał nastrój zakłopotania, krzycząc z wszystkich sił: Niech żyją wszyscy!, czem wywołał powszechny poklask.

Ktoś wezwał doktora do nagłego wypadku i Bronek poszedł z nim. Rządca przysłał znowu po Cisa; gdy trzeba było obliczać płace, lubił zawsze mieć u swego boku tego dzielnego chłopca.

Cis miał dopiero skończonych piętnaście lat, lecz w czasie wojny przyzwyczaił się zastępować nieobecnych i teraz miał już tyle doświadczenia w tych sprawach, co dojrzały rolnik: a ponieważ dużo przytem czytał i obserwował, nabył więcej zrozumienia rzeczy; prócz tego miał dobroć, odziedziczoną po matce i łagodną stanowczość ojca. Nikt tedy nie myślał się buntować przeciwko jego młodocianemu autorytetowi, a gdy wyrobnicy widzieli go, gdy wysoki i silny, niby dojrzały mężczyzna, szedł obok rządcy, nie mającego synów, lub obok starego hrabiego, który miał tylko jednego, (a ten nie przynosił mu zaszczytu) uczucie szacunku trzymało ich w karbach. Czuli, iż jest silny i sprawiedliwy: a ludzie, nawet najciemniejsi, poddają się urokowi wyższej natury.

Gdy mama znowu powróciła na górę, została zaproszona, by zwiedziła sypialnię swych przybranych dzieci; tutaj czekała ją wielka niespodzianka. Wzdłuż całego muru, który na wysokość metra został pomalowany olejno na kolor drzewa, biegł fresk pięknie naryso-

wanych liści kasztanu, efektownie pomalowanych dwoma odcieniami zielonemi. Szerokie, mocne meble z kasztanowego, politurowanego drzewa, wzbudzały swym wyglądem uczucie spokoju, jak wszystkie rzeczy proste i solidne. Na biało lakierowanych łóżkach ciocia Julcia rozpostarła wesołe pokrycia z płótna, gdzie na jasnem tle widniały zielone liście; nawet dzieci widziały je po raz pierwszy. Nie widziały jeszcze również dwu podwójnych biurek, które sprowadzono z miasta, i które ciocia bez ich wiedzy kazała rozpakować i postawić przy dwu dużych oknach pokoju; a przy trzeciem oknie, skąd widać było dolinę i przepływający strumyk, stały malarskie stalugi. Jasio domyślił się, że to dla niego i wybladły, oniemiały z radości spoglądał na ciocię Julcię. Ale ciocia, czułym ruchem wskazała Maka, jako twórcę tego dzieła, ów zaś zarumieniony z zadowolenia, starał się ukryć za innymi, aby nie odbierać podziękowań.

Chcąc ukryć swe zmieszanie, Mak pokazywał mamie, jak łatwo wysuwają się szuflady komody, a Buk kazał jej podziwiać piękne antaby, które sam wybrał i zamki, działające tak wyśmienicie, iż miało się ochotę wciąż obracać kluczem.

— Byliście wszyscy wzorowi — rzekła mama, — i dziękuję wam z całego serca, jakgdyby to był podarek, przeznaczony dla mnie, najmilszy dla gospodyni domu; chciałabym, aby wszystkie pokoje były tak pięknie i wygodnie urządzone, jak ten.

— O, pomaleńku a przerobimy w tym starym domu wszystko na rzeczy artystycznie piękne — przyrzekła ciocia Julcia, gdy w towarzystwie Szczawika i siostrzeńców odprowadzała mamę do jej pokoju — Prawda Jasiu?

Ale Jasio był roztargniony i nie odpowiedział. Otworzył szafę i coraz bardziej stroskany i zdenerwowany przeszukiwał wszystkie kieszenie kurtek, wiszących na wieszakach.

— Co robisz? — spytał go Łukasz.

— Szukam... Nie mogę znaleźć mego pięknego, złotego ołówka... pamiątki po tatusiu.

— Od kiedy ci go brak? — spytał Mak.

— Nie wiem. Któregoś wieczora miałem go jeszcze. Przypominasz sobie, Buczku? Wziąłeś go ode mnie, by wypróbować, czy

dobrze zatemperowany i złamałeś koniec, a wtedy pożyczyłeś mi swego ołówka. A potem...

— Tak, przypominam sobie; ale przypominam sobie, że ci go oddałem. Jeśli go potem zgubiłeś, czy to moja wina?

Buczek przemówił odrazu ostro i tonem jakby podrażnionym.

— Nie gniewaj się. Myślałem tylko, czy potem, który z was nie włożył go do kieszeni przez pomyłkę, przez roztargnienie. Mógł to być oczywiście i któryś z moich braci.

— Któryś! — powtórzył Buk z ironją. — I któżby to mógł być jak nie ja, jedyny, który byłem przy tobie? Przypominam to sobie doskonale: Łukasz i Cis grali w szachy, Mak czytał, Bronek i Wiktor byli z dziewczynkami... Byłoby lepiej, gdybyś powiedział szczerze, do czego zmierzasz. Ale pamiętaj, że ja nigdy nie brałem rzeczy cudzej..

A na obelgi odpowiadam pięścią.

— Spróbuj no podnieść pięść na mojego brata — wmieszał w to się Wiktor groźnie.

Wówczas Mak jął bez słowa zakasywać rękawy kurtki (której nie nosił), jak ktoś czyniący przygotowania do bójki.

— Dosyć, dosyć! — rozkazał Łukasz. — Co to za zachowanie się? Dlaczego obrażacie się nawzajem? Ołówek się znajdzie.

— Tak! A jeśli się nie znajdzie, będę poszukiwał dalej — odparł Jaś: — ale nie chciałbym podejrzewać nikogo.

— Coraz lepiej! — zakończył Buk z ironją — dziękuję za łaskę. I otworzyszy gwałtownie drzwi, wyszedł razem z Makiem. Trzej bracia, pozostawszy sami, spoglądali na siebie w milczeniu.

— Co za gbur! rzekł Wiktor.

— Tak — przyznał Łukasz, — ale i twoje zachowanie się nie było lepsze.

— Doprowadza mię do wściekłości. A w dodatku zanadto się broni. Gdyby się czuł prawdziwie pewny siebie, nie indyczyłby się tak bardzo.

Łukasz spojrzał na Jasia, jakby szukał z jego strony potwierdzenia podejrzliwych słów brata.

— Nie — rzekł Jasio, spokojny i rozważny, jak zawsze — ja nie przypuszczam, że on mógł mi go wziąć naumyślnie.... Ale faktem

jest, że z powodu tego ołówka wciąż się przy mnie kręcił! Naprzód chciał go zobaczyć, potem chciał się nauczyć, jak działa w środku, potem chciał go wypróbować... A tego wieczora nie wiem, nie pamiętam.... Nie przypominam sobie nic więcej nad to, co mu powiedziałem i co go tak odrazu rozgniewało.

— Co się stało? — spytała w tej samej chwili ciocia Julcia, stając w otwartych dzwiach pokoju. — Widzę, że jesteście tu sami i czemś zakłopotani. Powiedzcie mi szczerze, o co chodzi.

A gdy wszystko zostało powiedziane, zamyśliła się nieco.

— Buk jest gwałtowny — rzekła wreszcie — i skory do ubliżania innym; lecz to dusza uczciwa. Gdybyście mieli źle o nim myśleć, miałby powód do obrazy. Jeśli ołówek zginął tu w domu, zobaczycie, że się znajdzie.

I odeszła zamyślona.

Buk zbiegł szybko ze schodów i wyszedł z domu, mrucząc groźby i wyzwiska; Mak szedł za nim. Gdy się znaleźli na pagórku, Buk rzucił się nawznak na murawę i skrzyżował ręce pod głową z taką miną, jakby sobie nic nie robił z nikogo i z niczego.

— Ładnie nam się odwdzięczają! — rzekł pogardliwie. — Pracuje się dla nich, oddaje się im, co jest w domu najlepszego, zgadza się na to, by ich mieć ciągle około siebie, a potem? Widzisz, co oni są w stanie sobie wymyślić? Co im się zdaje? Że więcej są warci od nas, dlatego, że oni mieszczuchy, a my wieśniacy?

Mak milczał, zamyślony. Wreszcie rzekł:

— Czy widziałaś Bartka w tych dniach?

— Nie. A dlaczego? — spytał Buk zaniepokojony, podnosząc głowę, by lepiej spojrzeć na brata, przyczem zarumienił się gwałtownie. — Co ty sobie myślisz?

— Nic — odparł tamten ostrożnie. — Chyba to jedno, że nie mówisz mi prawdy.

Buk, posępny i groźny uniósł się na siedzeniu.

— Wiesz, miej się na baczności, bo z tobą ja załatwię się szybko. Co cię to obchodzi, czy widziałem się z Bartkiem, czy nie?

— Mnie? Mnie to nic nie obchodzi. Ale ciebie powinno to obchodzić, abyś był posłuszny tatusiowi. Wiesz, że on nie lubi tego chłopaka. Niedawno dopiero mówił o tem z ciocią Julcią.

— Co mówił? Posłuchajmy.

— Powiedział, że wydaje się nieprawdopodobne, ażeby tak zacny człowiek, jak kowal Hieronim, miał syna takiego nicponia, jak Bartek; i wcale nie jest temu rad, że Buczek z nim się przyjaźni.

— Kto się z nim przyjaźni? Czyż, gdy go spotykam w sklepiku, mam udawać, że go nie widzę?

— Nie. Ale gdy gwizdnie na ciebie z za płotu...

— O wielka rzecz! Czyż, gdy przyjaciel mię wzywa, mam nie pójść z nim się przywitać?

— To nie jest przyjaciel. Ktoś, kto nie podoba się twemu ojcu, nie może być twoim przyjacielem. Wiesz o tem dobrze, i wiesz także, że postępujesz źle, gdyż czynisz to pokryjomu. Ale to jest twoja rzecz.

— Więc dlaczego mię nudzisz temi sprawami?

— Dlatego, że coś mi się roi, że tego wieczora ty wyszedłeś z złotym ołówkiem w ręku. Ja czytałem, to prawda, ale posłyszałem gwizdek, podniosłem głowę i...

— A więc? Cóż to znaczy? Jeśli chciałem mu pokazać?

— Ta rzecz nie należała do ciebie.

— Toć ani na chwilę nie dałem mu jej do ręki!

— Wierzę ci. Ale ty nie wiesz, że wczoraj, podczas, gdy ty pracowałeś w ogrodzie, Bartek był tutaj.

— Poco?

— Przyniósł okucia do rolet.

— Aha! Jaśnie państwu potrzebne rolety!

— Nie, oni ich nie żądali. Lecz żaluzje są zepsute i dziurawe, a Jaś powinien zrana dłużej sypiać.

— Pfe!

— Więc Bartek przyniósł żelastwa i ciocia pomogła mu założyć je. Tymczasem podpatrywał (widziałem to dobrze) wszystko dookoła w ten swój obłudny sposób... Przypuśćmy, iż wczoraj rano ołówek upadł Jasiowi gdzieś na podłogę i Bartek widział, że coś błyszczy...

Buk słuchał ze zmarszczoną brwią. Chciałby zaprzeczać: za siebie i za Bartka, którego uważał za uczciwego chłopca. Lecz niemasz nic zaraźliwszego nad podejrzliwość. I być może, że wtedy, gdy inni zwątpili o nim, on ze swej strony zwątpił o innych.

ROZDZIAŁ XIII.

W którym czytamy o nieszczęsnych i prawdziwych dziejach skorpjona oblubieńca, jakoteż o rozkoszach młodej pajęczej matki; dowiadujemy się też, dlaczego pajęczyca-matka stoi przy oknie odwrócona tyłem.

Ołówek, acz gorliwie poszukiwany, nie znalazł się. Mówiono o tem jeszcze przez kilka dni, potem poczęto mówić o czem innem i Jasio musiał się pogodzić ze stratą, a także wysłuchać wyrzutu ze strony Łukasza: — Pamiątki po ojcu — mówił Łukasz — należy lepiej strzec.

Różyczka zarzuciła Jasiowi ręce na szyję i szepnęła mu do ucha:

— Nie myśl o tem więcej. Powiem tatusiowi, aby, będąc w mieście, kupił ci inny ołówek: żeby tak wyglądał jak złoty.

— Ach, rozumiesz tu nie chodzi o złoto!

— A więc? Jeśli innym, nawet brzydkim ołówkiem uda ci się narysować rzeczy piękne i możesz to uczynić z myślą o ojcu, czy ci to nie wystarcza?

Jasio spojrzał przychylnie na miłą twarzyczkę, tulącą się do niego i uśmiechnął się, pocieszony.

— Chodź, rzekła jeszcze Różyczka swym macierzyńskim tonem, jakim zwykła przemawiać do najmniejszych dzieci w domu i do lalek — oprzyj się o mnie i o laskę; tatuś życzy sobie, abyś spacerował w słońcu. Gdy się zmęczysz, usiądziemy sobie i opowiesz mi historję skorpjona.

— Młoda samica-skorpjon wyszła w nocy, gdy księżyc świecił tak jasno, iż ulica wydawała się zupełnie biała, a kamienie murku, pod którym jęła się przechadzać, połyskiwały. Miała zręczne ruchy i jej piękna, czarna postać odcinała się wytwornie od całej tej jaśni.

— Cóż znowu! Piękna, to już chyba nie!

— Jak na skorpjona była bardzo piękna i wielce poszukiwana. Tak dalece, iż zaledwie posunęła się kilka kroków, oto dwoje młodzieńczych skorpjonów zbliżyło się do niej skwapliwie i jeden z nich spytał z szacunkiem w języku skorpjonów:

— Dokąd idziesz piękna panienko?

— Dokąd mi się podoba — odparła z pogardliwem wzruszeniem ramion.

— Jakich ramion? Przecież skorpjony mają tylko łapki.

— Tych ramion nakształt kleszczy, które kończą się dwiema rączkami.

— Jasiu, ty sobie drwisz ze mnie.

— Nawet mi się nie śni. Skoro tylko znajdę skorpjona, pokażę ci go zbliska....

— Nie, nie, na litość Boską! Zbyt się niemi brzydzę. Wierzę ci na słowo; opowiadaj dalej.

— Ta sucha odpowiedź niebardzo była miła dwu młodym skorpjonom; ale odważniejszy z nich spytał wreszcie z pokorą:

— Czy pani pozwoli nam towarzyszyć sobie?

Dama nic nie odpowiedziała, ale pozwoliła, aby młodzieńcy zajęli miejsce przy jej boku, jeden z tej, drugi z tamtej strony; i spacer się rozpoczął. Przechadzali się powoli, aż jej przyszła ochota iść z powrotem. Wtedy jej rączki natknęły się na łapki sąsiada po lewej stronie; ten pochwycił je szybko i ścisnął mocno. Tak trwali przez chwilę w milczeniu. Ale tamten, sąsiad z prawej strony, zrozumiał i rozgniewany poszedł sobie. Odtąd piękna dama była dla niego stracona.

— A potem?

— Potem, tych dwoje, ująwszy się za ręce, spacerowało dalej, powoli i uroczyście, składając pierwsze przysięgi, aż podszedłszy do swego domu, ona nie bez trudu wyciągnęła swoją rękę z jego uścisku i znikła.

— A on?

— Nie zniechęcił się. Następnego wieczora, o tej samej godzinie, stał już na czatach, w pobliżu jej domu. Drugi także próbował krążyć w tych stronach, ale szczęśliwy wybraniec przepędził go czterema uderzeniami kleszczy.

Być może, iż samiczka przyglądała się tej walce z ukrycia: jej sympatja dla zwycięzcy wzrosła jeszcze. Faktem jest, iż tego wieczora pozwoliła się natychmiast ująć pod rękę i spacer przeciągnął się aż do świtu. Młodzieniec chciałby przedłużyć jeszcze ten stan uroku i czaru i nie uwalniać narzeczonej, ale ona, opierając się jednak jego

prośbom, schroniła się do swojego domu. Dopiero po trzech nocach tej powolnej wędrówki dłoń w dłoni, młoda dama, wciąż się opierając, pozwoliła się wciągnąć do domu oblubieńca; w ten sposób odbyło się wesele.

— Bez gości?

— Bez gości, bez słodyczy, ale nie bez kolacji, przynajmniej dla oblubienicy.

— Dlaczego? Czy pan młody nic nie jadł?

— Nie. Pan młody został zjedzony.

— Jasiu, ty sobie drwisz ze mnie.

— Słowo honoru. Następnego ranka, na podłodze małżeńskiej sypialni z pana młodego pozostały jedynie resztki: jakieś kosteczki i nic więcej. Samiczka zrobiła sobie z niego ucztę; teraz, dobrze odżywiona, i przez nikogo nie odrywana, mogła przygotowywać się z całem skupieniem do swych macierzyńskich obowiązków.

— Ta historja wcale mi się nie podoba — oświadczyła Różyczka z grymasem obrzydzenia. — Jest brzydka i okrutna.

— A więc opowiem ci o pająku, który przędzie na ziemi pajęczynę, gęstą i rozpostartą, jak chusteczka, potem składa w nią jajka, potem ujmuje cztery jej rogi, przymocowuje je sobie dwiema nitkami pod brzuchem i wędruje, wędruje z tym woreczkiem pomiędzy nogami....

— Jakaż to dobra matka!

— Pewnie. Zresztą, jeśli nawet oderwiesz ten woreczek i położysz na to miesce coś podobnego, choćby to był kawałek korka, lub kłaczek waty, to pająk bardzo gorliwie oprzędzie go nitką swojej pajęczyny, przyczepi go sobie i zabierze, nie troszcząc się o to, czy brzemię, które dźwiga istotnie zawiera potomstwo, tak drogie jego sercu.

— Ale nie należy robić matce takich głupich kawałów!

— Takie i inne sztuki robią uczeni, by poznać siłę instynktu u zwierząt. Co się zaś tyczy pająków, raczej pewnego gatunku, nazwanego tarantulą czarnobrzuszną, trzeba widzieć, z jaką miłością i staraniem samiczka przez trzy tygodnie i dłużej wlecze to brzemię pomiędzy swemi nogami; udaje się na poszukiwanie pożywienia, walczy z tymi, co chcą jej zabrać zdobycz, w razie niebezpieczeństwa kryje się do swego podziemia, zawsze baczna, by woreczek nie został

uszkodzony, lub się nie oderwał; a jeśli się oderwie, szybko przędzie nitkę swej pajęczyny, by go przymocować na nowo. Ale najładniejsza jest jej dbałość, aby słońce padło na jej kuleczkę jajową. Codziennie staje w otworze swego schroniska: ale nie tak jak wtedy, gdy była wolna, z głową i piersią nazewnątrz, jak panie, stojące przy oknie. Nie, odkąd musi strzec jajeczek, staje w oknie stroną odwrotną, aby nie ją, a woreczek lepiej nagrzało słońce; i tylnemi nóżkami, unosząc nad otworem jamy swą kuleczkę z jajkami, powolutku ją obraca dokoła, aby z wszystkich stron wystawić ją na dobroczynne słońce. Przez trzy lub cztery tygodnie powtarza to codziennie w godzinach południowych.

— Jakież to cudowne! A co potem?

— A potem, pewnego pięknego wrześniowego dnia, — pięknego jak dzisiejszy, woreczek się przerywa i małe, rzeźkie pająaczki wychodzą jedne za drugiemi, aż wyjdą wszystkie, a próżny, do niczego już niepotrzebny woreczek zostaje wyrzucony z nory.

— A co robią małe?

— Małe, zaledwie wyszły na świat, już wiedzą, co zrobić należy: wdrapują się natychmiast na grzbiet matczyny, cisną się tam jedno obok drugiego, niekiedy tylko w jednej warstwie, niekiedy zaś, gdy ich jest dużo w dwóch, albo trzech warstwach i tam sobie pozostają.... jeśli nie spadają.

— A jeśli spadają?

— Nic sobie z tego nie robią i chyżo włażą napowrót. Spacery takie odbywają ze swoją mamą w ciągu całej zimy.

— Nieee!

— Taak, Różyczko! Ja opowiadam ci tylko historje prawdziwe, widziane i cierpliwie zbadane.

— Kto wie, jak drażnią jej grzbiet tylu swemi nóżkami! I kto wie, co jej mówią?

— Co jej mówią? Nic. Cóż mówią mamie i Anusi wasze bliźniątka?

— Lecz one są stosunkowo mniejsze i mniej rozwinęte od pająków! One nie umieją wchodzić i schodzić z naszych kolan!

— I tem mniej będą umiały na wiosnę pójść sobie w świat, pożegnawszy mamusię na zawsze, jak to czynią pająki.

— Czy tak? I już się nauczyły jeść?

— Nie można powiedzieć, żeby się nauczyły, ponieważ, jak długo, są z matką, nie jedzą wcale. Rzecz niewiarogodna, a jednak dowiedziona: żyją słońcem, ciepłem. Ale gdy idą w świat, umieją już polować na smaczniejsze owady, na lekkomyślne muszki, które zaplątują się w ich sidła, gdyż, musisz wiedzieć, już umieją tkać pajęczynę.

— Jasiu, kto cię nauczył tego wszystkiego?

— Pewien piękny starzec o dobrych oczach i długich śnieżnobiałych włosach, który spędził swe życie na wsi i nigdy nie uprzykrzył sobie badań nad pięknością i cudami przyrody.

— Gdzie on jest?

— Żył we Francji. Teraz niema go już na ziemi.

— Umarł? Jaka szkoda! Ale skąd ty go znałeś? Czy byłeś we Francji?

— Nie. Znałem go z jego książek, które dotrzymywały mi towarzystwa, gdy przez długie miesiące musiałem leżeć bez ruchu. Nazywa się Henryk Fabre. Ale nie umarł, rozumiesz? Nic nie umiera na ziemi, ale wszystko zużytkowuje się i przeobraża. Również i dusze nie umierają, ale po śmierci żyją wolniejsze, szczęśliwsze.

— A zatem... i twoja mama, twój ojciec...

— Żyją, tak. Niekiedy, gdy myślę o rzeczach dobrych i pięknych, czuję ich całkiem blisko, jakgdybym słyszał muzykę, wibrację powietrza. Ale to są rzeczy, które nie dają się objaśnić.

Różyczka położyła dłoń na kolanie przyjaciela i nie odezwała się więcej. Słońce znikło za zwałem sinych chmur, obramowanych krwawą czerwienią; powietrze ochłodziło się nagle. Ale tych dwoje tak zatonęło w zadumie, iż gdyby nie wezwanie tam-tamu, nie pamiętaliby, że należy powrócić do domu.

Zaledwie powrócili, podniósł się silny wicher. Nieliczne gwiazdy skryły się wylękłe za zasłonę chmur, co nagle zakryły całe niebo i gęsty deszcz począł nagle dzwonić o szyby.

— Żegnaj mi, lato! — zawołała Kalina melancholijnie. — Teraz rozpoczyna się smętek jesieni, a potem przyjdą zimna....

— Kto mówi o smętku? — zapytał ojciec surowo. — Tam, gdzie jest praca, niema miejsca dla smętku.

— Tak, ale cały dzień nie można pracować.

— Któż to mówi? Pewnie, że można! Gdy odmieniamy rodzaj pracy i bawimy się zarazem, boć są gry i zabawy, które każą pracować mózgowi, gdy ręce odpoczywają i naodwrót... Są też dobre książki, które pomagają spędzić zimowe wieczory, jakby we śnie.

— Tak, ale czujesz zimno nawet, gdy czytasz opis podróży do Afryki, — rzekł Bronek ze śmiechem.

— Zimno? — podjął Cis wesoło. Ktoośmiela się już o niem wspominać? Nałożymy karę pieniężną na tego, kto wypowie to słowo. A ty, Maku, pamiętaj o przygotowaniu suchego drzewa, by z niego zrobić trzy pary nowych ski i sanki dla Jasia...

— I jedne malutkie dla mnie! — dodał Szczawik.

— A my? — spytały razem Kalina i Różyczka.

— Wy? — Jeśli tak się boicie zimna....

— Nie będą się bały — rzekł ojciec; — i jeśli Jasio okaże się dobrym woźnicą, powierzymy mu je po dwie odrazu: Kalinę i Topolkę, Różyczkę i Maniusię.

— Tak, ale ja chcę wozić także ciocię Julcię — oświadczył Jasio, patrząc na nią z czułością.

— Nie, ciocia Julcia należy do mnie — przerwał Cis ze śmiechem. — To ja ratowałem ją we wszystkich przygodach; i jeśli ma się wywrócić w śnieg...

— Jeśli istotnie mam się wywrócić, wszystko jedno, czy pojadę z tym czy z tamtym, nieprawda? Ale mnie nie będzie z wami tej zimy.

— Jakto? Dlaczego? Toby sobie było dobre! Nawet nie probój o tem wspominać, wiesz? Jak ci się zdaje, kto ci pozwoli odjechać? Jeśli będziesz probowała uciekać, zamkniemy cię w budce Rexa. Jeśli ty odjedziesz, któż będzie kierował ogólną pracą? A kto powie nam zawsze, gdzie trzeba twoje — tem lepiej?

Dzieci mówiły wszystkie razem: zmieszane głosy i różnorodne słowa, tworzyły chór czułego protestu, a mama i ojciec patrzyli na siebie ze śmiechem.

— Jak widzisz — rzekła potem mama do siostry — nie tak łatwo przyjdzie ci uwolnić się od tych dozorców twego więzienia.

Ciocia Julcia spojrzała na mamę, a potem potoczyła wokoło swemi

dużemi, szaremi, figlarnemi oczyma. Cały ten dziecęcy światek, którego ona poniekąd była królową, kochaną i szanowaną, był niezmiernie drogi jej sercu. Prawie nie tęskniła już do spokoju i skrupulatnego porządku swego małego gospodarstwa w mieście, prawie już nie pamiętała, iż przed swojem przybyciem tutaj, wiodła życie całkiem inne, w kórym nie było tylu duszyczek do kierowania, tylu sporów do zażegnania, tylu sprzeczności do pogodzenia. Patrzyła na nich kolejno, na dużych i małych, na tych dawnych i na świeżo przybyłych, których dusze, których przymioty i wady znała dobrze; i poczuła, iż nigdy nie potrafiłaby rozstać się z nimi na zawsze.

— Odjadę, gdyż muszę odjechać — rzekła potem spokojnie i stanowczo — i nikt mi tego nie zabroni i nikt nie zamknie mię wraz z Rexem. Wy wszyscy pożegnacie się ze mną wesoło, gdyż pojadę, aby powrócić... Cicho! Nie przerywajcie mi. Powrócę na wiosnę razem z wujem Wirgiljuszem; daję na to słowo cioci Julci. Lecz pod jednym warunkiem: że znajdę was wszystkich lepszymi... Z pewnością! Nawet tych, którzy już uważają się za grzecznych i rozsądnych. Przez ten czas musicie zrobić (i zrobicie) krok naprzód, jak rośliny, co pną się wzwyż. Odnajdę was większych wzrostem i wolą. I to będę uważała za obietnicę z waszej strony. Kto zamierza dać mi taką obietnicę, niech podniesie rękę.

Dwanaście prawic wszystkich rozmiarów, od dużej silnej ręki Cisa aż do różowej i delikatnej rączki Maniusi, podniosło się wgórę i obietnica została dana hałaśliwie, z całym zapałem zdrowych piersi i dobrej woli. Ciocia Julcia chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie mogła; jakieś słodkie wzruszenie ścisnęło jej gardło, a na usta, chcące się uśmiechnąć, wybiegło tylko: tem lepiej, tak ciche i drżące, iż ledwo można je było dosłyszeć.

ROZDZIAŁ XIV.

W którym opowiada się o wiejskiem święcie i w którym pojawiają się przedmioty, jakoby już zaginione.

Pogoda wkrótce się poprawiła, ale nie należało jej zbytnio ufać; to też rządca przyspieszył przygotowania do winobrania. Wszystkie dzieci były też w wielkim ruchu; nie było już różnicy pomiędzy

mieszczuchami, a wieśniakami. Każde robiło to, na co miało ochotę, a stary hrabia bawił się tem wielce.

Buk i Mak pracowali wraz z bednarzem przy zbijaniu klepek i obręczy; Bronek i Wiktor, teraz już chętniejszy do pracy, pomagali chłopcom przygotowywać wielkie kadzie i doprowadzać wszystko do porządku na czas wesołego żniwa; było to doprawdy święto dla wszytkich. Cis i Łukasz mieli nadzór nad wszystkiem i poważnie kroczyli wzdłuż winnic, by dopatrzeć robót; przy wozach z kadziami liczyli wiadra, które tam wypróżniano. Inni zaś, lekkomyślniejsi z usposobienia, śpiewali i żartowali ze zbierającymi winogrona; pośród nich Bronek zaskarbił sobie ogólną sympatję, intonując zwrotki i piosenki, które tamci za nim powtarzali. Przed wieczorem przychodziły dziewczynki z Jasiem i Kaliną, a na końcu ciocia Julcia, by dojrzeć, czy Szczawik zbytnio nie psoci, gdyż potrafił on przebywać jednocześnie w kilku miejscach; gdy mniemano, że jest na dworze, był w domu, a gdy sądzono, że jest w domu, był na dworze.

Przychodziła też dopilnować, aby dzieci nie objadały się zbytnio winogronami; ale ta obawa była nieuzasadniona; gdyż tak się niemi nasyciły pierwszego dnia winobrania, że potem wcale ich już nie kosztowały; i tylko na zaproszenie starego pana odkładały jakąś piękną kiść dla mamy, dla taty i jak mówił hrabia — „dla tego cnotliwego tam-tam, które w obecności innych skubnie gdzieniegdzie jakieś grono, tak sobie, od niechcenia, ale później, gdy nikt nie widzi... nie wystarcza mu i całe wiadro“.

I śmiał się, śmiał się z komicznie surowego spojrzenia, jakiem kobietka go piorunowała.

Gdy skończyło się winobranie, nastąpiły zbiory kukurydzy, stanowiące tak wielką zabawę dla najmłodszych: osobliwie dla Maniusi, która z wiechy kukurydzowej kolby robiła peruki dla dwóch łysych i anemicznych lalek, a które Różyczka bezskutecznie poddała leczeniu słońcem.

Szczawik nie powstydził się przykleić sobie wąsów i śpiczastej, rudej bródki, jak również dwu długich, zwisających na twarz kosmyków włosów, nawpół ukrytych pod dużym, starym ojcowskim kapeluszem,

który wygrzebał niewiadomo skąd; tak przebrany, ginący całą swą drobną postacią w kurtce Józka, wystraszył Agatę, goniąc za nią po schodach.

Biedna kobieta mówiła potem, że go przyjęła za małego djabełka: tego, który podług niej i kilku innych starych wiejskich kobiet, zabawia się płataniem figlów, którego wszelako nie należy mieszać z dużym djabłem (tak zapewniała), gdyż o tym wogóle niebezpiecznie wspominać. Przy tem opowiadaniu dzieci wybuchały tak wesołym śmiechem, iż ojciec zapomniał, iż chciał złajać tego swego sześcioletniego urwisa, który spłatawszy jednego figla, już myślał o dwóch innych.

— Jeśli będziesz się zabawiał straszeniem ludzi, oddam cię rządcy, a ten po zasiewach postawi cię w polu, jako straszaka — groził tatuś, zmarszczywszy brwi. Ale chłopiec znał już twarz swego ojczulka i nie lękał się wcale tego groźnego marsa, z poza którego przebijał uśmiech.

— Bardzo chętnie tam pójdę! — oświadczył spokojnie wśród śmiechu rodzeństwa. — Jeśli mi tylko będziecie przynosili jeść, pójdę tam i pozostanę. Ile dostanę za to dziennie od rządcy?

— To zależy. Jak sądzisz, ile jest wart twój dzień? Ile zarabiasz zwykle?

— To zależy — poważnie ze swej strony odparł Szczawik. — Czasem nic, czasem kawałek sera od Katarzyny; i co chwilę jakiegoś klapsa od kogokolwiek.

— I zapisujesz je?

— Co?

— Te swoje dochody.

— Nie, ale pamiętam je. Szczególnie klapsy.

— Czy także i te, które powinieneś dostać?

— Nie, dlaczego?

— Więc zapisz, jako należność te, na które zasłużyłeś sobie dziś wieczór. I zastanów się nad tem, w jaki sposób masz wynagrodzić psotę Agacie.

Starowina, która usługiwała przy stole i słyszała całą rozmowę, broniła się, mówiąc:

— Ale, cóż znowu, panie doktórze! Ja już zapomiałam o tem.

Ale chłopak rozmyślał usilnie; a dzieci, znające go dobrze, czekały z wesołą ciekawością na jego odpowiedź.

— Już pomyślałem! — zawołał potem z triumfem: — Kupię jej fajkę.

Obszerny pokój rozbrzmiał wybuchem śmiechu, jakim dorośli i dzieci odpowiedzieli na ten pomysł. Ale Agata, zaczerwieniona i rozgniewana, chciała uciec z pokoju.

— Poczekaj, Agato — mówił dalej chłopiec, nie zbity z tropu — posłuchaj: dlaczego nie chcesz zapalić fajki, jeśli tak lubisz zażywać tabakę?

Staruszka, wstydząca się wielce tej swojej przywary (i mająca nadzieję, że nikt tego nie zauważył), nie chciała już nic więcej słyszeć i szybko wyszła z pokoju, ze spuszczoną głową.

Wieczorem, w pierwszą październikową sobotę odbyło się na folwarku święto obcinania kaczanów kukurydzy. Wrota, wiodące na podwórze folwarczne, były pięknie oświetlone różnokolorowemi lampkami; za tę instalację, nad którą Łukasz i Buk pracowali całe trzy dni, otrzymując słuszną pochwałę. Zamiatanie i polewanie brukowanego podwórza należało do Bronka i Maka; Wiktor pomagał im ozdabiać wrota wieńcami, przygotowanemi przez Jasia i Różyczkę. Kalina ożywiła zieloność gałęzi kwiatami z czerwonego papieru, które, brzydkie zbliska, zdaleka przy sztucznem świetle lampek, były piękną ozdobą. Ciocia Julcia, lubo gorąco zapraszana, nie przyszła na obchód: miała wyjechać nazajutrz i pragnęła spędzić ostatni wieczór spokojnie, w towarzystwie siostry.

— Pozostawiam ci wszystko w najlepszym porządku i dzieci wszystkie w zgodzie z sobą; Wiktor i Buk też już nie patrzą na siebie zpodełba. Mam nadzieję, że przynajmniej na pewien czas będziesz miała zupełny spokój.

Ale mama westchnęła. Wiedziała z doświadczenia, iż porządek w jej domu, lubo nad nim wciąż pracowała, trwał niedługo; a zgodzie pomiędzy dziećmi należało tak mało ufać, jak marcowej pogodzie.

Troje najmłodszych, Szczawik, Maniusia i Topolka, pragnąc zapomnieć o przykrości, że nie są obecni na obchodzie (który zaczynał się zbyt późno dla nich) i by się pocieszyć, iż ukochana ich mała ciocia odjeżdża, wyprosiło sobie w kuchni różne rzeczy i urządziło sobie ucztę ze swemi lalkami; te, oczywiście, czuły się potem niezupełnie zdrowe z powodu różnych niestrawnych rzeczy, których nie jadły; w ten sposób dały Szczawikowi, jako doktorowi, możność przepisania im takiej dawki środków przeczyszczających, którejby nawet koń nie był się oparł. Potem dwie dziewczynki poszły do łóżeczek, a Szczawik pozostał, by doprowadzić do porządku zbiór minerałów, podarowany mu przez Bronka.

Tymczasem na folwarku, w oczekiwaniu nagrody, kipiała wesoła praca. Robotnice były młode, żywe dziewczęta i szczebiot ich zagłuszał szelest obrywanych liści.

Z obszernej kuchni, gdzie dwie kobiety pod okiem pani rządczyni zagniatały i smażyły ciasto, dochodził zapach słodkich obwarzanków. Rządca wyszedł z piwnicy, a za nim dwu ludzi, niosących butelki z winem. W jednym rogu podwórza Bronek umawiał się z grajkami (skrzypce i gitara), że na swej harmonijce będzie jako trzeci przygrywał do tańca. Próbowali różnych melodyj, lecz półgłosem, aby dziewczyny ich nie dosłyszały, gdyż w swej niecierpliwości byłyby źle wyłuskiwały ziarno, a tego rządca chciał uniknąć.

Rządca pragnął, aby piękna, silna kolba kukurydzy, tak pożyteczna w stajni i na sieczkę, została wyłuskana zręcznie i ostrożnie; sama zaś wiecha nie została rzucona byle jak, lecz zebrana w kupę ostrożnie i z uszanowaniem. Powtórzył to również i tego wieczora; a ponieważ dziewczęta na myśl o uszanowaniu dla kukurydzowej wiechy wybuchnęły śmiechem, objaśnił im łagodnie, ale poważnie, iż dla wszelkiej rzeczy, stworzonej na ziemi przez Boga, należy mieć wielkie uszanowanie, gdyż ludziom, pomimo ich wszystkich wynalazków, ulepszeń i ich zarozumiałości, nie udało się jeszcze zrobić kaczana kukurydzy.

Gdy już nagromadziły się stosy stożków o złocistych ziarnach z jednej strony a kupy liści z drugiej, jedna z dziewczyn, uchodząca za najlepszą śpiewaczkę, zaintonowała czystym głosem jakąś wiejską piosenkę; przy końcu każdej strofy wszystkie chórem powtarzały zwrotkę. Wkrótce świeże głosiki Kaliny i Różyczki przyłączyły się do tego chóru; Bronek szybko znalazł akompanjament; skrzypek, niechcący pozostać wtyle, jął skrobać swój nędzny instrument, a głuchy staruszek, grający na gitarze, zadowolił się brząkaniem, jak umiał, bum-bum.

Kilku młodzieniaszków, z których wielu powróciło z okopów, połączyło swe głębokie głosy z wysokiemi tonami dziewcząt; wszystkie najbardziej lubiane, modne pieśni, a także i starodawne, wesołe lub smutne, o pokoju i o wojnie, zabrzmiały w tę noc pogodną. Nawet księżyc wysoko na niebie zdawał się patrzeć z pewnem zadowoleniem na tę całą zebraną młodzież.

Wreszcie, mocnem klaśnięciem w dłonie dziewczęta oznajmiły, że robota skończona, i podniosły się, wytrząsając swe jaskrawe fartuszki. Poczęto obnosić półmiski ze smażonemi placuszkami; sam rządca rozlewał białe wino i rozpoczęły się tańce.

Cis tańczył bardzo dobrze, i dziewczęta rwały się do niego poczęści dlatego, że był dobrym tancerzem, a trochę też, że był ładnym chłopcem; najbardziej zaś, ponieważ wiedziały, jak wysoko cenią go dziedzic i rządca. On zaś, szczery i prostoduszny, jak zawsze, nie wyróżniał żadnej i tańczył z wszystkiemi. Jasio patrzył z zazdrością, jak tancerze zabierali mu Różyczkę, doskonałą tancerkę, leciutką jak piórko. Chłopcy dreptali jeden z drugim, wyprawiając przytem ucieszne żarciki. Lecz w pewnej chwili wszyscy skupili uwagę na Łukaszu i Kalinie, którzy, pozostawszy jedyną tańczącą parą, powoli i z wdziękiem krążyli pośrodku podwórza, przyczem ich harmonijne i piękne ruchy wzbudziły ogólny zachwyt. Gdy przestali tańczyć, rozległy się oklaski, na które Łukasz odpowiedział uśmiechem, a Kalina rumieńcem, gdy Cis odczuwał zarazem zadowolenie i zawiść.

Późnym wieczorem zjawił się doktór z młodym wikarym; najśmielsza z dziewczyn nie omieszkała natychmiast zaprosić wikarego

do tańca. Zacny młodzieniec nie czuł się tem dotknięty, i podziękował wesoło w sposób prostoduszny, a zarazem pełen godności, którym umiał wzbudzić szacunek; przywitawszy się z hrabią, zasiadł przy Franciszku, inwalidzie wojennym, który utracił na wojnie rękę i nogę do kolana.

Wikary był wojskowym kapelanem i widział zbliska całą wojenną grozę, chętnie też wspominał z Franciszkiem te dni, pełne wiary i zwątpienia, w których życie miało dla nich całkiem inne oblicze i inną wartość.

Franciszek został kaleką z powodu utraty kończyn, wikary zaś dlatego, że utracił zdrowie, albowiem duszące gazy, które wdychał, asystując konającym, osłabiły jego płuca na zawsze i nigdy już nie miał powrócić do zdrowia. A jednak obaj byli weseli, radzi z życia, zawsze gotowi sprawić przyjemność innym, nie jak, naprzykład taki Witek, syn sołtysa, młody człowiek, który uciekł z wojska po dwu miesiącach wojny, i wolał prowadzić żywot psa, włóczącego się w górach, aby się nie dać pochwycić.

Teraz, dzięki amnestji wolno mu było powrócić do rodzinnej wioski, lecz unikał inwalidów wojennych, a zwłaszcza Franciszka, gdyż wstydził się przed nim, choć przy spotkaniu starał się ukryć to pod szyderskim uśmieszkiem.

Trzeba wiedzieć (a mówię to do starszych dzieci, które potrafią zrozumieć takie rzeczy, jak je rozumieli Cis i Łukasz) trzeba wiedzieć, że w tej małej wioszczynie, położonej szczęśliwie na uboczu, napół ukrytej w ciasnej dolince, zdala od głównego gościńca, wśród lasów i gór (gdzie można żyć, myśleć, zastanawiać się, nie będąc zagłuszanym przez gadułów) zamydlacze oczu rzadko się pokazywali, a i w tych rzadkich wypadkach nie mieli powodzenia. Starzy uśmiechali się na myśl o równości w świecie, gdzie nawet dwa liście z jednego drzewa nie bywają jednakowe. Co się zaś tyczy podziału bogactw na podobieństwo owego magicznego tortu, z którego każdy może otrzymać piękną porcję, a zawsze go jeszcze pozostanie dla wszystkich, mających dobry apetyt, niewielu w to uwierzyło.

— Biada mi — zawołał Kasper, gdy pewnego razu taki ochrypły gaduła przestał się rzucać i zszedł ze stołka przed karczmą, by

wejść do niej i odwilżyć sobie gardło: — Biada mi... i tylu innym! A co będzie, jeśli wypadnie nas dziesięć tysięcy biedaków na jednego bogacza? Dziel i dziel, a wypadnie po pięćdziesiąt lir na każdego. A co potem? Ja je wydam, ty je wydasz, trzeci zarobi je u nas i znowu będziemy sobie nierówni.

— Nie powinieneś ich wydać! — poradził mu Witek, śmiejąc się.

— Masz tobie! Dobrze powiedziane. Więc pocóż je mam?

— Masz je odłożyć. Czy nie słyszałeś? Dla ogółu.

— Aha! Więc ja będę pracował, wysilał się, oszczędzał, jeśli zdołam, ale nie dla swoich dzieci, tylko dla wszystkich? A co będzie z tymi, co nie zechcą pracować? Mnie to się nie widzi. Jestem może starej daty, ale mnie to się nie widzi.

— Wybaczcie — odezwał się młody chłopak, który dotąd przysłuchiwał się milcząco; — więc wam się wydaje słusznem, żeby syn hrabiego, naprzykład, był wielkim panem i wydawał i trwonił tylko dlatego, iż urodził się synem bogatego ojca?

— Nie, mój chłopcze: ale sprawiedliwość przypomni sobie o nim w swoim czasie; jest ona o wiele mądrzejsza od nas; to mówi wam starzec, który już tego nie zobaczy. Wy ją zobaczycie i wówczas przypomnicie sobie. Tymczasem pozwólcie mu wydawać nawet zadużo; wszystkie te pieniądze idą na dzieła sztuki, rzemiosła, które zaopatrują bogaczy w ich zbytki. Czy ty wiesz, ile rodzin żywi się z bogactwa jednego człowieka, który koniec końców, przy całej swej rozrzutności nie może przecież włożyć dwu ubrań, jedno na drugie i jeść sześć razy dziennie, zamiast trzech?... Inżynierowie i robotnicy, stolarze, złotnicy, jubilerzy, kowale, ślusarze, siodlarze i rymarze, tapicerzy, dekoratorzy i malarze.... Wszystko to zacni ludziska — zakończył Kasper, śmiejąc sie na całe gardło, — ale gdybym to ja miał im dać robotę, umarliby wszyscy z głodu, oni, ich żony i dzieci. Tak samo i dentyści, którzy kładą panom złoto do zębów, ale każą sobie za to płacić; przecież, gdyby mieli czekać, aż ja dam im zarobić na moich zębach, musieliby czekać jeszcze. Pieniądze są, jako woda, a panowie są jako tamy.... Zerwijcie śluzy, wszystkie odrazu, a zobaczycie.... zobaczycie, co się stanie. Pierwsze pola będą aż nadto zalane; a reszta? Pozostaną suche. I zaraz trzeba będzie znowu stawiać śluzy.

— A więc?

— A więc co? Chcielibyście poprawić świat tak odrazu, akurat wy, gdy tylu mędrców próbowało to uczynić w ciągu tylu stuleci? Poprawa odbywa się powoli, to się nie da zaprzeczyć. Gdy ja byłem dzieckiem, niewiele okien miało szyby: miały w ramach rozpięte płótno i dobra. Mało było sukiennych kurtek: barchan i dobra. Nie było czystości, nie było szkół, nie było książek, któreby w słowach prostych i zrozumiałych wyjaśniały rzecz takim nieukom, jak my... I Niemcy panowali u nas i trzymali nas w ciemnocie, abyśmy nie mieli sił się buntować! Nie, nie: zbawienie nie przyjdzie na nas z gadania tego agitatora, opłacanego przez głupców, aby nam brzęczał w uszach. Zbawienie leży przedewszystkiem w chęci do pracy, do nauki. A potem w umiejętności trwania w zadowoleniu. Gdy się myśli, że panowie muszą przyjeżdżać tutaj, aby w naszem czystem, dobrem powietrzu wyleczyć się ze swych chorób, i że trzeba, aby powrócili do życia prostego i pracowali fizycznie, należy się zapytać, czy koniec końców my, czy też oni powinni wołać alleluja.

Tego wieczora, na folwarku Kasper znowu zebrał dokoła siebie grono słuchaczy. Hrabia, doktór i wikary słuchali go z przyjemnością. Ten ośmdziesięcioletni starzec, który tyle już widział (był już jako robotnik we Francji i w Niemczech), mógł dzięki swemu doświadczeniu i zdrowemu rozsądkowi nauczyć niejednego nawet i ludzi wykształconych: to też słuchali go z uszanowaniem.

Tego wieczora mówił o Bogu i o duszy; powoli i młodzież, wypoczywająca po tańcach, okrążyła go zwartem kołem.

— Mnie już niedaleko do śmierci — mówił stary, podnosząc swą spokojną twarz ku ciemnemu lazurowi pogodnego nieba — i nie boję się jej. Nie należę do tych, co obrócili krucyfiks ku ścianie, lub poprostu usunęli go z domu, by go więcej nie widzieć i wmówić w siebie, iż go niema i nigdy nie było. Jak dzieci, co chowają twarz i mniemają, że w ten sposób sprowadzają ciemność wśród jasnego dnia. Nawet tym, którzy Go uśmiercili, nie udało się usunąć

Go ze świata. Niedługo będzie już dwadzieścia wieków, jak się mówi o Nim; a to trochę dobrego, które dzieje się na ziemi, dzieje się w imię Jego i wedle słów Jego. Zaprzeczcie mi, jeśli potraficie.

Nikt nie odpowiedział, a starzec ciągnął dalej:

— Ja wierzę weń i wierzę we wszystko, co nam przyobiecał. A jeśli nikt jeszcze nie powrócił z tamtego świata, by nam opowiedzieć, jak się tam żyje, cóż to znaczy? To, co jest prawdą, jest prawda: nawet, gdy się tego nie widzi i nie rozumie. Czy widzicie prąd elektryczny? Czy dlatego powiecie, że go niema? Czy widzicie miłość, jaką czuje dla was wasza matka? Czy możecie ją położyć na wagę, odmierzyć? Nie. Czyż powiecie tedy, że jej niema? Ja wierzę w Królestwo Niebieskie — zakończył Kasper uroczyście, głosem drżącym, a jednak spokojnym — i rad jestem, że będę mógł naocznie się przekonać, jak się tam obchodzą z zacnymi ludźmi.

W milczeniu, co zaległo po tych słowach, dobiegł zdaleka dźwięk tam-tamu, tak rozedrgany w ciszy nocnej, iż brzmiał jak wezwanie z tamtego świata.

— Najświętsza Panno! — szepnęła jedna z dziewcząt wiejskich, ta właśnie, która zaprosiła wikarego do tańca. — Co to takiego?

— O, Marynko, — rzekł jeden z chłopców — i to jest cała twoja odwaga?

— To ciocia Julcia — rzekła Kalina. — Któż to może nas potrzebować w domu?

— Pewno mnie wzywają do chorego — pomyślał doktór.

Cis i Łukasz pobiegli już pędem na wezwanie. Powrócili rychło, triumfalnie niosąc na rękach, skrzyżowanych niby krzesełko, malutką i wesołą ciocię, zawsze gotową do żartu.

Zeskoczyła lekko z tej lektyki i pokłoniła się dookoła z wdziękiem i godnością: ale oczy jej śmiały się jeszcze bardziej szelmowsko niż zazwyczaj.

— O ciociu, — rzekła Różyczka, ściskając ją — przy tem świetle księżyca wyglądasz istotnie jak wróżka. Jak błyszczą twoje oczy! Jakiego figla nam przygotowałaś?

— Pokłon tam-tamowi! — zawołał hrabia, zginając się ku ziemi. — Czemuż zawdzięczamy zaszczyt tych odwiedzin?

Ciocia Julcia usiadła, chętnie napiła się białego wina, ze smakiem zjadła słodki obwarzanek, chwaląc go wielce przed panią rządczynią i wreszcie, zgoła się nie spiesząc, zdecydowała się wyciągnąć z torebki telegram, który położyła przed doktorem; potem jęła wyjmować z niej różne przedmioty, a gdy wyciągała je kolejno i układała na swoich kolanach, każda rzecz została poznana przez swego właściciela.

— Mój ołówek! — zawołał nagle Jasio.

— Złota spinka tatusia, której mama tyle szukała! — zawołały razem Kalina i Różyczka.

— Śrubka od mojego aparatu fotograficznego! — rzekł Łukasz — Czy to możliwe? Nawet nie zauważyłem, że ją zgubiłem!

— Trzy najpiękniejsze perły z mego weneckiego naszyjnika, których nie mogłam znaleźć od czasu, jak mi się zerwał! — krzyczała Różyczka, klaszcząc w ręce.

— Pewnie! — przyznała ciocia Julcia; — i srebrna łyżeczka, której brakowało od dnia chrzcin, a o której nie chciałam mówić nikomu, z obawy przed niesłusznemi podejrzeniami, mając zamiar dać zrobić podobną ...

— I twój naparstek, ciociu! — zawołała Kalina — srebrny naparstek, pochodzący jeszcze od babci, o którym dałaś mi do zrozumiena, że zdaje ci się, że to ja go zgubiłam na łące, prawda?

— Najprawdziwsza prawda; i tak mię to bolało.

— Ale powiedz nareszcie, gdzie się to wszystko znalazło? — pytały różne głosy.

— W starym bucie — poważnie odpowiedziała ciocia Julcia.

— Nie! Cóż znowu! Mówisz to dla żartu. Komuby coś podobnego przyszło na myśl?

— Nie wiem, czy to była właściwie myśl. Ale wiem, kto tą miał.

— Ktobądź nim jest, jest bardzo źle wychowany — oświadczył Buk gniewnie.

— Chyba źle wychowana.

— Aha, oczywiście, że taki pomysł może mieć tylko kobieta; na jaką złośliwość zdobywają się tylko one!

— Nie sądzę, żeby to była koniecznie kobieta, ale, że to zrobiła przez złośliwość, to pewna.

— Eulalja! — zawołał Jasio z takim triumfem, jakgdyby zawołał eureka. — Powinienem był to wiedzieć odrazu, powinienem się był domyśleć!

— Proszę pamiętać — odezwała się ciocia Julcia, spoglądając na wszystkich zgromadzonych — że Eulalja to sroka.

Resztę wyjaśniono wśród ogólnego śmiechu.

— Dziś wieczorem Eulalji wcale nie chciało się spać. Zasiadła sobie na poręczy fotelu i przyglądała się błyszczącym i złocistym kamyczkom, które Szczawik ułożył sobie na stole. W pewnej chwili widzę, że chłopiec zaniepokojony nagle się zrywa; Eulalja trzepocze się niespokojnie i oboje spierają się z sobą. Jeden kamyczek spadł na podłogę i sroka porwała go czemprędzej.

— Szkaradna złośnico! — krzyczy Szczawik! — oddaj mi mój krzemień.

Ale nieustraszona sroka chwyta znowu dziobkiem kamyczek, który złożyła na chwilę, aby móc lepiej skrzeczeć i chyżo umyka z nim z pokoju. Miałam zaledwo czas powstrzymać Szczawika, aby nie pobiegł za nią. — Czekaj, — nakazałam mu półgłosem — poczekaj tylko jedną chwilę. Pójdziemy za nią i odkryjemy gdzie ma swe schowanko.

Istotnie, stojąc we drzwiach, widzimy, jak ona w podskokach kieruje się do kryjówki pod schodami, jak w niej znika na chwilę i potem ostrożnie wychodzi z niej do kuchni na swoją zerdź, gdzie układa się codziennie do snu.

Wówczas ze świecą poszliśmy na poszukiwania, pochyleni pośród połamanych klatek, wśród setki drobiazgów, starego obuwia... I właśnie wewnątrz zupełnie zniszczonego myśliwskiego buta doktora, zupełnie już do niczego...

— O doktorze — zawołał hrabia, śmiejąc się: — czy pan nie słyszy, jak pana traktują?

Ale ów, zatopiony w odczytywaniu telegramu, nic nie odpowiedział.

— Mówiłam o bucie, nie o doktorze — oświadczyła ciocia Julcia. — Właśnie wewnątrz tego buta znajdował się cały ten skradziony skarb.

— A to złodziejka! A to szelma!

— Powoli! — nakazał doktór, chowając depeszę do kieszeni i gotów już bronić swej wiernej sroki. — Jest raczej złośliwa, a nie szelma. A złodziejką też jej nazwać nie można. Nie kradła ze świadomością, że kradnie. Dzięki swemu osobliwemu instynktowi oszczędnej gosposi ukryła wszystkie błyszczące przedmioty, które jej się podobały i które... nie leżały na swojem właściwem miejscu. Ja oskarżam się pierwszy: spinka wypadła mi z ręki, gdy ją chciałem wpiąć do mankieta, i z pośpiechu nie schyliłem się, aby ją podnieść: wziąłem inną parę spinek i pozostawiłem mamie trud odszukania tej.

— A tymczasem znalazła ją Eulalja — odezwał się Jaś, z dobrym uśmiechem, spoglądając na Buka. — Tak samo miała się pewnie sprawa z moim ołówkiem, chociaż nie przypominam sobie, kiedy mi upadł.

— Być może, iż to mnie wypadł z ręki, — uczciwie przyznał się Buk, wiedząc, iż często miał go w ręku — i Eulalja napewno była tam owego wieczora, ciekawa i złośliwa, jak zawsze.

— Przepraszam cię — zauważył Cis, śmiejąc się — czyżbyś żądał, aby ci go schowała i potem zwróciła? Jeśli jesteś tak roztargniony, iż nie spostrzegasz nawet, gdy coś ci wypada...

— Zrozumiałem — oświadczył hrabia całkiem poważnie, — należy tedy pójść do panny Eulalji i podziękować jej, iż nauczy was porządku.

— Nie wiem, jak przyjmie podziękowania, — rzekła ciocia Julcia — co zaś tyczy się wyrzutów, gdyby ktoś zamierzał jej takowe czynić, tobym mu odradzała.

— Dlaczego?

— Dlatego, że odpowiada do rymu. Kiedyś zrana, gdy się czesałam, zabawiała się ciągłem zabieraniem mi szpilek do włosów: — Przestań, ty sroko! — powiedziałam jej wreszcie zniecierpliwiona. A ona odpowiada bez namysłu: — Oko, oko! — Ale głosem tak wściekłym i skrzeczącym, jak prawdziwa, stara czarownica. — Brzydka!

— zawołałam wówczas... A ona natychmiast mi to powtórzyła dwa razy.

Wsadzili Jasia i ciocię Julcię na wózek i śpiewając powrócili do domu. Nigdy dzieci nie były tak wesołe i zgodne, jak tego wieczora. Wiktor otoczył ramieniem szyję Buka i ten gest był wymowniejszy od wielu słów. Noc była tak świeża i czysta, jak świeże i czyste były ich myśli. Tylko ojciec, może zatroskany otrzymaną depeszą, szedł poważny i zamyślony. Ale wkońcu otrząsnął się i spoglądał znowu stanowczo i dumnie, co zwykle podziwiał jego najstarszy syn.

— Jutro rano — rzekł spokojnie, — odprowadzę ciocię aż do jej domu. Nie pojedziemy koleją, ponieważ hrabia daje nam do dyspozycji swój samochód. Sądzę, że Łukasz będzie musiał jechać ze mną.

Jak zawsze, słowa ojca zostały przyjęte jako rozkaz, którego słucha się z przyjemnością.

ROZDZIAŁ XV.

W którym, niestety, trzeba mówić o rzeczach poważnych i niemiłych: ale spogląda im się w oczy odważnie i z pogodą.

Pożegnanie z dziećmi było krótkie; ciocia nie chciała zbytnio się rozczulać. Młodsze spały jeszcze. Tam-tam został powierzony Jasiowi, aż do przyobiecanego przyjazdu cioci; on właśnie miał ją w wielu wypadkach reprezentować; tam-tam był symbolem władzy, jaką ciocia chciała na niego przelać. Ponieważ Jasio był najlepszy i siłą rzeczy najwięcej z całego towarzystwa przebywał w domu, nikt nie śmiał zaprzeczać mu prawa do tego zaszczytu. Zresztą zaszczyt ten był jakby odszkodowaniem za ofiary, jakie biedny chłopiec musiał ponosić, gdyż choć stawał się z każdym dniem silniejszy i mógł już chodzić bez podpory, nie wolno mu było jeszcze nawet marzyć o bieganiu. Jakoż i tego poranku, choć wstał wcześniej, by pożegnać swą najdroższą

przyjaciółkę, nie mógł, jak reszta dzieci pobiec na wzgórze, by widzieć, jak samochód szybko zjeżdża wdół i jak ciocia jeszcze raz powiewa chustką w odpowiedzi na wesołe powiewanie ręcznikami i serwetkami, w które zaopatrzyły się dzieci, by wymachiwać niemi aż do ostatniej chwili.

Jasio powoli powrócił do domu: smutek, jak zawsze, przyoblekał się u niego w formę poezji. Swym, drogim jego sercu, znowu odnalezionym ołówkiem, w albumiku, który ciocia Julcia mu ofiarowała, napisał pokryjomu, prawie nic nie podkreślając, słodkie wiersze, przeznaczone jedynie dla małej, przybranej cioci. Czy rzeczywiście tylko dla niej? Nie: może i dla Różyczki. Ale narazie, dla nikogo. Słysząc, że dzieci powracają, Jasio szybko schował kajecik.

Wuj Wirgiljusz zamierzał właśnie pójść na stację po swoją ukochaną siostrzyczkę, gdy usłyszał, iż przed drzwiami jego domu zatrzymuje się samochód i rozlegają się głosy siostry i doktora. Zdumiony i ucieszony, wyszedł naprzeciw. Gdy całował siostrę i ściskał dłoń szwagra, jego piękna twarz prawie bez jednej zmarszczki, mimo że ukończył już sześćdziesiątkę, rozjaśniła się w uśmiechu. Potem zwrócił się do Łukasza, którego nie znał osobiście i, domyślając się, kim być może, rzekł uprzejmie:

— Moja siostra pisała mi dużo dobrego o panu i jego braciach. Witam pana w moim domu.

Łukasz odzyskał szybko swą miejską wytworność i skłonił się, przed uczonym, którego książki czytał; z uczuciem pewnego uszanowania wstąpił w progi tego małego domku, gdzie największy pokój był pracownią uczonego, a tu znowu najwięcej miejsca zabierały książki, których było pełno wszędzie.

Oprócz dwóch szaf bibljotecznych, zajmujących dwie najdłuższe ściany, duży stół był również pokryty książkami, nie mówiąc o półce, która była niemi obładowana, i o biurku, gdzie liczne tomy, z których dwa były otwarte, świadczyły jak bardzo profesor cenił sobie tych swoich milczących, a tak wymownych przyjaciół.

Ciocia Julcia chciała oprowadzić Łukasza po swem małem

państewku, ale doktór poprosił ją, aby go pozostawiła z nimi, chciał mu bowiem wyjaśnić, dlaczego sprowadził go do miasta.

To mówiąc, odprowadził szwagierkę aż na próg pokoju i starannie zamknął za nią drzwi.

Chłopcy, gdy wyrastają z lat dziecinnych, bywają rzeczywiście traktowani, jak dorośli mężczyźni. W godzinę potem, jak ciocia Julcia została grzecznie wyprowadzona z pracowni, drzwi otworzyły się znowu i pierwszy wyszedł z nich Łukasz, trochę przybladły, lecz z wyrazem takiej pogodnej godności na twarzy, jaką może mieć trzydziestoletni mężczyzna, nie zaś piętnastoletni chłopiec, gdy poweźmie jakieś ważkie, a nieodzowne postanowienie.

Wszyscy czworo zasiedli przy stole, na którym zacna gosposia przygotowała już kawę i biszkopty. Kłopotliwe milczenie przerwał Łukasz, mówiąc głosem nieco drżącym, lecz z uśmiechniętą twarzą:

— Ciociu Julciu, czy wiesz, co cię czeka tej zimy?

— Nie; posłuchajmy.

— Będziesz musiała znosić moje towarzystwo.

Zdziwiona, zwróciła się szybko ku bratu.

— Tak jest — potwierdził ów, rzuciwszy porozumiewawcze spojrzenie na szwagra — potrzebny mi dzielny chłopiec, któryby mi potrosze służył za sekretarza, a potrosze robił mi korektę, sam wdrażając się do studjów rolniczych. Ale rozpoczniemy dopiero w listopadzie, prawda, drogi Łukaszu? W październiku należy jeszcze użyć wakacyj.

— Wakacyj nie pragnę: nie umiałbym ich używać. Ale mam nadzieję, że Cis, o tyle ode mnie doświadczeńszy w wielu rzeczach, pomoże mi stać się użytecznym.....

— Gdybyście zechcieli łaskawie — odezwała się w tej chwili ciocia Julcia tonem rozgniewanym — wyjaśnić mi, co to wszystko znaczy, byłabym wam wdzięczna.

Doktór położył z czułością swą szeroką dłoń na jej małej rączce:

— Wybacz, szwagierko. Masz słuszność, ale...

— Moim jest obowiązkiem — rzekł Łukasz, widząc, jak trudno przychodzi doktorowi mówić — opowiedzieć tę nowinę. A więc: bank, w którym był złożony prawie cały nasz majątek, nagle zamknął swe okienka.

— A więc? — spytała ciotka, tak dobrze znająca dusze ludzkie, a tak mało sprawy bankowe. — A więc? To i cóż? Otworzy je przecież, do licha!

Trzej mężczyzni uśmiechnęli się.

— Niestety, nie otworzy ich tak prędko — odparł profesor — i mało jest nadziei, aby te dzieci kiedykolwiek coś odzyskały....

— Ależ to jest nikczemność!

— O, tak. To zakrawa na oszustwo. Ale ta świadomość na nic się nie zda poszkodowanym, jedynie rozgoryczy ich bardziej jeszcze.

— Ale czemże bank może usprawiedliwić podobne postępowanie?

— O! Może w różny sposób: nieudane operacje bankowe, zbyt hojnie udzielane kredyty....

— Dość, dość — oświadczyła zaniepokojona kobietka. — I tak nic z tego nie rozumiem.... Tem lepiej, może. Inaczej któżby mię powstrzymał od pójścia tam i walenia pięściami w te okienka, jako też od powiedzenia swego zdania tym, którzy na to zasługują? Sens moralny jest, że to dzieci...

— Te dzieci — odezwał się znowu profesor — mogą się jeszcze zaliczyć do szczęśliwych. Toć dopiero tydzień temu, jak upoważniony przez ich opiekuna, który teraz trapi się nad miarę, podniosłem z tego banku kwotę, potrzebną na zakupienie ziemi pod wzorowy sad; a tymczasem te pieniądze zostaną teraz obrócone na konieczniejsze rzeczy, prawda?

— Nic mię tak nie martwi — zauważył doktór — jak to, że mogłem cię przecież upoważnić do podniesienia większej sumy, rozumiesz?

— Ależ nie byliby mi dali, mój kochany. Czy wiesz, jak trudno było wydostać tyle, ile wydostałem?

— A więc pocóż jeszcze tem się trapić, ojcze? — rzekł Łukasz czule.

Nigdy go tak nie nazywał. Ale w owej chwili słowo to przyszło

mu samo na usta, by pocieszyć zacnego człowieka. A tamtemu oczy zaszły łzami.

— Od chwili, gdy zacny pan profesor zapewnia mię, iż to, co pozostało, wystarczy abyśmy nie byli zbyt wielkim ciężarem dla tych, którzy nam okazują tyle przywiązania, a on sam pomoże mi rychło wejść na dobrą drogę — ciągnął dalej Łukasz — nie widzę powodu do rozpaczy.

— O ile wiem, chciałeś wstąpić do szkoły marynarskiej....

— O, to było tylko chłopięce marzenie. A tymczasem zamiast poznać morze, poznam ziemię. Jeśli później odzyskamy cośkolwiek, poślemy Bronka na morze, bo tam on rwie się poprostu. Jaś pod kierunkiem Cisa i rządcy zostanie dobrym rolnikiem; i zadowoli się malowaniem oraz układaniem wierszy w wolnych chwilach. Najbardziej dotknie to Wiktora — śmiejąc się zakończył dzielny chłopiec, — trudno mu bowiem będzie wystawić stajnię wyścigową, o której tyle mówi!

— Trzeba go będzie posłać w stepy, gdzie zetknie się z końmi — zaproponowała ciocia Julcia, która postawiła sobie za zadanie pomagać Łukaszowi w braniu rzeczy z ich najlepszej strony.

— Dlaczego nie? W swoim czasie (oczywiście nie teraz) — rzekł wuj Wirgiljusz — będziemy się starali uczynić zadość jego upodobaniu i wprowadzić go na tę drogę.

Doktór i Łukasz udali się wkrótce na stację: obu im spieszno było powrócić na wieś. Siedząc obok siebie w przedziale prawie pustym, nie rozmawiali wcale; ale ręka doktora poszukała dłoni Łukasza i trzymała ją długo, jakby doktór chciał mu przez to powiedzieć, iż odtąd jeszcze bardziej uważa go za swego syna.

ROZDZIAŁ XVI.

W którym jeden z chłopców postanawia jąć się rzemiosła; drugi zaś płacze, choć nie ma do tego powodu.

Doktór nie dowiedział się nigdy i nie pragnął się dowiedzieć, w jaki sposób najstarszy brat zawiadomił rodzeństwo o zmianie sytuacji, która ich dotknęła. Wezwani na kolację, zjawili się spokojni w pokoju jadalnym, jakgdyby zgóry umówili się tak się zachować.

Być może, że Jasio był bardziej zamyślony, niż zwykle, a Wiktor raczej rozgniewany; natomiast oczy Bronka śmiały się, gdy spoglądał to na starszego brata, to na doktora, jakgdyby chciał im powiedzieć, że, o ile chodzi o niego, nie powinni się wcale troszczyć.

Tylko Łukasz miał chwilkę słabości, gdy Maniusia spytała go o piękną lalkę, której się od niego spodziewała. Przez delikatną jego twarz przebiegł na krótką chwilę skurcz, jakby płaczu; ale umiał się przezwyciężyć; Mak zaś, zwykle tak nieśmiały i milczący, przyrzekł Maniusi coprędzej, iż zrobi jej piękną lalkę, całą z drzewa, do której głowa, wyrzeźbiona przez Jasia, była już gotowa; potem umaluje jej twarz na biało i różowo, a Kalina uszyje jej suknię podług ostatniej mody; potem wyprawi się jej huczne chrzciny. A takiej ładnej lalki nie znajdzie się, nawet gdyby się obeszło wszystkie sklepy całego świata.

Maniusia, uszczęśliwiona tyloma obietnicami, klaskała w rączki, a mama, ku której Mak zwracał się ciągle w czasie tej długiej przemowy, dziękowała mu oczyma.

Pod koniec wieczerzy, Bronek, potoczywszy po całej kompanji figlarnemi oczami, poprosił swego sąsiada Buka jeszcze o trochę wody, mówiąc, iż zdaje mu się, że wody może mieć, ile zechce, nie krzywdząc nikogo. Popijał ją powoli, jakgdyby to było wyborowe wino, mlaskał językiem i postawiwszy szklankę, skrzyżował ręce na piersiach.

— Wyśmienita: świeża i łatwo strawna. Hm! — rzekł potem, jakby obmacując się po kieszeniach wyimaginowanej kurtki — ja wcale nie wiem, jak sobie uprzytomnić, że jestem biedny. Pieniędzy nie mam, to prawda; ale ponieważ przyzwyczajono mię chodzić bez kurtki, pytam się was, gdzie mógłbym, tak ubrany, trzymać portfel? Istotnie, gdyby nie nadchodziła zima, jakie oszczędności możnaby robić na skarpetkach, na butach, na ubraniu! Czy chcecie mi wierzyć, że ja, dopóki nie spadnie śnieg, obejdę się nawet bez sandałów. Mam stwiardniałe pięty, które nie czują już nic, nawet cierni. A Jasio, jako poeta, stąpający zawsze po obłokach, powinien bez trudu pójść za moim przykładem.

Spojrzał na doktora, zrozumiał jego milczącą zachętę (nie do

chodzenia boso, ale do tej zuchwałej wesołości) i, uderzając w swoje ramiona spalone i silne, rzekł do Buka:

— Zobacz, jakie mam mięśnie. Jak atleta. One i dobra wola pomogą mi przebić się w życiu. Postanowiłem zrobić, jak król francuski: nauczyć się rzemiosła.

— A czy wybrałeś już jakie? — zapytał ktoś, śmiejąc się.

— Pewnie. Najpożyteczniejsze dla rodziny. Cóż w tem śmiesznego, moje panienki? Oczywiście, że nie rozpocznę od was, aby nie okaleczyć waszych nóżek; ale widziałem w schowanku zimowe obuwie mniej lub więcej zniszczone: tu pęknięta skóra, tam podeszwa... A ja będę kładł łaty; sądzę, że po kilku dniach nauczę się tej sztuki.

— Zatem szewczyna! — określił to Szczawik lekceważąco.

— Do usług! A najwięcej roboty będę miał u ciebie, kochany panie, który połykasz podeszwy, jakby to były grzanki. Szewczyna — i dumny jestem z tego. Byli już sławni szewcy, również jako poeci... Z tej przyczyny raczej Jasio powinien się imać tego rzemiosła, a nie ja.

— Dość już tego — zawołała Różyczka dotknięta — czyż pozostawicie nareszcie w spokoju tego biednego Jasia? Ile dalibyście za to, być umieć tak układać wiersze, jak on!

— Bardzo przepraszam, panią obrończynię; nikt nie zaprzecza zasług naszemu poecie. Lecz on powinien być uważniejszy i nie rozsiewać kartek po pokoju, jeśli nie życzy sobie, aby taki nędzny zamiatacz pokojów, jak ja, miał sposobność zbierania jego wynurzeń.

I Bronek, wyciągając z kieszeni kartkę, jął deklamować:

O święta miłości
mej sierocej młodości,
Spójrz na mnie łaskawie
i pomóż mi...

znaleźć rym, bo natchnienie
wydało już ostatnie tchnienie.

Słuchając dwu ostatnich wierszy, dodanych, rozumie się, przez Bronka, wszyscy wybuchnęli serdecznym śmiechem. Ale Jasio, lubo tak dobry, lubo tak cierpliwy, nie umiał powstrzymać się od łez.

Rzucił na papier kilka tych wierszy natychmiast po odjeździe cioci Julci, ale odczytawszy je i nie mogąc, istotnie, znaleźć rymu do łaskawie, zaprzestał pisania i wyrwawszy kartkę z albumu, rzucił ją na ziemię. Teraz cierpiał, widząc, iż najtajniejsze drgnienia jego duszy zostały niedyskretnie ujawnione; i to właśnie w chwili, w której z innej zgoła przyczyny, czuł się mniej przydatnym od innych: gdy życie poczęło przedstawiać się trudniejszem dla niego i jego rodzeństwa i gdy dwoje silnych ramion miało większą wartość, niż subtelny umysł.

— Dosyć już, Bronku — spokojnie rozkazał ojciec, podchwytując spojrzenie mamy i widząc, iż źrenice Różyczki błyszczą od powstrzymywanych łez. — Oddaj Jasiowi jego wiersz. Trzy pierwsze rymy są dźwięczne i harmonijne, prawda, mamusiu?

— Tak, bardzo ładne. Trzeba, abyś hodował ten swój dar Jasiu. Poezja to muzyka i koi duszę tak samo, jak ona. A jeśli coś koi duszę, nie jest nigdy bez pożytku — rzekła mama.

Bronek szybko podbiegł do brata i poklepał go dobrodusznie po ramieniu.

— Ja przecież tylko żartowałem, Jaśku. Chciałem rozweselić towarzystwo. Nie przypuszczasz chyba, że chciałem ci sprawić przykrość. Wiedz, że właśnie chciałem cię prosić o wierszyk o korzyściach ubóstwa, do którego chciałem dorobić muzykę. Czy ułożysz go dla mnie? Jeśli chcesz, podsunę ci myśli, a ty ułożysz je w rymy. Ależ, Jasiu, czy wypada ci płakać z powodu takiej błahostki!

— To nie dlatego, to nie dlatego — szeptał Jaś, z trudnością powstrzymując łkania.

— A więc dlaczego?

— Dlatego... Dlatego, że tak mnie to martwi, że... że nie jestem silny... i że muszę być ciężarem...

— A któż naprowadza cię na takie brzydkie myśli? — spytał doktór, a w jego głosie, nagle tak surowym, pod wyrzutem kryła się wielka litość. — I któż skłania cię do powątpiewania o mojej obietnicy, że uczynię cię tak silnym, jak inni? Któż ci mówi, że i ty nie staniesz się nieodzownym na swojem polu pracy? Synu mój, ja zamierzam zużyć twe zdolności na korzyść nas wszystkich! A gdyby nawet było prawdą, że narazie mnie potrzebujecie, uczyniłoby

mię to szczęślwszym. Ale rzeczy nie tak się mają: nie jesteście już bogaci, oto wszystko! Tyle, ile wam będzie potrzeba do skromnego życia, do którego was już przyzwyczaiłem, tyle wam wystarczy; i właśnie tobie, Jasiu, chcę po odjeździe Łukasza powierzyć zarząd waszym majątkiem i domowe rachunki. Czy ci to odpowiada?

— Tak, odpowiada mi, — odparł Jasio, już rozpogodzony. — A wreszcie, jeśli będę się czuł silnym, któż będzie bogatszy odemnie?

— Zatem — podjął Bronek: — Jasio prowadzący rachunki, Łukasz profesor, czy coś podobnego, ja szewc... Tylko ten pan jeszcze się nie zdecydował. Nie mogąc trzymać stajni wyścigowej...

— Będzie wodził osły — zakończył Szczawik.

Wiktor rzucił mu złe spojrzenie.

— Nadaremnie się wysilacie — rzekł wreszcie. — Czy wam się rzeczywiście zdaje, ze ja nie umiem myśleć o niczem? Mam już pewien pomysł, aby razem z rządcą...

— Z rządcą?

— Pewnie! Kupuję w tym roku dwa wieprzki, wychowam je, utuczę, zrobię z nich kiełbasy i szynki i ofiaruję to wszystko rodzinie.

— Brawo! Wcale niezła myśl.

— Ależ to prosiaki będą pracowały, a nie ty!

— A potem, kupię i kupię... Ale powiedz mi, kto ci da pieniądze?

Wiktor, zbywszy milczeniem dowcipy i śmiechy, nareszcie zdecydował się przemówić:

— Pieniądze? Trochę mam sam, a kilkadziesiąt lir uda mi się chyba pożyczyć...

— Bardzo dobrze! Niema co mówić: nie brak ci żyłki handlarskiej.

— Pożyczka? Od kogóż to? A w jaki sposób oddasz potem te pieniądze?

— Oddam je, gdy zarobię ze sprzedaży tych części prosiaka, których nie spożyje się w domu.

— Dobrze — rzekł Cis rozbawiony — ja ci dam pożyczkę.

Doktór spojrzał nań z uśmiechem.

— Odkąd to mój pierworodny stał się kapitalistą?

— Dopiero od dzisiaj, ojczulku — odparł Cis, wyciągając z pod sweatra swój cienki skórzany pugilares. — Dziś rano po zamknięciu tygodniowych rachunków, hrabia wprowadził mię do swego prywatnego gabinetu; napomniawszy mię, iż jako młody chłopiec winien mu jestem szacunek i posłuszeństwo i dodawszy, iż byłem mu w ciągu roku prawdziwą pomocą, i że jest z nas wszystkich wielce zadowolony, wręczył mi paczkę, zabraniając mi otworzyć ją, zanim przybędę do domu. Tak też zrobiłem, prawda, mamusiu?

— Tak jest; Cis chciał potem pobiec na folwark — rzekła mama i oddać wszystko. Lecz taki postępek byłby nietylko niegrzeczny, to byłaby obraza dla tego zacnego przyjaciela.

Doktór zachmurzył się nieco. W pierwszej chwili byłby, tak samo jak i syn, najchętniej zwrócił pieniądze.

— W pugilaresie — ciągnęła dalej mama — były: kartka z słowami serdecznej podzięki i sześć małych kopert z imionami dzieci, dla których były przeznaczone w nagrodę za ich pomoc i dobrą wolę. Dwieście lir dla Cisa; sto dla Łukasza; po pięćdziesiąt dla Buka i Maka; po trzydzieści dla Bronka i Wiktora, którzy, jak na ich wiek, bardzo byli pracowici. Wszystko było rozdzielone sprawiedliwie i Cis sam rozdał to wśród dzieci. Koperta Łukasza leży na jego biurku.

— Ja oddałem swoją mamusi do przechowania — rzekł Mak.

— Ja natychmiast dałem swoją Jasiowi; nie wiedziałem bowiem, gdzie ją schować, ani co zrobić z temi trzydziestoma lirami—oświadczył Bronek.

— Ja je zatrzymałem ze względu na prosięta — objaśnił Wiktor.

Buk nie powiedział, gdzie złożył pieniądze i na co je przeznacza. Ojciec spojrzał na niego wyczekująco. Potem smutnie potrząsnął głową, — ale nie nalegał więcej.

ROZDZIAŁ XVII.

W którym w inny sposób, niż zazwyczaj rozpatruje się biedę i bogactwo.

— Jeśli pan to bierze z tej strony, żegnaj nasza przyjaźni! — oświadczył hrabia doktorowi, który nie zwlekając, tegoż wieczora poszedł z Cisem i Łukaszem do starego pana, by mu czynić wyrzuty, że tak obdarował chłopców. — Sądziłem i sądzę, że mam prawo wynagrodzić podług swego widzimisię tych, którzy tyle dla mnie uczynili; zwłaszcza i nadewszystko dlatego, że oni robili to bez żadnej myśli o wynagrodzeniu.

— Nagrodą dla tych chłopców było to, że mogą się panu hrabiemu przysłużyć i sprawić mu przyjemność, bo przecież pan nie omija sposobności, by okazać nam swą uprzejmość. Ale w ten sposób.....

— W ten sposób? Co pan chcesz powiedzieć? że ja temi niewieloma lirami zapłaciłem za wszystko, co pańscy synowie dla mnie zrobili? Pan tego nie rozumie, kochany doktorze; pan jesteś uczonym, ale na tych rzeczach nie możesz się znać. Pan masz dokoła siebie, w swym domu takie bogactwo zdrowia, dobrej woli, inteligencji, iż nie możesz pojąć, jak biedni są inni... Jak biedny jestem ja! — zakończył posępnie starzec, w zadumie opuszczając głowę na piersi.

W milczeniu, co zaległo po tych słowach, dał się słyszeć starożytny, drogocenny zegar, stojący na konsolce dużego kominka, i powoli wybijający godziny: dziesięć uderzeń, które w tej pięknej bogatej komnacie wydawały się istotnie, jak kroki przeznaczenia. Hrabia podniósł głowę, wyjął z biurka list i położył go przed doktorem. Ten czytał go uważnie, potem przeczytał po raz drugi; oddając go wreszcie hrabiemu, szukał słów pociechy, ale ów poprosił go szybkim ruchem ręki, aby milczał.

— Nie, lepiej jest zawsze spojrzeć prawdzie prosto w oczy, nawet, jeśli jest straszna. Miałem dwu synów, teraz nie mam żadnego. Albowiem ten, ten, którego lekarze teraz skazali na śmierć fizyczną

(a on sam skazał się już moralnie) jest tylko ruiną, wstydem dla mnie. Powróci tutaj, gdzie mógłby żyć szanowany i pożyteczny dla innych, powróci, aby umrzeć... Nie, nawet zbyt łagodnie powiedziałem; prawda jest jeszcze gorsza: powróci już, jako nieżyjący. Zidjociały, zmarnowany, bezwładny... Chłopcy, czy wiecie, co znaczy bezwładny?

— Tak, panie hrabio — odparł Cis, któremu zgryzota starca ściskała serce: to znaczy, że nie może już panować nad ruchami swych nóg...

— A jeśli będzie mógł chodzić — dodał hrabia, wzdrygając się, — to tylko podpierany pod pachami, wyrzucając bezwładnie kończynami, jak jaka straszliwa marjonetka, z której wszyscy mają prawo się śmiać...

— Nie, nie, panie hrabio! Dlaczegoż tak myśleć?

— Dlatego, że tak jest... i tak być powinno. Och, niema co mówić: ludzka sprawiedliwość może się mylić, ale sprawiedliwość, która przychodzi z góry, nie chybi nigdy. Kara jest zasłużona.

— Syn pański może zasłużył sobie na nią, — ośmielił się doktór powiedzieć — ponieważ zmarnował własne zdrowie, własne życie. Ale jakąż winę może pan sobie zarzucić?

— Jedyną winę, ale nie do wybaczenia: pobłażanie. Miałem zawsze nadzieję, iż sam zrozumie, sam się opamięta... I pozwoliłem mu stoczyć się aż na dno występku; na dno bezeceństwa. Nie byłem ojcem, nie byłem doradcą, który nie zamilcza przed synem prawdy, nawet drażliwej: nawet tej, którą syn sam przeczuwa, ale nie umie i nie chce jej wyznać. Byłem słaby wobec niego od pierwszych chwil jego dzieciństwa i łudziłem się, iż ustępując jego zachciankom, wyrobię w nim wolę, uczynię zeń mężczyznę. I zapomniałem, że tylko dyscyplina, spokojna, oględna, ale stanowcza czyni ludzi silnymi. Ale nie mówmy więcej o mnie. Powiedz mi pan, w jaki sposób załatwiłeś sprawy swoich przybranych dzieci.

Wysłuchał uważnie krótkich słów doktora, poprosił o pewne wyjaśnienia, poczem rzekł:

— Dla was wynika z tego sens moralny, iż pańskie marzenie o wzorowym sadzie stało się nieziszczalnem, prawda?

— Tak, i wyznaję, że może to najbardziej mię martwi. Pozatem czuję się na siłach, dać tym dzieciom tyle miłości, odwagi i zdrowia aby nie odczuły żadnej różnicy...

— Jestem tego pewien. Tedy z kapitału, jaki im pozostał, nie da się...

— Możnaby zużytkować na to jedną część, pozostawiajac drugą na wszystkie przewidziane i nieprzewidziane potrzeby dla tych pięciorga dzieci, którym ja, pomimo całej mojej dobrej woli nie mogę wszystkiego dostarczyć. Ale to będzie zbyt mało; a potem nie wolno zapominać, że sad w pierwszych latach nie przyniesie dochodu.

— Rozumie się. Każda sprawa należycie zorganizowana wymaga czasu, zanim przyniesie owoce; ale potem przynosi je w obfitości. A co powiedziałby Łukasz, gdybym ja został jego wspólnikiem przy nabyciu tego błogosławionego kawałka ziemi? Trzeba przecież uczynić zadość niewinnej manji tatusia — doktora, prawda?

Łukasz uśmiechnął się, spoglądając to na jednego, to na drugiego, jakgdyby pytał ich o radę, zanim da odpowiedź. A rady tej udzielił mu szczery i szybki w decyzji Cis.

— Przymij, przyjmij, Łukaszu. Przyrzekam ci, iż uczynię sad intratnym i to bardzo!

— Brawo, mój chłopcze, cieszę się, gdy słyszę cię mówiącego w ten sposób: należy być pewnym siebie, przynajmniej w tem, co jest zależne od nas. Doszliśmy zatem do porozumienia — zakończył hrabia, powstając i kładąc rękę na ramieniu Cisa. — Oto rzecz, która mię rozerwie i dobrze na mnie podziała. Jutro pójdziemy razem obejrzeć ziemię do nabycia. Mówicie, że to trochę dalej, niż o wiorstę stąd? Dobrze, ale ja muszę też obejrzeć stan robót przy potoku i chcę zarazem odbyć całą podróż. Przyjadę jutro o dziesiątej większym samochodem i zabiorę dorosłych i małe panienki, a także Jasia i Szczawika. Wy pójdziecie pieszo. Powiedz pan żonie, aby zarządziła w ten sposób, ażeby bliźnięta mogły obejść się bez niej przez kilka godzin, gdyż zjemy śniadanie w lesie. Teraz, chłopcy, idźcie na chwilę zabawić się w sali bilardowej: muszę jeszcze mówić z waszym ojcem.

Gdy w pół godziny później hrabia i doktór przyszli po chłopców, myśląca twarz starca i energiczne oblicze ojca miały ten sam wyraz dobrotliwego spokoju.

— Teraz mam nadzieję — rzekł hrabia, żegnając swoich gości, — iż pan przyznasz, kochany doktorze, że to ja powinienem zawsze wam dziękować.

Wracali powoli wspaniałą świerkową aleją, ciemną i tajemniczą, pomimo księżycowego światła i nie potrzebowali wcale słów, aby się zrozumieć. Łukasz wszedł pocichu do pokoju, gdzie trzej jego bracia spali już snem tak spokojnym, iż nie było nawet słychać ich oddechu; wyciągnął się na łóżku, zmęczony. Był to dla niego dzień pełen wzruszeń i poważnych decyzyj; byłoby mu trudno uporządkować swe myśli. Jednego wszelako był pewny: tego, że czuł się silniejszym i bardziej mężczyzną. Przeto był bogatszy tem największem bogactwem, które rzeczywiście coś w świecie znaczy.

Pozostałe dni tego października minęły całkiem spokojnie. W tej porze ojciec pozostawił dzieciom wolny wybór pracy, żądając tylko, aby to była praca rzetelna i staranna. Więc niektóre dzieci poszły z parobkami folwarcznymi orać ziemię i przygotowywać ją pod zasiew, inne zaś udały się z rębaczami do kasztanowego lasku.

Kalina i Różyczka pod okiem Katarzyny robiły konserwy: z pomidorów, ze śliwek i jagód, bo tych dzieci przynosiły poddostatkiem.

Jasio i Szczawik podjęli się suszenia owoców: obierali, krajali, a także i probowali z wielką gorliwością, bacząc, aby suszarki z pokrajanemi jabłkami i figami, przekrojonemi na połowy, były zawsze wystawione na słońce i zabrane do pokoju przed zachodem.

Mama podjęła znowu swą żywą działalność: z rana zajmowała się domem, a po południu szyła. O ile to było możliwe, zasiadała z szyciem na dworze, by nacieszyć się ostatniemi pięknemi dniami jesieni. Miała zawsze przed sobą stosy bielizny do reparacji i koszyk, w którym stale leżała pod ręką robota na drutach; zaledwie skończyła jedną, zaczynała drugą. Jednocześnie czuwała nad dwiema maleńkiemi, Maniusią i Topolką, które lubiły pomagać Anusi przy dwojgu bliźniętach i popychać wózek, w którym Tymianek i Mięta, syci i spokojni, odbijali w swych sennych oczętach ciemny błękit nieba.

Niekiedy mama rozmawiała z Łukaszem, który dużo przebywał w domu. Miał polecenie od doktora zamknąć wszystkie rachunki i ułożyć w porządku kartki z wielkiej szkatułki, znajdującej się w ambulatorjum. Listy, dokumenty, notatki: był tam cały żywot dobrego, pracującego naukowo lekarza.

Łukasz rozmiłował się w tych papierach, które otwierały przed nim całą duszę, jasną inteligencję i głęboką wiedzę jego opiekuna i mówił do jego żony:

— To się wydaje niemożliwe, aby człowiek tak wysokiej wartości zamknął się tu na wsi. Gdyby był w wielkim mieście, zdobyłby rychło wielką sławę.

— Z początku zrobił to dla mnie, — odparła: — Ja urodziłam się tutaj i wychowałam; to jest dom moich przodków: tutaj też poznałam jako młodziutkiego lekarza tego, który później miał zostać moim mężem. Leczył moją matkę i mego ojca z ogromną cierpliwością i całą swą wiedzą. Gdy ich potem nie stało, mogliśmy przenieść się do miasta; ale wtedy przyszły już na świat pierwsze dzieci i tak się pięknie rozwijały na świeżem powietrzu, a ja byłam tak przywiązana do naszego domu i wieśniacy tak już pokochali swego doktora, iż nie mieliśmy odwagi rozstawać się z tem wszystkiem. Zresztą, jest on doskonale znany i poza okolicą i jego miejscy koledzy wzywają go na poradę w trudniejszych wypadkach....

— To prawda. W swoim czasie wezwano go też do mojej mamy!

— W tym wypadku, mój biedny Łukaszu i on nie mógł zrobić nic więcej ponad to, co zrobili inni. Gdy sprężyna jest pęknięta....

Łukasz załamał ręce boleśnie i zamilkł. Ale mama go zrozumiała i powoli naprowadziła go na weselsze myśli.

Niekiedy, o zachodzie słońca zjawiał się stary proboszcz, teraz coraz już słabszy i bardziej drżący; opierał się na ramieniu młodego wikarego, tak szczupłego i wątłego, iż zdawał się być młodym chłopcem. Był w doskonałej komitywie z Łukaszem i Cisem i wcale się nie wstydził urządzać za domem na łące, piękne partje piłki nożnej; trzeba było widzieć, jak żwawo podkasywał sutannę, by tem łatwiej gonić za piłką. Doktór, powróciwszy z wieczornych wizyt u chorych, bawił się przyglądaniem, jak te czarne nóżki rączo biegały i mówił ze śmiechem:

— I któż może żądać, abym pana przyjął za wielebnego, gdy go widzę takim?

— A któż może żądać, abym ja uwierzył, iż pan jest tak wielkim uczonym, gdy go widzę idącego podczas deszczu, spiekoty lub wichru, by leczyć chorych nieuków, chamów, którzy nawet nie robią tego, co im pan radzi, ani zażywają lekarstw polecanych i ofiarowanych przez pana — odcinał się żwawo wikary, wycierając sobie czoło chusteczką i powracając na swoje miejsce obok starego kapłana.

Ale ów odsyłał go dobrotliwie do gry; dopiero gdy z nastaniem wieczora, dawał się odczuć chłód październikowy, starzec i młodzieniec powoli powracali na plebanję.

ROZDZIAŁ XVIII.

W którym poznaje się małe, ale szkodliwe próżnostki; i poznaje się w nim taką nędzę ludzką, jakiej żadne bogactwo nie zdoła odwrócić.

W pierwszych dniach listopada Łukasz opuścił rodzinę doktora z ogromnym wzajemnym żalem, tak z jednej, jak z drugiej strony. Cis i Kalina odprowadzili go do miasta; pierwszy, by zasiągnąć rady wuja Wirgiljusza, w jaki sposób należy prowadzić prace na nowonabytej ziemi, gdzie w swoim czasie wuj miał przybyć, aby osobiście kierować sadzeniem drzew owocowych; druga, aby w imieniu wszystkich złożyć wieniec na grobie matki nowego rodzeństwa; oboje zaś, gnani wielką tęsknotą za ciocią Julcią, którą chcieli prosić, aby przyjechała na święta Bożego Narodzenia, bo wtedy będą ją wozili sankami po śniegu.

— I wysypiecie mię w śnieg, prawda? — spytała żartobliwie, jak zawsze.

— Nie, jeśli przyrzekniesz, że przyjedziesz daję ci słowo, że nie będzie żadnego wypadku.

— A śnieg? Czy śnieg już przyrzekł, że spadnie?

— Do kaduka! To się rozumie samo przez się.

— Dobrze, gdy spadnie śnieg i ja przyjadę.

Rozmawiali, idąc przez boczne ulice małego miasteczka, które otulała zimna mgła. Cis i Kalina szli obok ciotki, Łukasz i profesor podążali za nimi.

Scieżka, która od miasta wiodła ku cmentarzowi, była pokryta pożółkłemi i purpurowemi liśćmi, opadłemi z drzew, które stały już zupełnie ogołocone. Naszą gromadkę ogarnął smutek, pełen powagi; szli w milczeniu.

Zaledwie kilka miesięcy upłynęło od owego bolesnego dnia, gdy zdawało się Łukaszowi, że sam jeden został opiekunem rodzeństwa; i ogarnął go tak wielki lęk przed ciężkiem brzemieniem i wielką odpowiedzialnością, iż gotów był w duchu błagać matkę, aby zabrała ich wszystkich jak najrychlej do siebie, by bez troski i trwogi mogli spocząć obok niej pod ziemią.

Dzisiaj, starszy i wzmocniony na duchu, z innemi uczuciami ukląkł na tej mogile; podniósł się z otuchą w sercu, przysięgając jej i sobie, iż nigdy nie uchybi swemu zadaniu. A bliskość prawdziwych przyjaciół, którzy, odgadując stan jego duszy, zachowywali milczenie, była dla niego pociechą tak wielką, iż trudno było znaleźć dla niej wyraz. Patrzył na nich kolejno: na tego człowieka nauki, na kobietę, tak pełną serca, na przyjaciela, prawie już brata, i na kochaną dzieweczkę, teraz już bliższą mu, niż siostra; i dziękował im uśmiechem, mówiącym bardzo wiele.

Gdy opuścili cmentarz, by odprowadzić na stację Cisa i Kalinę, obrali ludniejsze ulice; a ponieważ była to pora spaceru tak zwanego eleganckiego świata, Kalina miała sposobność obserwować dziewczęta w jej wieku, ubrane w suknie, które ledwo dosięgały kolan i w pończochy, do złudzenia imitujące skórę nóg; natomiast twarze pod wysuniętemi puklami włosów, zakrywającemi policzki do połowy i pod kapelusikiem, opadającym jak przewrócony garnek na same oczy, mało były widoczne; to trochę zaś, co można było zobaczyć, nie było ani różowe, ani świeże, lubo wargi były aż nazbyt czerwone. Panienki te były tak zręczne w ruchach i tak śmiało patrzyły na ludzi, iż Kalina, bardzo nieśmiała z natury i rumieniąca się o byle co, prawie im zazdrościła; to pewna, iż przyglądała im się tak uporczywie, że ciocia Jucia spytała jej, co tak pociągającego widzi w tych małpkach.

Kalina nie wiedziała, co odpowiedzieć; ale faktem jest, iż zło udziela się szybciej, niż dobro. Małpeczki bezwiednie, choć na krótko zmąciły niewinną prostotę dziewczęcia i zaniepokoiły duszę czujnej matki.

Na szczęście, nie trwało to długo: tak jak odra, która męczy przez trzy dni i mija. Ulegając radzie ojca, mama nie zastosowała żadnego lekarstwa: ani wyrzutów, ani uwag. Tych nie szczędzili jej natomiast bracia, zwłaszcza zaś Szczawik; a były one bardziej szczere, niż uprzejme.

— Hm, hm! — zawołał urwis pewnego poranku, gdy starsza siostra ukazała się przy śniadaniu z włosami, przystrzyżonemi i zwiniętemi na skroniach w duże pukle. I dodał bardzo poważnie: — Cieszę się w imieniu Rexa, który dotąd był tak samotny, a teraz będzie miał towarzysza, bo obok wyżła będzie i pudel.

Kalina okryła się rumieńcem i spojrzała na ojca, może w nadziei, iż ów skarci zuchwalca; ale ojciec się uśmiechnął; i nietylko on: wszyscy dokoła stołu przyglądali się jej z wyrazem twarzy napół szyderskim, napół współczującym, co ją mieszało coraz bardziej. Być może, iż jedynie mama nie uśmiechała się; ale właśnie na nią Kalina nie śmiała wcale spojrzeć. Następnego dnia piękne jej czoło ukazało się odkryte i czyste, okolone grubemi, zaplecionemi warkoczami; wówczas Cis (który ani jednem słowem nie dotknął tego tematu) położył jej pieszczotliwie rękę na włosach i rzekł serdecznie:

— Oto odnalazła się moja siostrzyczka. Wiesz, mateczko? Widziałem w mieście dużo tak zwanych panienek... Ale nie spotkałem ani jednej tak świeżej i ładniutkiej, jak Kalina.

— Wierzę! — odparł ojciec z pewną dumą. — Ale to jest zasługa mamy i moja, iż daliśmy wam największą urodę, na którą złożyły się zdrowie i prostota. Bronku, idź z łaski swojej do ambulatorjum i przynieś tę grubą książkę, którą przeglądaliśmy wczoraj.

— W której jest mowa o truciznach?

— Tak, a również, o zniekształceniach i przesunięciach organów wewnętrznych, jednem słowem o wszystkich szkodach, jakie kobiety czynią sobie, idąc, jak błędne owce za złym przykładem jednej.

Przeglądali wszyscy razem gruby tom, którego ilustracje doktór objaśniał. Były tam powiększone przez mikroskop wszystkie pasorzyty skóry, które gnieżdżą się w brudzie; były tam także fotografje strasznych chorób, wywołanych przez użycie trujących substancyj; jak również kosmetyków: pudrów, kremów i różu, któremi kobiety

w fałszywem mniemaniu, że się niemi upiększą, niszczą sobie cerę, zatruwają krew i mogą nietylko oślepnąć, ale i oszaleć. Prawdę słów ojca stwierdzały dokumenty i fotografje, zebrane w szpitalach i domach obłąkanych.

W drugiej części książki widać było wewnętrzną budowę kobiet, ściągniętych ciasnym gorsetem; manja, która w swoim czasie tyle zabrała ofiar wśród młodych dziewcząt, które potem przy najmniejszym wysiłku, nawet przy zmęczeniu po tańcu umierały nagle na atak sercowy, i wśród młodych małżonek, które wskutek takiego uwięzienia swego ciała wydawały na świat istoty zniekształcone, zgóry skazane na śmierć.

Inne rysunki dokładnie pokazywały przesunięcia wewnętrznych, najdelikatniejszych organów, wywołane przez używanie wysokich obcasków. Tułów kobiecy, aby móc utrzymać się w równowadze na tych swojego rodzaju szczudłach (dzięki którym pochyla się ku przodowi) jest zmuszony przyjąć pozycję sztuczną, która narazie zdaje się nie kosztować wysiłku, lecz która mało pomału zmienia wewnętrzną budowę ze szkodą dla najświętszego zadania kobiety: wydawania na świat zdrowych dzieci.

Ojciec pokazywał i objaśniał wszystko ze szczerością lekarza i sumiennością człowieka, który ma sobie za obowiązek zawsze i bez lęku mówić dzieciom prawdę. Jedynie nieświadomość złego i kłamstwo, poza którem zwykliśmy to zło ukrywać przed dziećmi, mogą dla nich być niebezpieczne; człowiek, świadomy niebezpieczeństwa, jest już na pół uratowany.

Z tej przyczyny doktór kilkakrotnie już zatrzymywał starszych chłopców w ambulatorjum, aby ich pouczyć o najdokuczliwszych i najsromotniejszych chorobach, na które młodzieniec może być narażony i które mogą go unieszczęśliwić na całe życie. Ojciec wyjaśniał wszystko tak jasno, iż chłopcy słuchaliby go chętnie przez cały dzień, a wyjaśnienie jego wystarczało w zupełności, aby ich przekonać. Ale gdyby nawet nie chcieli doktorowi uwierzyć, przykładów, dowodzących prawdy jego słów, niestety nie brakło.

Dzień, w którym Cis i Buk pojechali z ojcem samochodem do Bolonji, aby tam w tajemnicy zabrać i przewieźć na wieś nieszczę-

snego hrabicza, był dla nich niezapomniany. Doktór przyobiecał staremu hrabiemu, iż nikt prócz jego synów, za których dyskrecję może ręczyć, nie przyłoży ręki do tego smutnego dzieła.

— Cis jest już mężczyzną — rzekł ojciec — a Buk, jest nim niemniej pod względem siły i roztropności. Darząc nas swojem zaufaniem, pan hrabia czyni nam zaszczyt.

Gdy dwaj chłopcy pomogli doktorowi i pielęgniarzowi przenieść do samochodu ten nędzny łachman, już niegodny miana człowieka, chętnie spoglądaliby w inną stronę, by się rozerwać, a także, by zachować dyskrecję wobec tego nieszczęśnika. Ale to okazało się niemożliwem; przedewszystkiem dlatego, że padało i że jesienny krajobraz z chmurami, tak niskiemi, jakby chciały osunąć się na ziemię, wydawał się szary i posępny; a także dlatego, iż ta wybladła twarz z obwisłemi, śliniącemi się wargami, te drżące ręce, co gestykulowały odruchowo i cały ten bezwład i zezwierzęcenie pociągało ich, jak pociąga zawsze każda istota wyjątkowo bolesna i wstrętna, choćby tylko dzięki obrzydzeniu, jakie wzbudza.

Nie umieliby ująć w słowa myśli i uczuć, jakie wzbudzał w nich ten smutny widok i troskliwa litość, z jaką doktór czuwał nad każdym ruchem chorego; chłopcy nie zawsze umieją wypowiedzieć to, co im się przewinie po głowie. Ale oczy ich, napatrzywszy się na tego biedaka, chętnie spoczęły na pięknem, energicznem i pogodnem obliczu doktora; i instynktownie budziła się w nich radość i duma. Nigdy tak, jak owego dnia nie rozumieli, jak wielkiem jest ich szczęście, to, które stary hrabia słusznie nazywał ich bogactwem, a na które składało się zdrowie ciała i duszy.

Gdy samochód skręcił na drogę, wiodącą do pałacu, zapadła już noc; ulewny deszcz wzmagał jeszcze smutek tej chwili. Na wzniesieniu kilku schodów zarysowała się imponująca postać hrabiego, oświetlona pochodniami, trzymanemi przez dwu służących. Nie wyciągnął ramion, jak byłby to zapewne uczynił, gdyby syn powracał zdrów, lub byłby chory z przyczyn, za które nie możnaby było mu czynić wyrzutu. Nieszczęsny starzec stał spokojny, wyprostowany i przyglądał się, jak z karety dobywano smutny ciężar, jak go złożono na fotelu i bezzwłocznie wniesiono na górę, do przygotowanych dla niego pokojów.

Gdy usłyszał poza sobą kroki, odwrócił się, wyciągnął ręce do doktora i jego synów i starał się opanować głos, by móc im podziękować; ale to mu się nie udało. Więc tamci szybko i w milczeniu odeszli ku swemu staremu domostwu i gdy zdaleka dojrzeli jego oświetlone parterowe okna, poza któremi mama i Kalina napewno czuwały, oczekując ich, ogarnęło ich uczucie wielkiego szczęścia.

ROZDZIAŁ XIX.

W którym jeszcze się mówi o nieszczęściach, ale także o rzeczach wesołych i o karmelkach.

Ponieważ pierwsze jesienne chłody dawały już się odczuwać, Kalina i Różyczka obeszły chałupy komorników, aby rozdać im wełniane kaftaniczki, jakie przez lato przygotowały dla dzieci, oraz wszystkie te rzeczy, które mama i ciocia Julcia odłożyły dla bardziej potrzebujących starych ludzi we wsi. Poszły też na wieś do domu sołtysa, ale nie do niego, lub jego żony, lecz do babci; biedaczka zawsze marzła, a synowa odliczała węgle do piecyka, nie dbając zgoła o to, by zaopatrzyć starą w nową, ciepłą bieliznę. Nie, żeby jej na tén wydatek nie starczyło, albowiem Gusta w czasie wojny uciułała sobie sporo grosza, obchodząc chałupy, kupując tanio jajka a sprzedając je potem drogo na pobliskim targu; wysilała się też na wszelkie inne sposoby i skąpiła sobie wszystkiego; pożyczała pieniędzy tej czy owej biednej kobiecie, która mając męża na wojnie i potrzebując ich gwałtownie, musiała je potem zwracać Guście z lichwą, lub dać jej wzamian inną rzecz, większej wartości.

Była z niej taka sknera, że, jak mówiono, nie zamiatała izby, by nie niszczyć miotły; i tak swarliwa, iż wielu współczuło z mężem, sołtysem, który też przebywał w domu jak najrzadziej i co wieczór przesiadywał w karczmie.

Z dwu synów, Witek, dezerter był jej ulubieńcem i jemu udawało się też niekiedy wyłudzić od matki parę lir, zwłaszcza, gdy pomógł jej w dość dużym ogrodzie, który ona obrabiała prawie zupełnie sama, aby zaoszczędzić robotnika. Drugi syn, zrodzony z ojca, wówczas już alkoholika, niechętnie witany przez matkę, która

chciała mieć jedynaka, aby temu pozostawić cały grunt (cały grunt był to tylko ogród i mały kasztanowy lasek), wyrósł taki, jakim mógł wyrosnąć sam. Gdy miał trzy lata, napadła go złośliwa febra i zrobiła z niego w ciągu jednej nocy nieszczęśliwego kalekę, upośledzonego na zdrowiu i rozumie na zawsze. Teraz, mając lat piętnaście, zaniedbywany w domu, wydrwiwany we wsi, trawiony głodem nienasyconym i nie dającym się nasycić, kręcił się po wsi, powłócząc jedną nogą, cieńszą i słabszą od drugiej, śmiejąc się zawsze, jak głuptas, przyjmując z wdzięcznością wszelkie odpadki; wyśmiewany i wzbudzający litość, nieużyteczny, ale szkodliwy, gdyż, nie przestając się śmiać, wpadał często w wściekłość i stawał się wówczas straszny. To też zaledwie małe dzieci widziały go, ukazującego się na podwórzu ich domu, biegły coprędzej schronić się pod matczyne spódnice, starsze natomiast zabawiały się drażnieniem go, doprowadzając go tem do większej złości.

Doktór mówił już o nim nieraz z wójtem i jego pisarzem; ale ani jeden, ani drugi nie dali sobie przemówić do rozumu, ten z lenistwa, ów zaś z lekkomyślności.

— Pan ma słuszność, doktorze — odpowiadał wójt, zmęczony dźwiganiem własnego ogromnego brzucha i wielce pobłażliwy dla sołtysa, z którym łączyło go upodobanie do kieliszka — pan ma słuszność: należałoby o tem pomyśleć.

Ale nie myślał o tem. Pisarz, młodzieniec, pozujący na coś lepszego, potrząsał głową z uśmiechem napół zrezygnowanym, a napół uległym i wywijał małą, elegancką laseczką.

— Wiadomo, że lekarze widzą zło nawet tam, gdzie go wcale niema. W jakiż to sposób ten mały idjota może się stać niebezpiecznym? Czyż pan nie widzi, że wszyscy się nim bawią? Że to jedyna atrakcja w tym nieszczęsnym, zapadłym kącie?

Jedynie stara babka, posiadająca doświadczenie swoich sześćdziesięciu lat, przyznawała doktorowi słuszność. Ale kto w tym domu dbał o to, co ona mówi, lub myśli?

Więc i tego dnia babka, pobłogosławiwszy według starego, serdecznego i uroczystego zwyczaju znakiem krzyża te dwie piękne istoty, z których jedna w pierwszym rozkwicie młodości, druga

prawie jeszcze dziecko, lecz obie jednako dobre i zacne, zwierzyła się przed niemi ze swą zgryzotą:

— Mniejsza o mnie. Mnie już niewiele czasu pozostaje na świecie. Powiedzcie to waszej matce i waszemu ojcu. To, co chcą uczynić dla mnie, niech zrobią dla tego biednego Maćka, bo jeśli nikt nie zatroszczy się o niego póki czas, stanie się coś strasznego.

W tę prośbę babka włożyła całą swoją żarliwość; bezkrwiste jej wargi drżały ze wzruszenia; w słowach jej było napomnienie człowieka, przewidującego to, co nastąpi nie dzięki jakiemuś darowi jasnowidzenia, lecz dzięki doświadczeniu lat minionych.

— Zatem nic zrobić nie można? — zwróciła się mama do doktora tegoż wieczora. — Wydaje mi się istotnie, że babcia Ryta ma słuszność: któregoś dnia Maniusia i Topolka przybiegły przestraszone i wybladłe, gdyż Maciuś groził im z poza płotu wielkim kamieniem, który podniósł z ziemi...

— Groził im tylko? Pewnie żartował.

— Nie, nie, tatusiu! Groził poważnie. Śmiał się, to prawda, i szczerzył wszystkie zęby, ale to było raczej szyderstwo. Na szczęście Rex, głośno szczekając, przybiegł w podskokach i Maciuś uciekł.

— Bardzo was proszę, moje małe, abyście nigdy same nie wychodziły na drogę — rzekł ojciec, wcale nie tak spokojny, jak się wydawało. — Pomówię jeszcze raz z wójtem; ale to fakt, że jako syn ludzi nie ubogich, nie może być przyjęty bezpłatnie do przytułku dla biedaków; a w jaki sposób wydostać potrzebne pieniądze, które Gusta chowa w pewnem ukryciu?

— Gdyby się wiedziało, gdzie trzyma pieniądze, możnaby pójść i ukraść je — zaproponował Szczawik, podnosząc głowę z nad zeszytu, gdzie z trudem stawiał swe pierwsze kulfony.

— Gdybyś umiał tak dobrze pisać, jak rozprawiać — rzekł tatuś ze śmiechem, — nie potrzebowałbyś wcale chodzić do szkoły.

— Bardzo byłbym z tego nierad, bo chodzę tam bardzo chętnie.

— Różne bywają upodobania—mruknął Bronek, siedzący osobno przy stoliku, który Mak mu sporządził i wyciągający wesoło sznurek. On nie bardzo był zadowolony, gdy w pierwszych dniach listopada

ojciec mu oznajmił, iż zapisał go do Szkoły Technicznej, gdzie Mak i Buk uczęszczali w tym roku, jeden do piątej, a drugi do czwartej klasy.

— Ale gdzie? — zapytał chłopak. — Nie wiedziałem, że tu na wsi...

— Tu na wsi są tylko szkoły elementarne, — odparł ojciec — i do tych wraz z Wiktorem i Różyczką, którzy wstąpią do trzeciej, wstąpi też do pierwszej nasz urwis. Ale wy trzej możecie dobrym krokiem w kwadrans zajść na stację do pierwszego pociągu i być w mieście przed wpół do dziewiątej; dyrektor pozwoli wam, jak i dotąd bywało, zjeść wasz południowy posiłek w pokoju woźnego, abyście nie musieli robić subjekcji cioci Julci.

— Sądziłem — rzekł jeszcze Bronek, z trudnością mogący się pogodzić ze szkołą, a tembardziej z wczesnem wstawaniem — sądziłem, że nasze obecne warunki nie pozwalają nam wydawać dużo na naukę i, że będąc pożytecznym w domu dzięki memu rzemiosłu...

— Sądziłeś, że ja mam istotnie zamiar zrobić z ciebie szewca? — zakończył ojciec, śmiejąc się. — Nie, mój synu, conajmniej ze trzy lata jeszcze musisz się przyłożyć do książki. Później, obierzesz sobie drogę, która ci będzie najbardziej odpowiadała i jestem pewien, iż będziesz po niej stąpał prosto i uczciwie. Tymczasem, jeśli będziesz w dalszym ciągu kładł łaty i zelował nasze buty, zdobywając w tem coraz większe mistrzostwo, trzeba cię będzie zapisać do złotej księgi dobroczyńców naszego ogółu.

— Gdybym miał czuwać po całych nocach, obuwie w naszej rodzinie będzie zawsze całe — oświadczył energicznie zacny łaciarz. — Ale... kto mi pomoże w szkolnych zadaniach?

— Ja, my, wszyscy! — szybko odezwały się głosy z wszystkich stron, wszyscy bowiem bardzo lubili Bronka.

— Tem lepiej! — zawołał ów z westchnieniem ulgi. — Chciałbym jeszcze dowiedzieć się, co zrobią Cis i Jaś, ci szczęśliwcy, którzy już w tym roku kończą z książkami?

— Skończą? Ależ oni dopiero zaczynają!

— Do licha! — rzecze Bronek w zadumie. Tedy ja obiorę sobie napewno inną drogę.

— Nie będą już chodzili do szkoły: oto cała różnica. Ale będą dalej za pan brat z książkami, może jeszcze więcej, niż dotąd, boć Jasio chce prędko nabyć rutyny w buchalterji, a Cis chce nauczyć się dobrze kierować pracami w sadzie. Mam nadzieję, iż będzie to bardzo pracowita zima dla wszystkich. Ale starczy nam jeszcze czasu, aby się zabawić i sprawić rozrywkę innym; nasz młody wikary jest pełen pomysłów i mówi o szeregu przedstawień...

— Gdzie? Jak? Co za doskonała myśl! Ja chcę grać rolę tyrana o grzmiącym głosie....

— Ja chcę być lwem, co ryczy za kulisami....

— Powoli! Nie powiedziałem wam jeczcze, że artyści mają być z drzewa....

— Ach, kukiełki? Dobrze. Trzeba będzie i tak grać ich role i mówić za nie.

— Nietylko to, wpierw trzeba będzie urządzić teatr, scenę, trupę aktorów — ciągnął dalej ojciec, ciesząc się wesołością dzieci. — Buk i Mak zbudują teatrzyk, Jasio pomaluje scenę i wytnie głowy aktorów, Kalina i Różyczka będą szyły dla trupy, Wiktor będzie suflerem....

— A my? A my? — spytało razem troje najmłodszych. — Czy my nic nie będziemy robili?

— Jakto nic? A kto będzie robił publiczność?

— Publiczność, co bije oklaski — uzupełnił Bronek — co gwiżdże i zajada karmelki....

Myśl o karmelkach przekonała ich całkowicie.

ROZDZIAŁ XX.

Z którego się dowiadujemy, co ojciec musiał pewnego wieczora powiedzieć Bukowi; cierpiał przytem tyleż, co i on.

Wbrew życzeniom i nadziei całego towarzystwa, doktór nie chciał zezwolić, aby robiono przygotowania do przedstawienia przed styczniem. Dwa ostatnie miesiące roku miały zostać całkowicie poświęcone pracy i skupieniu ducha.

— Ojczulku, nie przyłożymy do tego ręki — rzekł Bronek — ale cóż zrobić, aby o tem nie myśleć? Wyobraź sobie, że wczoraj w pociągu takeśmy się z Makiem zapalili, mówiąc o teatrze, że...

— Że nie zdążyłeś w porę powtórzyć sobie lekcyj.

— Nie oto chodzi, gdyż właśnie wczoraj umiałem lekcje, ponieważ poprzedniego wieczora Jasio objaśnił mi wszystko, czego miałem nauczyć się napamięć, z takim zapałem, na swój sposób, iż wystarczyło, abym przeczytał to sobie raz jeden, bym sobie wszystko przypomniał. Ale zdarzyło się, iż gestykulując rękoma, aby pokazać Makowi, jakie powinny być kulisy, i jak się wciąga w górę kurtynę, uderzyłem łokciem w głowę jakiegoś człowieczynę i zrzuciłem mu kapelusz.... Ów zaś, rozgniewany, powiedział, że chłopcy, nie umiejący zachować się w pociągach, powinni siedzieć w domu.

Na wspomnienie tej sceny Mak roześmiał się znowu, ojciec zaś nie mógł się również powstrzymać od uśmiechu.

— Widzisz sam, iż lepiej mniej myśleć o teatrze, jeśli już z tego samego wynikają nieprzyjemności. Mam nadzieję, że przeprosiłeś...

— Do djaska! Zerwałem się natychmiast, podniosłem kapelusz, który potoczył się pod nogi jadących, oczyściłem go, jak mogłem (nie całkiem mi się to udało) i podałem mu go z najgrzeczniejszym ukłonem, na jaki mię stać, mówiąc, iż, co się tyczy pozostania w domu, ja sam teżbym to wolał, tembardziej, że pozostawiłem pilną robotę (miałem na myśli twe buciki, Szczawiku), ale, że sprawy nie cierpiące zwłoki, zmuszają mnie do jeżdżenia do miasta każdego ranka, oprócz niedzieli i czwartku. Człowieczyna gniewał się dalej, ale...

— Ale wszyscy inni — zakończył Mak — roześmiali się głośno.

Ojciec spojrzał na Buka, który wydawał się roztargniony.

— A ty — zapytał — co powiesz o tem? O czem myślisz? Przecież byłeś razem z innymi, gdy się śmiali?

— Nie — odpowiedział Bronek szybko. — Buk nie znalazł miejsca w naszym przedziale. W dni targowe trudno znaleźć miejsce dla wszystkich razem.

Wyjaśnienie było słuszne i nie powinno pozostawić w duszy ojca żadnego powątpiewania. Ale dlaczego Bronek tak wyraziście spojrzał ojcu w oczy, jakgdyby dana odpowiedź nie była całkowicie zgodna z prawdą?

Gdy po skończonej kolacji wszyscy powstali od stołu, doktór dał znak Bukowi, aby pozostał; część towarzystwa poszła za mamą.

do jej pokoju, gdzie rozmawiano czas pewien przed rozpalonym kominkiem, reszta zaś skakała i biegała w obszernym przedsionku.

— Teraz, gdy pozostaliśmy sami — rzekł ojciec spokojnie, acz smutnie — wstań i pokaż mi, co masz w prawej kieszeni twej kurtki. Będzie lepiej dla ciebie, a także i dla mnie, aby twoi bracia tego nie widzieli.

Chłopiec zbladł silnie, powstał z krzesła i, patrząc na ojca, przybliżał się nieśmiało, napół ujarzmiony, napół oporny. Gdyby potrafił, jak to się zdarza w bajkach, sprawić cud, aby zawartość jego kieszeni zniknęła, uczyniłby to chętnie nawet kosztem jednego roku swego życia. Ale od pewnego czasu sztuki magiczne utraciły swą siłę; a potem jakież czary mogłyby się ostać wobec tych pytających oczu, które go trzymały, można rzec, w swej mocy?

Powoli, powoli, ale nie myśląc zgoła o możliwości nieposłuszeństwa, wyciągnął z kieszeni brudną talję kart i niepewną ręką podał je ojcu..

— Idź do kuchni i rzuć to świństwo w ogień — rozkazał ów. — Uważaj, abyś spalił wszystkie, umyj sobie ręce i wracaj. Nie sądź, że chcę ci robić wyrzuty, które nie zdałyby się na nic. Ale musimy się porozumieć raz na zawsze.

Chłopiec uczynił, co mu rozkazano. Gdy powrócił, zastał ojca na tem samem miejscu z twarzą, opartą na dłoniach, jak to zwykł był czynić w chwilach wielkiej troski; spojrzał na niego tak smutnie, że to uczyniło na Buku silniejsze wrażenie, niż najbardziej przykre słowa.

— Teraz nie potrzebuię cię już pytać, gdzie się podziało pięćdziesiąt lir, których w swej zarozumiałości nie powierzyłeś mamie do przechowania, prawda? Już ci z nich niewiele pozostało. I to nie jest najgorsze. Przeciwnie, stało się doskonale. Pieniądz ma w sobie to dobre, iż może stać się nagrodą, lub karą. Otrzymałeś je jako nagrodę za pracę, wykonaną z dobrej woli, a stały się dla ciebie karą za twe nieposłuszeństwo.

Nie łam sobie głowy, skąd ja o tem wiem; i strzeż się podejrzewać braci, że mi donieśli... Nie. Ani Bronek, ani Mak. Przeciwnie, słyszałeś przecież, jak Bronek próbował odbić cios za ciebie. Niech

ci wystarczy świadomość, że ja wiem. Liczyłem na dwie rzeczy: iż ten biedny Hieronim nie będzie tak słaby i nie pozwoli już temu swemu łajdakowi wodzić go za nos. Wszyscy wiedzą, iż Bartek, pod pozorem chodzenia do szkoły, jeździ do miasta, lecz w szkole pokazuje się jak najrzadziej; wszyscy to wiedzą, oprócz jego ojca... Miałem też nadzieję, iż mój synek z miłości do mnie i do swej matki, z szacunku dla rodziny, do której należy, nareszcie zrozumie, że to nie jest odpowiednie towarzystwo dla niego... Natomiast wydaje mi się, że przyjaźń staje słę coraz zażylszą, jeśli mój synek opuszcza braci, by przebywać z tem chłopaczyskiem i najczęściej poświęca czas przejazdu na zabawianie się brudnemi kartami, miast powtarzać lekcje, jakby należało. To nic nie znaczy. Chcę powiedzieć, iż ostatecznie to nic nie znaczy dla mnie. Ja nie jestem, jak ten biedny, stary hrabia; ja mam dużo synów; i z wszystkich innych mam pociechę. Jeśli pośród tylu, jeden zamierza nie być więcej moim przyjacielem, trudno! Postaram się o nim zapomnieć. Ale trzeba, aby on zrozumiał wszystkie skutki takiego sposobu myślenia. Nie żyje się w zacnym domu, nie zażywa się wygód i przywilejów rodzinnych, gdy się chce postępować wbrew słusznej woli głowy tej rodziny. Wiem, iż jesteś rozumny i uczciwy; dlatego mówię do ciebie, jak mężczyzna do mężczyzny. Rozważ to i postanów: świat jest duży i ty masz silne ramiona. Jeśli nie możesz być mi posłusznym, lepiej raczej, abyś się oddalił, miast kłamać przede mną i nie dotrzymywać słowa, danego samemu sobie. Nic więcej nie mam ci do powiedzenia.

Ojciec wstał i wyszedł z pokoju. Stara Agata, która nie śmiała wejść, dopóki słyszała z kuchni głos doktora, poczęła pocichu sprzątać od stołu. Pojawiła się Eulalja i mruczała coś do chłopca, ale on jej nawet nie słyszał. Podszedł do okna i patrzył na ulicę, jakgdyby chciał przeniknąć ciemność nocy; zimny wiatr z wściekłością bił o szyby deszczem i śniegiem, świszczał w szczelinach rynny, chcąc gwałtem wpaść do środka; Rex wył, by się dostać do wnętrza domu, więc Buk podszedł do drzwi i otworzył je. Pies chyżo przemknął koło niego i pobiegł do kuchni. Buk szybko zamknął drzwi i wszedł na schody. Przechodząc obok drzwi pokoju mamy, usłyszał jej głos i wybuchy śmiechu sióstr, które pewnie bawiły się z Jasiem

i Szczawikiem w odgadywanie zagadek. Słuchał, czy i ojciec nie był z niemi i nie śmiał wejść z obawy, iż go tam zastanie. Tymczasem reszta chłopców biegała po przedsionku, ponieważ nie mieli potrzeby odrabiania lekcyj, z powodu święta, które przypadało nazajutrz; nawet Cis wziął udział w gonitwach. Zdawało się, że nikt nie zauważył braku Buka, gdyż nikt go nie szukał... Więc gdyby on naprawdę odszedł, niktby za nim nie zapłakał?

Pociemku wszedł do sypialni; rozebrał się w pośpiechu i z uczuciem lęku i osierocenia, jakiego nie doznawał nigdy, wsunął się pod zimną kołdrę; ale zbyt wiele było w nim jeszcze dumy, aby, jak należało, całą winę tego rzekomego osamotnienia przypisywać sobie. Myślał, że jego kochają mniej, niż innych, iż dla niego są surowsi... Myśli jego były gorzkie i niesprawiedliwe, aż wreszcie zdrzemnął się i niewyraźnie tylko słyszał głosy braci, gdy ci udawali się na spoczynek. Lecz później, gdy inni już spali, a on obudził się z pierwszego, krótkiego i niespokojnego snu, poczuł, jak pieszczotliwa ręka, którą każdy syn rozpoznałby wśród tysiąca, szuka jego twarzy i kilkakrotnie przesuwa się po niej słodko, miękko, kojąco. I wtenczas zaczął płakać, jak dziecko.

ROZDZIAŁ XXI.

W którym jest mowa o grach i nowelkach; a także o nieszczęściu.

Odkąd rozpoczęły się zimna, mama po kolacji wchodziła na górę do swego pokoju i siedząc przed kominkiem, na którym płonął wesoły ogień, zajmowała się nocną toaletą dwojga bliźniąt, liczących teraz już całe trzy miesiące. Wraz z nią uwijały się Anusia i Kalina, którym sprawiało wielką radość, gdy mogły z dwojgiem maleństw siąść przy ogniu, a dzieciaczki piszczały z radości, wyciągając rączęta ku światłu i ciepłu płomienia; ich piękne, jędrne i różowe ciałka przybierały w blasku ognia złote odcienie. Nakarmione dobrze i owinięte w ciepłe koszulki, przenoszone były potem do sąsiedniego pokoiku, gdzie stały ich kołyski i gdzie rychło zasypiały.

Wówczas przychodziła kolej na starsze dzieci, by na kolanach dorosłych zakończyły dzień; zwykle gdy i tatuś był obecny, rozdzielali

się w ten sposób: Topolka na kolanach mamusi, Maniusia u Kaliny, a Szczawik, który o tej godzinie zapominał o swych psotach i stawał się czułym, niby w gniazku układał się w ramionach ojca. Bywało jednak, że Topolka w porywie wspaniałomyślności, zwłaszcza gdy nie była zbyt senna, pozostawiała Maniusi uprzywilejowane i najbardziej pożądane miejsce na kolanach mamusi; tembardziej, że, aby osiągnąć pozwolenie ulokowania się tam, należało być grzeczną przez cały dzień, nie grymasić i nie zanosić się od płaczu; niekiedy przeto, Topolka uważała za wskazane zadowolić się miejscem drugorzędnem, by nie wywoływać w pamięci mamy wspomnienia grzechów, popełnionych w ciągu dnia. Ileż to razy, po wyjeździe cioci Julci, mamusia wzywała ją w myśli! Zwłaszcza dla tego dziewczątka, dumnego i opornego, które jedynie ciotce ustępowało chętnie, jedynie wobec niej nie okazywało kaprysów, ani nie upierało się przy swych przewrotnych pomysłach. Wobec mamy też była posłuszną, to prawda, ale nie tak chętnie i nie tak odrazu. A potem jakżeż może matka czternaściorga dzieci być wszechobecną, czuwać nad wszystkiemi jednocześnie?

Przychodzili również Różyczka i Jasio, gdy pierwsza nauczyła się swych lekcyj, a drugi pomógł Bronkowi, a potrosze i innym nauczyć się wszystkiego, co im zadano. Wówczas, a zwłaszcza w środy[1]) i soboty wieczór, gdy nazajutrz nie trzeba było wcześnie zrywać się do szkoły, urządzano gry towarzyskie, do których przyłączali się także i starsi. Najzabawniejszą grą było odgadywanie. Każdy musiał kolejno wychodzić z pokoju, a wtedy reszta wybierała jakiś przedmiot, lub osobę, którą należało odgadnąć; potem wołano go do pokoju i na wszelkie stawiane przezeń zapytania, odpowiadano jedynie przez t a k lub n i e. Kto dawał inne objaśnienia, zostawał wykluczony z gry.

Nawet tatuś, gdy nie był u jakiegoś ciężko chorego, nawet Cis, powróciwszy z wieczornej wizyty na folwarku, gdzie zawsze był hrabiemu potrzebny, brali udział w grze; ale oni, wydaje się to nieprawdopodobne, odgadywali natychmiast.

---

[1]) We Włoszech czwartki są dniami, wolnemi od nauki szkolnej. (Przyp. tłum).

Najtrudniej było powstrzymać młodsze dzieci od dawania objaśnień: bowiem, milcząc z obawy, że je wykluczą z gry, ciągle zdradzały się gestem, spojrzeniem, miną.

Pewnego wieczora zdawało im się, że postawią Cisa przed zadaniem niezmiernie trudnem i przyjęli go słowami:

— Przyszedłeś w samą porę: już wybraliśmy, możesz zacząć się pytać.

Usiadł przy mamie, z uśmiechem rozejrzał się dookoła i spytał:

— Od kogo mam zacząć? od Szczawika?

— Nie, nie, na litość Boską, on ci przecież opowie bez ogródki rzecz całą!

— Nieprawda! — protestował obrażony chłopiec. — Przysięgam, że nie powiem nic więcej prócz tak lub nie.

— Zobaczymy. Zaraz cię wystawię na próbę. Czy to minerał?

— Nie.

— Czy to zwierzę?

Szczawik, poruszył się niespokojnie na kolanach śmiejącego się ojca i odparł niepewnie:

— Nie.... Tak....

— A więc nie, czy tak? Szczawiku nie psoć — upominał Wiktor, biorący te sprawy na serjo.

— Ależ przepraszam — protestował mały — powiedz mi ty, czy...

— Cicho! — rozległy się głosy dokoła. — Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, zostaniesz wykluczony z gry.

— A jeśli wy będziecie tak krzyczeć, pójdziecie zaraz spać — oświadczył ojciec, który wieczorami bywał zmęczony i nie lubił hałasów.

— Dalej—podjął znowu Cis—zrobimy inaczej, aby nie psuć zabawy. Powiedz mi ty, ojczulku. Zatem należy do świata zwierzęcego?

— Tak.

— A jednak Szczawik dał mi do zrozumienia, iż nie jest właściwie zwierzęciem.

— Mam nadzieję, że nie — odparł ojciec ze śmiechem.

— Przepraszam cię, tatusiu, — zauważyła Kalina — ale to *mam nadzieję*....

— Masz słuszność, nie powinienem był tego mówić.

Cis uśmiechnął się i rzekł:

— Ale ja wolę, że to powiedziałeś, lub przynajmniej, że tak myślałeś.

— Dlaczego?

— Dlatego, że cieszy mię, iż zażywam szacunku mego ojca. A ty Wiktorze, co powiesz? Czy sądzisz, że należy też do świata roślinnego?

— Otóż to! — zawołał Wiktor, poruszając się niespokojnie na krześle, — masz, babo, wesele! Już odgadł! Z nim ta zabawa niema żadnego sensu!

— Nieprawda — przeczył Cis, śmiejąc się — lub conajmniej nie jestem jeszcze zupełnie pewny swego. I mam dalej prawo pytać. Powiedz mi ty, Maku, jakiej jest barwy?

Mak ani pisnął.

— Ach, prawda. Nie zadałem pytania, jak należy. Więc chciałem zapytać: czy jest zielony?

— Tak.

— A powiedz mi ty, Maniusiu, czy jest duży?

— Bardzo.

— Nie można odpowiadać ani bardzo duży, ani bardzo mały. Można odpowiedzieć tak, albo nie.

— Tak, albo nie — powtórzyła mała posłusznie. Wszyscy się roześmiali, oprócz Wiktora, który był prawie gotów wykluczyć siostrzyczkę z zabawy.

— Dobrze — rzekł znowu Cis — teraz powiedz mi ty, matuchno: czy jest dobry?

Mama powiedziała t a k w ten sposób, że napawało to Cisa dumą i skłoniło go do zaprzestania żartu.

— A więc — rzekł — przyznam się: odgadłem bezzwłocznie. Posłuchajcie: jest zielony, lecz i brunatny; stoi na miejscu, ale się porusza; należy do świata roślinnego i zwierzęcego, ale mamy nadzieję, że nie jest zwierzęciem... i mama mówi, że jest dobry.

— A ja mówię, że wydaje szyszki — dodał Jasio, którego bawiły wybuchy gniewu Wiktora.

— A imię jego zaczyna się na C — dodała Różyczka, śmiejąc się.

Wiktor wstał i chciał opuścić towarzystwo: był prawdziwie rozgniewany. Ale ojciec go udobruchał.

— Chodź tu, nie bierz wszystkiego za złe....

— Nie biorę wszystkiego za złe; ale to nie jest zabawa na serjo...

— Prawda, ale to moja wina, gdyż powiedziałem mam nadzieję, z czego Cis zaraz odgadł, że chodzi o niego, prawda?

— Tak jest, ojczulku.

— A zatem, jeśli chcecie, przestaję grać.

— Nie, nie, nie! Raczej każemy tobie zgadywać.

— O, ja nieszczęsny! Nie wysyłajcie mię tylko z pokoju, gdyż nie mam sił do tego. Patrzcie, siądę tutaj i zatknę sobie uszy.

To mówiąc, ojciec podniósł portjerę, która oddzielała alkowę od reszty obszernego pokoju (jak to bywa w starych dworach wiejskich) i znikł za nią.

Dzieci rozprawiały i spiskowały długo i tajemniczo, zanim zgodziły się na trudne słowo; ni mniej, ni więcej, jak: odtrutka. Potem zawołały ojca raz, drugi i trzeci i nie otrzymały odpowiedzi. Więc Cis wstał i cichutko uniósł portjery: zacny człowiek, strudzony dniem ciężkiej pracy, wyciągnął się na łóżku i zasnął głęboko.

— To najlepszy figiel — rzekł Bronek półgłosem. — Ale z tego powodu, mój Wiktorze, niema się o co złościć — dodał, pochylając się ku mamie, by otrzymać od niej pocałunek na dobranoc.

Bronek był najtkliwszy z rodzeństwa, ale też i najlekkomyślniejszy. Nie zapomniał swej zmarłej matki, ale utraciwszy ją, cieszył się z całej duszy dobrocią tej drugiej matki i nigdyby dobrowolnie nie poszedł do łóżka bez tej pieszczoty.

Jasio uczył się z zapałem przez wiele godzin bez przerwy. Ale o zmierzchu, gdy spodziewano się powrotu tatusia od chorych a chłopców ze stacji, szedł zawsze szukać mamy, a gdy ją znalazł z dziećmi, pracującą przy świetle lampy, był szczęśliwy. Nosił stale przy sobie papier i ołówek, by szkicować postacie oraz krajobrazy, jakie powstawały w jego wyobraźni; kilkakrotnie naszkicował również

piękny profil Kaliny i mniej regularny, ale słodki profil Różyczki, którą dla skrócenia, a także by jej nadać imię całkiem własne, jakiego jej nikt inny nie dawał, nazywał Rózinką.

Przez ten czas Szczawik znajdował się pod opieką Józka i biegał pomiędzy stajnią a ogrodem, obojętny na zimno i ciepło, byle tylko być w ruchu; najczęściej bawił się z Rexem.

Dwie dziewczynki, ulubienice Katarzyny, najchętniej przebywały w kuchni, przy zawsze rozpalonym ogniu i bawiły się z Pauliną, lalką, która zawdzięczała swe istnienie wspólnym wysiłkom Jasia, Maka i Kaliny.

Paulina nie stała się takiem arcydziełem, jakiego należało się spodziewać po obietnicach Maka; była to niezgrabna prostaczka i miała mało wyrazu.

Ale zato nie bała się niczego (prócz ognia, była bowiem z bardzo suchego drzewa); można ją było maltretować, walić w głowę, dręczyć wszelkiemi sposobami, a pozostawała zawsze ta sama, z swemi zbyt rumianemi i zbyt świecącemi policzkami, oraz z głupim uśmiechem, który się ogromnie podobał Maniusi.

A potem Kalina wystroiła ją tak pięknie! Przy ubieraniu tej lalki dała upust całej swej fantazji, której na punkcie elegancji nie mogła rozwinąć u siebie z dwóch przyczyn: po pierwsze, gdyż zabrakłoby jej materjału, powtóre, ponieważ nie szczędzonoby jej drwinek. Ale z lalką rzecz miała się zgoła inaczej. Gdyby Paulina była w stanie to zrozumieć, byłaby z pewnością wdzięczna zręcznej krawcowej, która ją przystroiła w krótką powiewną sukienkę, z pod której wychodziły nogi, raczej silne, niż wysmukłe i w modny kapelusik, zakrywający doskonale peruczkę, składającą się z dwóch pukli prawdziwych włosów, które Kalina wspaniałomyślnie ścięła ze swoich pięknych warkoczy i uczepiła pod skrzydłem kolorowego kapelusza. Sądziła nawet, iż w ten sposób wynalazła nową sztuczkę w dziejach mody, ale mama opowiedziała jej, iż będąc dzieckiem, znała pewną starą ciotkę hrabiego Agliati, która była łysa i w domu nosiła czepek; gdy wychodziła, ubierała duży, słomiany kapelusz, wiązywany wstążką pod brodą i sześć dużych jasnoblond loków, ułożonych w grajcarki, które opadały jej na twarz, po trzy z każdej strony. Były one napewno przypięte do kapelusza.

Ileż to naśmiały się dziewczynki z tego opisu i z karykatury, jaką Jasio natychmiast narysował.

Niekiedy, gdy tak spokojnie siedzieli sami, Różyczka prosiła go, by opowiadał.

— Co ci mam opowiedzieć? — pytał, broniąc się trochę.

— O, ty wiesz dobrze, Jaśku! Bajki, które sobie wymyślasz, gdy spacerujesz sam po lesie, podczas, gdy ja muszę siedzieć w szkole.

— Cóżto? Nie jesteś rada, że tam chodzisz?

— Tak, nie mówię; moja nauczycielka jest też bardzo dobra, ale...

— Ale chciałabyś jednocześnie być tu i tam, co?

— Choćby i tak! Dalej, Jaśku, nie daj się prosić.

Jasio spoglądał na mamę, która go zachęcała uśmiechem i ustępował. Pewnego wieczora rozpoczął tak:

— Wczoraj zaszedłem aż do miejsca, przeznaczonego na sad. Chciałem odwiedzić Cisa, który zaczyna tam zwozić nawóz. Ponieważ teraz nogi służą mi z każdym dniem lepiej, chciałem powoli i z ciągłemi odpoczynkami powrócić przez kasztanowy lasek. Rex, który mi towarzyszył, odbył tę drogę conajmniej pięć razy, biegnąc szybko naprzód i powracając, by zobaczyć, gdzie pozostałem. Była piękna pogoda; wydawało się, że mamy jeszcze lato. Gdy się znalazłem w kasztanowym lasku, zapragnąłem wejść na górę, aż do skraju bukowego lasu. Panowała tam tak głęboka i niczem niezmącona cisza, iż można było słyszeć rozmowy pliszek i wiewiórek.

W tej chwili Różyczka rozsiadła się wygodniej na krześle, by słuchać z większą uwagą, a Jasio dostrzegłszy to, dał oczyma znak mamie, jakgdyby chciał się usprawiedliwić z rojeń, któremi dla zadowolenia swej małej przyjaciółki, przyozdabiał nagą prawdę swych opowieści.

— Rex okrążył już kilkakrotnie pnie buków, a potem zatrzymał się nagle, patrząc wgórę i mówiąc żartobliwie:

— Spróbuj, spróbuj zejść, a zobaczysz, czy cię nie złapię!

Ale ta na górze machała kitą i śmiała się.

— Jakże wiewiórki mogą się śmiać? — zapytała Różyczka, która lubiła wprowadzać Jasia w zakłopotanie.

— Wydają mały, wesoły okrzyk — odparł bez wahania —

i skaczą przytem tak chyżo z jednej gałęzi na drugą, iż odrazu giną nam z oczu. Gdyby nie szelest liści bukowych, suchych już o tej porze, ale nie opadających z drzewa, aż nie ustąpią miejsca nowym, nawet Rexowi mogłoby się zdawać, że śnił.

Ale widocznie wiewiórka miała ochotę pogawędzić, gdyż po chwili wychyliła główkę z jednego ze swych domków na innym sąsiędnim buku.

— Dlaczego mówisz z jednego ze swoich domków? Więc ma ich więcej?

— Oczywiście. Nie wiedziałaś o tem? Jest właścicielką nieruchomości.

— Wiesz, Jaśku, gdy zaczynasz mówić brednie, twoje bajki odrazu przestają mi się podobać — zauważyła dziewczynka surowo.

Kalina wybuchnęła śmiechem.

— Przepraszam cię, czyż bajki nie zawsze są bredniami?

— Nie, bajki Jasia oparte są zazwyczaj na rzeczach prawdziwych.

— Tedy według ciebie, może być prawdą, że Rex rozmawia z wiewiórką, a ta odpowieda mu, śmiejąc się?

— W pewnym stopniu, tak. W ich języku oczywiście. Cóż znaczy, że my ich nie rozumiemy? A czyż one nas rozumieją? Czy chciałabyś wywnioskować z tego, że my nie rozmawiamy? Gdyby prawdą było tylko to, co my widzimy naszym słabym wzrokiem i ogarniamy niewielką wiedzą, to słońce i gwiazdy, byłyby tylko światełkami, zapalonemi dla wygody sów...

— W takim razie — wyjaśnił Jasio — ponieważ nietoperze śpią przez całą zimę z opuszczoną głową, czyż i światła niebieskie miałyby również położyć się do łóżka, prawda? Ale, powracając do mojej wiewiórki, mówię, iż gdyby cię słyszała teraz, rzekłaby: — Jakże to? Dziewczynka, która uczęszcza do czwartej klasy szkoły elementarnej i wie, że gwiazdy są, jak nasze słońce, lub może nieskończenie większe, albo też są planetami, jak nasza ziemia, dziewczynka, która zna cztery działania, a także regułę trzech i wie tyle innych rzeczy, jeszcze nie słyszała, że my wiewiórki jesteśmy bardzo przezorne i budujemy sobie dwa, a nawet trzy domki, aby mieć zawsze gotowe schronienie dla siebie i dla swoich małych? I że w pobliżu każdego

domku skrzętnie zbieramy nieco zapasów na wypadek, gdyby nagła niepogoda, lub gęsta śnieżyca, z tych, co trwają po trzy dni zrzędu, przeszkodziła nam wyjść? My lubimy być w ruchu, krążyć i skakać z jednego drzewa na drugie, choćby były dość dalekie od naszej rezydencji. A wtedy miło nam jest, jak i wam, znaleźć dobry, czysty hotel i cośniecoś do przegryzienia... zupełnie tak, jak i wam. Skład żywności znajduje się w wydrążeniu pnia, domek na rozwidleniu dwóch gałęzi. I zapewniam cię, kochana panienko, iż wiele waszych domów jest mniej wartych, niż nasze. Wy lubicie budować czworoboki, my zaś lubimy kształt kulisty; ale nasza wyższość polega na tem, iż nasz dom jest zawsze przystosowany do naszych potrzeb i że żyjemy sobie w nim wygodnie i w zgodzie, matka, ojciec i troje, albo czworo dzieci.

— Przepraszam, pani wiewiórko, — spytała Różyczka — czyż byłoby niedyskretnie zapytać, z czego jest zrobiony wasz domek?

— Oczywiście z drzewa: z kawałków drzewa, dobrze przeplecionych, wyścielonych mchem, tak, że gdy znajdujemy się wewnątrz, nie obawiamy się już ani wilgoci, ni zimna...

— Ba! A gdy pada deszcz?

— Gdy pada deszcz, mamy dach, by zakryć otwór od góry. Cóż wy myślicie? że nie umiemy tak podeprzeć dachu, aby go utrzymać trochę uniesionym wgórę?

— Przepraszam panią jeszcze raz; nie chciałabym wtrącać się do jej spraw domowych; ale chciałabym wiedzieć, czy pani i jej małżonek dbacie o swoje małe?

— Czy o nie dbamy? Czyż panienka nie wie, iż wiele ludzkich matek (oczywiście nie wasza, która dzięki swej staranności, czułości i czystości zasługiwałaby na to, by być wiewiórką...) mogłoby przyjść uczyć się u nas? Po pierwsze, my nie jesteśmy, jak tylu również i wśród waszych przyjaciół (jak naprzykład Rex), którzy nie tworzą sobie nigdy istotnej rodziny. My, gdy wybieramy sobie towarzysza życia, nie opuszczamy go już nigdy. A co się tyczy wychowania dzieci, proszę posłuchać, czy możnaby zrobić coś więcej. Jeszcze zanim przyjdą na świat, krzątamy się przy budowie domów, zbieraniu zapasów, a także utrzymywaniu czystości dokoła swojej osoby: lubimy

być schludne i mieć futerko zawsze gładkie i lśniące. Czy jesteśmy próżne? Nie, jesteśmy czyste do przesady i tę staranność kładziemy także w wychowanie naszych dzieci.

Każda wiewiórka, a nie mówię tego, aby się pochwalić, poczyna się krzątać od samego wschodu słońca. Zsuwa się wdół ze swego domku, krąży powolutku dokoła pnia buku, aby małe, ucząc się, podążały za nią: a jeśli są zbyt małe, by mogły pójść za nią, chwyta je ostrożnie za kark zębami i zsuwa się z niemi wdół. Trzeba, aby każdego ranka poruszały się nieco na trawie, dla wypróbowania swych sił; boć wiewiórka musi być potem zwinna i skakać z drzewa na drzewo a także, pływać, gdy potrzeba.

Trudno opisać, jaki to wdzięczny obrazek, gdy mama i dzieci bawią się na trawie: wyznaję, iż przyglądam się temu z dumą. Ludziom rzadko się udaje to zobaczyć; czy wiecie, że my się was lękamy? Ileż to razy jeden z waszych okrutnych wystrzałów, nagle, bezlitośnie pogrąża w żałobie którąś z naszych najlepszych rodzin. Dlatego też, skoro tylko usłyszymy szelest ludzkich kroków, chowamy się wszystkie. Samiczka z małemi szybko wbiega na górę i zamyka się w najbliższym domu. A jeśli ten domek wydaje jej się niedość zabezpieczonym przed złośliwą ciekawością ludzką, w odpowiedniej chwili przeprowadza się z rodziną do innego.

— A czyż małżonek nie pomaga jej w tych wszystkich trudach?

— Któż to mówi? Gdy jest obecny, pomaga. Ale jego zadaniem jest pójść na poszukiwanie żywności, gdyż apetytu nam nie brak. I często się zdarza, że jest daleko. Ale może być spokojny, wie bowiem, iż nawet w razie niebezpieczeństwa, jego małżonka zna wszystkie wybiegi, by obronić siebie i dzieci. Jeśli nie można było uciec przedtem, należy w obecności człowieka w ukryciu za pniem drzewa czekać bez ruchu i skorzystać z chwili, gdy nieprzyjaciel odwrócił swą uwagę, by wspiąć się wgórę. A jeśli on krąży dokoła drzewa, poszukując nas, i my powinniśmy krążyć, by pozostać zawsze w ukryciu; a zarazem wciąż posuwać się wgórę. O, to jest cała nauka! A przecież my nie czynimy człowiekowi nigdy nic złego! Szanujemy nietylko jego, ale i drzewa, oraz zwierzęta, które są dla niego użyteczne. Rozumiem, że polują na wilki, na kuny, ale

na nas! To czyste okrucieństwo, nie dające się usprawiedliwić.

— Biedne wiewióreczki! — współczuła z niemi Różyczka. — Jednak ja...

— Nie, zazwyczaj kobiety nie wydają się okrutne. Tę krwawą zabawę pozostawiają mężczyznom. A tymczasem dla kobiet, właśnie dla kobiet, pewni nasi dalecy kuzyni, żyjący w zimnych krajach bywają prześladowani przez myśliwych. Piękne są ich futra, które w zimie stają się srebrno-szare...

— Stają się? Któż sprawia tę zmianę barw?

— Opatrzność, która się nami opiekuje i sprawia, iż upodobniamy się barwą do otaczającej nas przyrody, abyśmy stali się mniej widoczni dla naszych wrogów. Nie wiedziałaś o tem? A jednak, wiadomo ci, iż w górach są niedźwiedzie brunatne, a w podbiegunowych śniegach są niedźwiedzie białe....

— Ależ one, o ile mi wiadomo, nie zmieniają barwy: są zawsze bure lub białe.

— Niedźwiedź brunatny, żyjący w mrocznych modrzewiowych lasach, w najgłębszych czeluściach najwyższych gór, jest zawsze brunatny, a ten, co żyje wśród lodów, jest zawsze biały. Ale jest też mnóstwo zwierząt, zmieniających odpowiednio do pory roku upierzenie, lub futro. I zawsze, aby móc umknąć przed nieprzyjacielem, z których najstraszniejszym jest człowiek, gdy go ogarnie myśliwska namiętność....

— Rozumiem jeszcze — zauważyła Kalina — człowieka, polującego na dzikie, okrutne zwierzęta... Ale pomyśleć, że człowiek dobry, litościwy, który nie skrzywdziłby muchy, strzela potem z lekkiem sercem do ptasząt....

— To było pite do mnie — odezwał się głos doktora z głębi alkowy.

— Ojczulek! — zawołały razem cztery radosne głosy. — Więc już powróciłeś! Odkąd? Nie słyszeliśmy cię.

Ojczulek uchylił portjery i podszedł do kominka, wdziewając domową kurtkę. Był znużony i smutny.

— Wszedłeś tylnem wejściem, by nas zaskoczyć?

— Tak.

— A ja poczęłam się właśnie niepokoić — dodała mama. — Pogoda jest tak szkaradna!

— Zamarudziłem u pewnego biedaka, ojca czworga dzieci: spadł z drzewa. Stan jest poważny. Ale nie tracę nadziei. Być może, iż będę musiał jeszcze raz tam powrócić w nocy... Mamusiu, czy mogłabyś przyśpieszyć kolację?

Mama dała znak Kalinie, a ta natychmiast zeszła do kuchni. Ojciec położył czule rękę na ramieniu Jasia, który powstał ze swego krzesła.

— Synku, dołóż spory kawał drzewa do ognia. Ten okrutny morderca ptasząt i uzdrowiciel ludzi strasznie dzisiaj przemarzł.

ROZDZIAŁ XXII.

W którym rodzinie zagraża wielkie niebezpieczeństwo; ale mija szczęśliwie.

— Pójdę z tobą, tatusiu — rzekł Cis, gdy w dwie godziny później doktór, który niedawno zasiadł do stołu, musiał wstać i włożyć palto, by znowu zajrzeć do tego biedaka. Wezwał go najstarszy synek, liczący zaledwie dziesięć lat, a tak blady i wystraszony, że wzbudzał litość.

— Pójdę z tobą i będę niósł latarkę; pozwolisz?

— Nie, synku, nie potrzeba.

— Ale ty jesteś zmęczony.

— To i cóż? Postaram się odpocząć jutro. Połóż się spać wiem, że miałeś dziś dość kłopotu z tym nieszczęśnikiem w pałacu.

— O, nie było nic tak strasznego; ale kaprysi bardziej, niż dziecko i strasznie mi żal jego biednego, starego ojca....

— Tak i dlatego właśnie ja, jako ojciec nieco jeszcze młodszy, i o tyle szczęśliwszy na punkcie dzieci — zakończył doktór, rozglądając się dokoła i serdecznie spoglądając na Buka — nie ma prawa poddać się lenistwu. Chodźmy. Biorę z sobą Rexa. Dobranoc, mamusiu. Pamiętaj, iż nie chcę cię zastać czuwającą.

Cis podszedł do furtki, aby choć ten kawałeczek towarzyszyć ojcu: noc była chłodna i ciemna, a chałupa, ku której doktór kierował

swe kroki, leżała na przeciwległym skraju lasu w pobliżu potoku. Nie samo niebezpieczeństwo drogi, zresztą pewnej i dobrze doktorowi znanej, wzbudzało obawy Cisa, lecz zdawało mu się, iż ojciec tego wieczora nie jest tak rzeźki i energiczny, jak zawsze.

To samo zauważyła i mama, lubo nie chciała tego wypowiedzieć: tego wieczora nie bawiono się, ani też żartowano dokoła kominka. Wszystkie dzieci poszły wcześnie spać, oprócz Cisa, który długo pozostał z mamą, aż sen go zmożył i mama go nakłoniła, by się kładł.

— Pod warunkiem, że i ty się położysz — rzekł Cis — i przyrzekniesz mi, że zaśniesz....

Mama przyrzekła. Jeśli jednak nie potrafiła dotrzymać przyrzeczenia, nie było w tem jej winy, lecz winne były złe myśli, które tej posępnej, chłodnej nocy niepokoiły jej duszę.

Ojciec powrócił nad ranem, zmęczony nad miarę.

— Skończył! — rzekł tylko, odpowiadając na nieme zapytanie mamy; a w głosie jego, prócz naturalnego bólu współczującego człowieka, prócz rozczarowania uczonego, któremu nie udało się zwyciężyć w zaciętej walce ze śmiercią, brzmiała jeszcze nuta bolesnego zmęczenia, tak dziwna, i głęboka, iż mama zadrżała w głębi duszy. Gdy położył się do łóżka, jęła się uważnie przysłuchiwać jego oddechowi, który wydał się jej ciężkim: potem leciutko dotknęła jego ręki, była rozpalona. Wówczas lekko i ostrożnie wyszła z łóżka i poszła obudzić śpiące dzieci.

— Tatuś ma gorączkę — rzekła. — Z pewnością przeziębił się i zbytnio zmęczył. Trzeba pójść na folwark i zobaczyć, czy rządca może posłać kogoś do miasta po doktora Pieri, przyjaciela ojca, jedynego człowieka, któremu ojciec ufa, jedynego, który go przekona, by się oszczędzał....

Głos mamy drżał, ale słowa były stanowcze. Cis, choć całkiem jeszcze senny, ubierał się w pośpiechu. Ale Buk, rzeźwiejszy od brata, ubrał się prędzej i wybiegł z pokoju.

Nastąpiły godziny, które zdawały się wiekami. Ojciec bredził. Mama i Cis byli ciągle przy nim. Różyczka, sama powstrzymując płacz, zabawiała maleństwa zdala od sypialni rodziców, aby nie robiły hałasu. Reszta dzieci zmieniała się przy drzwiach pokoju chorego,

aby być zawsze w pogotowiu na wszelkie rozkazy, jakie Cis wciąż wydawał przyciszonym głosem.

Silne wrażenie czyniło to milczenie wielkiego domu, przerywane jedynie okrzykami chorego, który w malignie to wydawał rozkazy, to upominał, to prosił, w zdaniach urywanych i bez związku, tonem napół rozkazującym, a napół rozgoryczonym, tak różnym od zwykłego.

Po południu nareszcie nadjechał doktór. Orzekł, iż stan chorego jest poważny: silne zapalenie płuc i groźba pogorszenia każdej chwili. Ale leczenie, wszczęte przez Cisa, uznał za doskonałe, ów bowiem nie tracąc czasu przykładał gorące okłady na piersi i plecy chorego i wciąż je odnawiał (a chłopcy na wyścigi przynosili je gorące z kuchni). Zalecił spokój i otuchę. Kazał odsunąć portjerę alkowy, aby ułatwić dostęp powietrza do łóżka, rozpalić ogień na kominku i nalegał, aby mama wyszła trochę z pokoju.

— Ja i ten zacny synek wystarczymy w zupełności — oświadczył lekarz tonem, nie dopuszczającym sprzeciwu i prosił o dwu najzwinniejszych chłopców, aby ich posłać do apteki.

— Należy przynieść jaknajprędzej to, co zapisuję — rzekł doktór rzuciwszy uważne spojrzenie w twarze Buka i Bronka, jakgdyby chcąc ocenić ich chyżość i roztropność: — Zwłaszcza zaś trzeba się postarać, aby mamusia nie widziała, iż przynosicie zbiornik z tlenem. Rozumiecie? Ojciec nie jest umierający — zapewnił doktór Pieri głosem cichym, ale spokojnym i przekonywającym; — jest tylko bardzo ciężko chory i należy mu pomóc w oddychaniu, dopóki kryzys nie przeminie. A dobry wynik tej pomocy zależy w dużym stopniu od nas. Nie wolno jednak przestraszać mamy. Idźcie. Gdzie jest Jasio? (Znał dobrze przybrane dzieci doktora, ponieważ to on oddał je pod jego opiekę).

Jasio, który rozpalał ogień, podniósł się i podszedł do doktora cichym krokiem.

— Brawo — rzekł ów — cieszę się, iż umiesz już chodzić bez podpory. Czuwaj nad ogniem i nad mamusią; zanoś jej często wiadomości, i to zawsze dobre, i pełne otuchy, pamiętaj. A Wiktor?

— Zeszedł do kuchni po nowy okład–objaśniał Mak, podając tymczasowo inny, gorący, dobrze przygotowany i położony na czystej tekturze.

— Dobrze — rzekł doktór cicho, ale wyraźnie. — Kto przygotowuje okłady?

— Moja siostra — wyjaśnił znowu Mak — raczej wargami, niż głosem.

— Zuch z niej! Powiedz jej, aby wciąż niestrudzenie przygotowywała świeże.

I powrócił do wezgłowia chorego.

Gdy w domu jest chory, zwłaszcza zaś, ojciec rodziny, dni, a tembardziej noce upływają w dziwny sposób: wydają się nieskończenie długie, a zarazem zbyt krótkie, tak wielką jest troska, która przedłuża godziny oczekiwania, tak wielką jest robota, która je skraca. Potem trudno jest nietylko opowiedzieć, jak to było, ale nawet przypomnieć sobie dokładnie. Gdy powracamy do nich myślą, wydają nam się ciężkim snem.

Przyszły okropne godziny. Mama stanowczo nie zgadzała się na to, aby przebywać zdala od łóżka chorego; trzeba ją było zadowolić, tembardziej, że ręka tatusia często szukała jej dłoni.

Przyszedł również stary proboszcz: trudno powiedzić, czy to starość, czy zgryzota wprawiała w drżenie biedne jego nogi. Doktór Pieri oraz Cis czuwali kolejno. Mama, gdy była zbyt zmęczona, rzucała się na fotel. Dzieci snuły się po domu milczące, zawsze gotowe do usług; wdziały sobie na nogi stare wojłokowe obuwie, by chodzić bez szelestu.

Teraz nie słychać już było głosu chorego, a oddech jego był krótki. I trzeba było uciec się do tlenu. Ale Jasio wspomniał już o tem mamie i ona sama często przykładała do warg umiłowanego chorego gaz, przynoszący mu ulgę.

Ta straszna troska całej rodziny trwała przez pięć dni, a piąty był istotnie pełen grozy. O świcie dnia szóstego gorączka opadła nagle, oddech stał się powolniejszy i głos ojca, choć tak słaby, iż zdawał się dochodzić zdaleka, szepnął spokojnie pierwsze słowo, co pojawia się zawsze na ustach chorych, konających, na ustach dzieci:

— Mamo! — Potem potoczył dokoła źrenicami, już nie mętnemi, i uśmiechnął się do pobladłych, wzruszonych, a już uśmiechniętych twarzy, które się nad nim pochylały. I rzekł powolutku: — Pieri? Jesteś tu? Zacny. Jest mi lepiej. Dziękuję. Idźcie spać.

I sam zasnął natychmiast. Mama płakała w ramionach Cisa. W uchylonych drzwiach ukazały się wzruszone twarze i pytające oczy. Doktór Pieri podszedł do nich z uśmiechem:

— Dzieci, wasz ojciec jest uratowany — oświadczył swym bezdźwięcznym, choć radosnym głosem, w którym teraz brzmiała nuta triumfu. — Zalecam wam absolutną ciszę. Kto jest senny, niech idzie spać; kto niema do tego ochoty, niech sobie zada przymus; nie wolno, aby w całym domu dał się słyszeć jakiś krok, lub głos.

Sam uległ również prośbom mamy i, przeprowadzony przez Kalinę, udał się na spoczynek do pokoju cioci Julci.

ROZDZIAŁ XXIII.

W którym nieposłuszeństwo dwu chłopców staje się przyczyną wielkiego nieszczęścia.

Serdeczne spojrzenie, jakiem ojciec, zanim wyszedł tego wieczora z domu, obrzucił dzieci, a zwłaszcza Buka, utwierdziło w chłopcu, przynajmniej w tej chwili, stanowczy zamiar niemartwienia rodziców swem nieposłuszeństwem.

Już kilkakrotnie w czwartki i niedziele dało się słyszeć z za płotu melodyjne gwizdanie Bartka, wzywające przyjaciela. Ale Buk nie dawał odpowiedzi: a ojciec, który choć tego nie okazywał, czuwał uważnie nad swemi dziećmi (a miał w starym Józku i na tem polu skromnego, ale wiernego pomocnika) tem jednem spojrzeniem wynagrodził chłopca za ten wysiłek woli.

W dni, w których chory mógł umrzeć w każdej chwili, żadne z dzieci nie miało innej myśli, innego obowiązku, lub życzenia, nad gorące i nad wszystkiem górujące pragnienie, aby ojciec wyzdrowiał. W tem serdecznem i żarliwem pragnieniu każdy trud wydawał się łatwym, wszystkie spory były zapomniane, wszelkie trudności przezwyciężane, tak, iż doktór odezwał się przed wyjazdem do mamy:

— Z oddziałem pielęgniarzy, tak zręcznych i troskliwych, podjąłbym się prowadzić szpital.

Jeczcze podczas pierwszych dni rekonwalescencji, gdy ojciec był tak słaby, że wszelki hałas byłby go zmęczył, każde wzruszenie mogłoby mu zaszkodzić, a jakakolwiek nieostrożność mogła wywołać recydywę choroby, dzieci były doprawdy godne podziwu: zdawało się, iż stały się odrazu dojrzałymi ludźmi, pełnymi rozsądku.

Zdarzyło się wszelako, że w dzień, w którym doktór Pieri, odwiedziwszy znowu przyjaciela, znalazł go całkowicie uleczonym, dzieci, jakgdyby w nagłej reakcji przeciwko dyscyplinie, jaką na siebie nałożyły i przeciw smutkowi, ciążącemu nad nimi przez czas dłuższy, nagle dały upust całej swej przyrodzonej wesołości i dzień ten nie minął bez przygód.

Szczawik tak dokuczył dwom dziewczynkom, iż Topolka się rozzłościła, a Maniusia rozpłakała; potem pobiegł na ulicę, a za nim szczekający Rex i Cis, który, zdenerwowany czuwaniem po nocach, chciał przychwycić braciszka, by go uderzyć. Wiktor i Mak pokłócili się o jakieś głupstwo i rzucili się na siebie. Różyczka obraziła się, ponieważ według jej zdania, Jasio zbyt mało zwracał na nią uwagi i zanadto rozmawiał z Kaliną, a ta ostatnia znów doprowadziła ją do płaczu, odzywając się niebardzo uprzejmie:

— Czy przestaniesz, nudziarko?

Bliźnięta też były niespokojne i protestowały każde na swój sposób przeciwko różnicy między smakiem mleka matczynego (biedaczka z powodu zmartwienia utraciła pokarm) a krowiego, jakie trzeba im było dawać, by pomóc Anusi je nasycić.

Doktór Pieri, który przed piętnastoma dniami poczynił dużo smętnych spostrzeżeń nad własną samotnością i nad opuszczeniem, w jakiem się może znaleźć chory, nie posiadający rodziny, poczynił dziś inne nad niedogodnościami licznego potomstwa i odjechał w duchowej rozterce.

A Buk, który odwiózł go na stację, znalazł się zpowrotem twarz w twarz z Bartkiem; nie umiał zejść mu z drogi, a tem mniej jeszcze potrafił się wymówić od pójścia wraz znim do trzeciego kolegi, który nie był więcej wart, niż Bartek.

Kart nie dotknęli — pozwólcie mi to powiedzieć w obronie Buka. Przyjaciele, z miną ludzi nawykłych do zgoła innych sprawek, zadowolili się łaskawie przyjęciem papierosów, o które poprosili go bez ceremonji. Bartek poszedł je kupić, przyczem zapomniał oddać mu resztę. W ten sposób Buk powrócił do domu, uwolniwszy się od ostatnich pięciu lir, a ubranie jego było przesiąknięte wonią złego tytoniu, co ojciec, mający, jak wszyscy rekonwalescenci, przeczulony zmysł powonienia, natychmiast rozpoznał.

— Paliłeś? — zapytał, marszcząc brwi.

— Nie — mógł szczerze odpowiedzieć chłopiec.

— Ale byłeś w pokoju, gdzie palono. Któż to był? — nalegał tatuś z tą nieco dziecinną ciekawością, jaka nas ogarnia, gdy przez czas jakiś stoimy zdala od życia: — Czy nasi przyjaciele?

Buk nie odpowiedział. Wówczas ojciec zrozumiał. Ale nie chciał nalegać; nie chciał się rozdrażniać, ani upakarzać syna.

— Odejdź — rzekł ze smutkiem, w którym dźwięczało raczej zniechęcenie, niż wyrzut, — odejdź stąd. Nie mogę teraz znieść tej niemiłej woni.

Trzeba było wyrzec się jesiennego sadzenia owocowych krzewów. Nadeszły listy od cioci Julci i od Łukasza. Wuj Wirgiljusz także był chory, chociaż nie tak ciężko, jak jego szwagier, lecz dość poważnie, aby to zaniepokoiło jego otoczenie i powstrzymało siostrę i Łukasza od pozostawienia go samym. A rekonwalescencja zapowiadała się długa.

— Nie wiem, czy śnieg dotrzyma swego przyrzeczenia na Boże Narodzenie — pisała ciotka — wiem atoli, że ja, niestety, swego dotrzymać nie będę mogła. A ten poczciwy chłopiec nie chce pozostawić nas samych, choć chcielibyśmy, aby pojechał do was uzupełnić swój zapas wesołości, której przecież, odkąd tatuś znowu zupełnie jest zdrów, macie poddostatkiem. Tymczasem tutaj nie ujrzę, że mój kochany braciszek znowu nabierze sił...

Ojciec słuchał tych słów, wyciągnięty leniwie na starym, wybla-

kłym fotelu, który w swoim czasie służył dziadkowi, słabemu przedewszystkiem od starości. Ojciec stawał się z każdym dniem silniejszy, ale wizyty u chorych, których się znowu podjął, męczyły go trochę i gdy tylko mógł, chętnie pozwalał sobie na zbytek odpoczynku w fotelu.

— Żegnaj tedy polowanie i w tym roku — rzekł z rezygnacją. — Dla mnie i Wirgiljusza były jedyną rozrywką te godziny, spędzane na błąkaniu się z fuzją, przewieszoną przez ramię; byliśmy tak radzi, gdy mogliśmy trochę postrzelać, pogonić zająca i powrócić do domu zgłodniali...

— I zabłoceni po same oczy — dodała mama, śmiejąc się.

— Tak, ale gdy ci przynosiłem drozdy na pieczyste, byłaś im rada.

— Dla was, nie dla mnie. A gdy chodziło o ptaki, trzeba było jeszcze stawić czoło gniewowi Katarzyny, oburzonej na wasze okrucieństwo...

— Aha, jej chodziło o to, że musiała je czyścić. A gdy ona ukręca łeb jakiemuś młodemu, ładnemu kurczęciu, gdzie się wówczas podziewa jej litość?

Chłopcy się śmiali. Dziewczęta siedziały zamyślone.

— Tak jest — ciągnął dalej ojciec, ukradkiem spoglądając na Kalinę i Różyczkę. — Człowiek jest naprawdę zwierzęciem, ulepionem z dobrego i złego, z najskrajniejszych przeciwieństw. Ja, lekarz i człowiek świadomy, chętnie chodzę na polowanie: leczę ludzi i zabijam drozdy. Jasio nie mógłby patrzeć, jak zarzynają cielaka, a jednak jest łakomy na cielęcą potrawkę. A dwie panienki, pełne litości dla wszystkich zwierząt na świecie, byłyby bardzo rade, gdyby tatuś mógł im podarować na Boże Narodzenie choćby mały kołnierz z białego futerka... Na szczęście tatuś nie może, tedy panienki nie będą miały wyrzutów sumienia z powodu biednych królików, zabijanych corocznie tysiącami, by udawały gronostaje, jeśli są białe; tyczy się to również wielu innych gatunków zwierząt, poszukiwanych dla ich futer, stosownie do kolorów, jakich nabierają podczas farbowania. Czy nieprawda? Tymczasem zaś — zakończył ojciec, idąc za biegiem swych myśli — trzeba rzucić okiem na fuzje i nasmarować je tłuszczem, aby mi nie zardzewiały.

Fuzje znajdowały się w ambulatorjum, w szafie wmurowanej i dobrze zamkniętej na klucz. Były tam także różne niebezpieczne leki, prawdziwe trucizny, gdyby ich zażyto o kroplę więcej, niż należy. Do tej szafy były dwa klucze; jeden znajdował się zawsze w kieszeni ojca; drugi był powierzony Cisowi, aby mógł przynosić ojcu, co potrzeba.

Pewnego dnia Cis pędem przybiegł z pałacu: syn hrabiego. dotknięty silnym atakiem swej strasznej choroby, potrzebował pomocy lekarskiej. Ale doktora nie było w domu. Wiedziano, gdzie mógł się znajdować i posłano Józka, by go odnalazł.

— Powiedzcie ojcu, że ja już zabrałem ampułkę z zastrzykiem! — wołał za nim Cis, znowu biegnąc ku dworowi.

Ojciec, odnaleziony przez Józka, poszedł wprost do hrabiego, nie mógł tedy zauważyć, iż Cis w wielkim pośpiechu zapomniał wyciągnąć klucza ze szafy.

Dostrzegli to natomiast Buk i Bronek, gdy po coś weszli do ambulatorjum. Nie mogli powstrzymać swej ciekawości. Wszystkie te szczegóły stały się wiadome dopiero później. Dowiedziano się też, iż ze strony Buka było więcej fałszywej ambicji, niż ciekawości, aby pokazać Bronkowi, jak dobrze zna budowę i działanie tej broni. Nauczył się tego, jak mówił do Bronka, w warsztacie Hieronima, który był także płatnerzem.

Z pewnem wahaniem, czując, że czynią źle, i nieco podnieceni tym swoim lękiem, który przyjmowali za odwagę, dwaj chłopcy wyciągnęli fuzje, zapewne nie nabite... Nie wiedzieli, że Józek któregoś wieczoru nabił jedną za pozwoleniem ojca, by upolować kunę, która czyniła rzeź w kurniku, ale którą Rex pochwycił, zanim jeszcze Józek zdążył podnieść kurek. Fuzja powędrowała tedy na swoje miejsce nabita...

Nikt nie umiał powiedzieć, co się potem stało. Nigdy nie da się stwierdzić dokładnie, jak pewne fakty, straszne i nieprzewidziane następują z zawrotną szybkością. Nikt nie pamięta szczegółów. Wystrzał, okrzyk, wściekłe szczekanie Rexa, ucieczka Buka i wszyscy pobiegli do ambulatorjum, przed którem Rex wył zawzięcie... A tam, wewnątrz, wyciągnięty na ziemi leżał Bronek, którego twarz zamieniła się w krwawą maskę.

Przytem nikogo z mężczyzn nie było w domu! Najstarszym był biedny Jasio, który, widząc brata w takim stanie, był bliskim omdlenia i musiał szukać oparcia, aby nie upaść. Katarzyna i Mak podnieśli rannego i ułożyli go na wązkiem łóżeczku w ambulatorjum; mama, Kalina i Różyczka obmyły mu ranę, jak umiały i zatamowały upływ krwi. Wiktor pędem pobiegł na folwark, by wezwać Cisa.

Obmyta z krwi twarz Bronka wydawała się woskową, jak twarz trupa. Miał oczy zamknięte, tętno biło powoli i mama drżała z lęku, iż ojciec nie zdąży na czas.

Przybył co tchu, blady z przestrachu i z oczyma ciskającemi błyskawice gniewu. Jeszcze nigdy go takim nie widziano. Cis, poczuwający się do winy niedbalstwa, posłuszny na każde skinienie, nie śmiał spojrzeć mu w twarz. Widać było wyraźnie, jaki przymus zadawał sobie lekarz, by być tylko lekarzem, by zachować spokój, gdy człowiek, gdy ojciec dałby upust wewnętrznemu oburzeniu.

Mył, badał, znowu mył i opatrzył szeroką ranę, która na szczęście okazała się bardziej szeroką niż głęboką; kula twarz poszarpała, ale głowy nie przebiła; oderwała kawałek ucha i strzaskała kość jarzmową, ale nie przeniknęła wewnątrz; raczej przeszła na wylot i utkwiła w murze, nie niszcząc żadnej ważnej części ciała.

Bronek został wniesiony na górę i ułożony w pokoiku cioci Julci; gdy odzyskał przytomność, pozostawiono go pod opieką Jasia i Kaliny.

Mama i inni poszli za ojcem; ów chmurny powoli skierował się do pokoju mamy.

Usiadł, raczej osunął się na stary fotel, jakgdyby nagle opadł z sił. Milczał i nikt nie śmiał go pytać. Po kilku chwilach oparł się na łokciach i szepnął w zadumie:

— Kilka milimetrów dalej, a strzał byłby śmiertelny. I spokój całej rodziny byłby zburzony na zawsze.

Przy tych słowach głos jego stał się ostrzejszy: potem rozejrzał się dokoła, jakgdyby szukając kogoś i spytał:

— Gdzież on jest? — głos ojca, głowy domu, sędziego, brzmiał strasznie.

— Gdzie jest? — spytał niecierpliwie po raz drugi.

Drżący głos matki odpowiedział:

— Nie wiem, nie wiemy...

— Nie wiecie?... Raczej go może ukrywacie?

— Nie, nie — odparło kilka głosów naraz — uciekł.

— Tak — potwierdziła Katarzyna. — Byłam w kuchni, na progu... Widziałam go pędzącego, jak szalony, nie do furtki, ale ku płotowi; przeskoczył go i znikł...

— Ojcze — odezwał się w tej chwili głos Cisa, z trudem powstrzymującego łkanie — w tem jest dużo i mojej winy.

— Tak — przyznał ojciec, którego głos brzmiał jeszcze surowo, lecz mniej twardo, — tak. Ta szafa powinna być zawsze zamknięta. Ale biada temu, kto może się powstrzymać od szperania tylko tam, gdzie znajduje drzwi zamknięte, lub kto się nie nauczył z większą siłą i surowością rozkazywać samemu sobie, niż to mogą uczynić czyjeś nakazy lub zakazy! Nie prawo, nie obawa kary, nie strach przed policją powstrzymują porządnego człowieka od czynienia źle. Poszedł sobie? Dobrze. Lepiej dla niego i dla mnie. Któżby mnie powstrzymał, gdybym go dostał w ręce?.....

Różyczka podeszła do ojca i zarzuciła mu ramiona na szyję: Być może — rzekła cicho, — iż on, biedaczek jest tam, w lesie i rozpacza, przypuszczając, iż stało się jeszcze większe nieszczęście....

— Z pewnością nie jego to zasługa, iż stało się mniejsze, niżby się stać mogło — odpowiedział ojciec gwałtownie. — Nie płacz, matuchno — dodał, widząc, iż żona kryje twarz w dłoniach — i nie bój się. Powróci.

Ale tego wieczora nie powrócił. Grudniowa noc zapadła szybko i dom ogarnęło milczenie. Ranny jęczał w malignie. Doktór pochylał się nad nim czule i umiał go uspakajać. Jasia posłano na spoczynek. Nad wezgłowiem chorego czuwali rodzice. Mak poszedł z Rexem aż do samego lasu, nadaremnie szukając i wzywając brata: musiał powrócić, bo noc zapadła, a ojciec żądał, aby wszyscy pozostali w domu.

Rex wył długo; o świcie szczekał znowu, jakgdyby ktoś był przy furtce; ale ojciec, wyjrzawszy przez okno, nie dostrzegł nikogo.

ROZDZIAŁ XXIV.

W którym pewien zbieg idzie, idzie i nie może ujść od swego wroga.

Należy spytać się wygnańców, czem jest ojczyzna, należy spytać się zbiegów, czem jest dom rodzinny. Tylko oni mogą nam pewiedzieć, z jaką gorącą tęsknotą pragnie się powrócić do kraju rodzinnego, postawić stopę na progu swego domu, z którego oddaliliśmy się bądź z własnej, bądź z cudzej winy.

W chwili pierwszego przestrachu i rozpaczy, Buk nie czuł innego pragnienia, jak uciec jak najdalej i jak najszybciej z tego pokoju, od tej krwawej twarzy, od tego ciała, które upadło i, jak mu się zdawało, mogło nie powstać więcej. Duszę jego rozdzierały ból i wyrzuty, jednako silne i żadna kara nie wydawała mu się dostateczną za tak wielką winę.

Biegnąc bez tchu i poddając się instynktownej u ludzi chęci ukrycia się przed nieprzyjacielem, schronił się do lasu. Aliści wróg Buka nie należał do tych, których można zbić z tropu; i znalazł się przy nim, bliższy i zacieklejszy, niż kiedykolwiek.

W tej porze roku w lesie mrok zapada wcześnie, a wraz z mrokiem wzrasta i zimno. Buk nie umiałby powiedzieć, jak długo wzburzony błąkał się w tej ciemności. Utracił poczucie czasu, przestrzeni, środowiska. Oprzytomniał, gdy zdaleka dosłyszał szczekanie Rexa i głos, wołający go kikakrotnie po imieniu. Był przekonany, iż szedł zawsze przed siebie w jednym kierunku, nie zbaczając ni razu. W jakiż tedy sposób słyszał, iż wołają go w pobliżu? W jakiż to sposób, ten, kto szukał, zdawał się go wyprzedzać, miast postępować za nim?

Nie odpowiedział. Nie chciał, aby go odnaleziono, aby go zaprowadzono do domu, nie chciał stanąć wobec słusznego gniewu ojca, nie chciał zobaczyć... zabitego!

Nie odpowiedział. Trząsł się cały i zęby zgrzytały mu tak mocno, iż sam się przestraszył, jakgdyby pochodziło to od kogoś innego. Poomacku, instynktownie, lub z nawyku poszukał i znalazł wydrążony pień drzewa; wszedł tam, badając dno nogami i skulił się, jak zwierzę.

Nie spał i nie myślał; boć trudno nazwać snem odrętwienie, w jakie popadł, trudno też nazwać myślami gorączkowe widziadła,

które go wciąż wyrywały z odrętwienia. Tak przeminęło może kilka godzin. Potem, przemarzły i skostniały, nie mógł już dłużej wytrzymać i wyszedł.

Z trudnością wydostał się z dziupli, w którą na skutek własnego ciężąru zbyt głęboko się wsunął i począł iść ku polanie; gdy się na niej znalazł, podniósł oczy ku gwiazdom; jedna, którą rozpoznał i która pozwoliła mu się zorjentować, błyszczała jaśniej od innych: przywykł był widzieć ją na tej samej wysokości, gdy w swej sypialni budził się późną nocą.

Wówczas, nagle, gwałtownie ogarnęła go tęsknota za domem, rodziną, mamą... Nie myślał już o niczem; w tej chwili nie przypominał sobie zgoła, dlaczego znalazł się tutaj. Nieposkromiona siła pchnęła go na drogę ku domowi i przebiegł ją jednem tchem...

Ale gdy znalazł się przy furtce z pierwszym brzaskiem, co zaledwo rozjaśniał horyzont i dom stał przed nim milczący, szary, tą szarością zimowego świtu, z jedynem, słabem, czerwonem światłem, padającem z pokoju, gdzie, może, złożono jego, ogarnęła go groza i uciekł znowu. Poczciwy wyżeł, rozpoznawszy jego kroki, choć tak lekkie, zaszczekał radośnie, jakgdyby zapraszając go, aby wszedł; ale Buk nie dosłyszał zaproszenia i pobiegł znowu ku kasztanowemu laskowi.

Wszystkie te przejścia wyczerpały go zupełnie, choć utrudzenia fizyczne mniej go zmęczyły, niż cierpienia moralne. Był głodny, spragniony, przemarzły i senny, ale przedewszystkiem cierpiał okrutnie; było to cierpienie głuche i ostre zarazem, które przeniknęło jego duszę i rozpanoszyło się w niej, szukając miejsca, gdzie najboleśniej mogło go dotknąć.

Gdyby nie ukąszenia tej moralnej udręki, Buk byłby może i zasnął na wzgórku, pokrytym jeszcze resztką murawy. Z pewnością czuł wielkie pragnienie snu. Być może, że zdrzemnął się nieco, ale gdy rozległy się dzwony poranne, obudził się z przestrachem.

W czystem i chłodnem powietrzu dzwony rozbrzmiewały tak jasno i lekko, iż budziły radość życia, pragnienie dobra, wiarę w dzień, który się rozpoczynał. A jednak w Buku wzbudziły lęk; jakgdyby dzwoniły dla konającego: ukrywszy twarz w ziemi wilgotnej i zimnej, zapłakał rozpaczliwie.

Wstrząsnął się cały, gdy poczuł ciepły oddech i szał psich pieszczot. Oto przy nim był Rex i podrygując dokoła, wskakując mu na plecy, oblizując łzy jego, skomlał przy tem wyraziście — ileż w tem było przywiązania, nadziei, zachęty; zdawał się zapraszać go, aby poszedł z nim do domu, aby nie pozostawał tu sam, aby przyjął życie ze wszystkiem, co ono nam przynosi (a, być może, pies wie o tem więcej niż ludzie), kary i nagrody, pieszczoty i kije, dni dobre i złe; lecz nie należy uciekać od życia, nie należy unikać kary, gdy się zasłużyło na nią.

Teraz ktoś powoli wspinał się na wzgórek: a radosne szczekanie Rexa było mu przewodnikiem.

Biedny Jasio! W te kilka godzin przecierpiał więcej, niż w całem swem życiu. Nawet śmierć mamy nie sprawiła mu tak głębokiego, okrutnego bólu. A jednak wystarczyło, aby tego wieczora zbolały głos szepnął mu, mówiąc dobranoc:

— Jasiu, Jasiu, gdzie może być mój synek? — aby zaprzysiągł sobie, iż go odnajdzie, wybaczy mu i sprowadzi do domu.

Gdy Buk ujrzał go przed sobą, rzucił się do ucieczki. Ale Jasio powstrzymał go ruchem ręki jeszcze zanim zdążył przemówić. A Buk był posłuszny, spoglądając nań z lękiem; drżał na całem ciele.

— Żyje — oznajmił Jasio głosem cichym i poważnym. — Nie drżyj tak. Czyż mię nie rozumiesz? Bronek żyje i wyzdrowieje. Chodź. Ja ci już wybaczyłem.

Nie inaczej pewnie pojawił się Zbawiciel przed tymi, co go opłakiwali. Można powiedzieć, iż wygląd, głos i słowa Jasia były równie świetlane. Pierwsze promienie zimowego słońca padały w pełni na tę twarz bladą i słodką, głos brzmiał jasno w czystem powietrzu, a słowa, jak pęk światła, uderzyły w nieszczęśnika, pogrążonego w najgorszych mrokach wyrzutów sumienia.

Oparł się łokciami o ziemię, by móc lepiej spojrzeć w twarz tego, co mu przynosił tak dobrą nowinę; i jeszcze wątpił, czy to nie sen. Ale ponieważ Jasio stanął już przy nim, a Rex nie zaprzestawał swego radosnego narzucania się; prawda tego co widział

i słyszał, stała się dlań oczywistą. Lecz w duszy jego panował taki chaos uczuć, iż nie mógł wymówić ani słowa: a drżenie stało się jeszcze gwałtowniejsze.

Więc znowu rozległ się głos Jasia: a mówił tak ostrożnie, jakgdyby rozmawiał z chorym umysłowo.

— Wyzdrowieje. Mamy także nadzieję, iż nie pozostanie zbyt wiele śladów... (chciał powiedzieć zeszpecenia, ale powstrzymywał się z litości dla winowajcy, który patrzył nań błędnie).

— Wzrok jest uratowany — ciągnął dalej Jasio; — a policzek da się jakoś doprowadzić do porządku. Pozostaje jeszcze ucho, do którego oczywiście nie da się przylepić kawałka, oderwanego przez kulę, ale trudno! Gdy się pomyśli o tem, co mogło się stać....

Buk drżał jeszcze bezustannie, a to przywołało Jasiowi na pamięć jego misję, o której, mówiąc o bracie, zapomniał przez chwilę.

— Chodź; z pewnością i on ci wybaczył. Biedaczek nie może jeszcze mówić, ale jestem pewien, że gdy tylko potrafi....

— Nie — rzekł Buk raczej głową, niż ustami.

— Co, nie?

— Nie, nie mogę.

— Czego nie możesz? — nalegał Jasio, pochylając się, by zajrzeć mu w twarz, która wydawała się twarzą starca, tyle w niej było udręki i zmęczenia.

— Nie wolno mi powrócić do domu... Nie wolno mi widzieć więcej Bronka... I nie mogę — dodał z wielkim wysiłkiem — uwierzyć, że mi wybaczą.

— Jakże to? Z chwilą, gdy ci to mówię ja, jego brat, i mówię ci, że przychodzę w jego imieniu...

— A ojciec?

Jasio nie wiedział, co odpowiedzieć. Buk roześmiał się gorzko.

— A widzisz? Ojciec nie może mi przebaczyć. Ach, ja to wiem dobrze! Gdyby mój syn zrobił to, co ja zrobiłem, nie chciałbym znać go więcej. I słusznie, słusznie — szeptał chłopiec, drżąc coraz silniej — kto mówi, że nie. To całkim słuszne. Idź tedy Jasiu, do domu....

Jasio usiadł przy nim i przytulił go do siebie: gdyż ta udręka

i to drżenie udzieliło się i jemu. Na chwilę obaj byli jednako zrozpaczeni. Rychło jednak, ten, co nie zawinił, odnalazł siłę i wiarę także i za winowajcę.

— Rex! — zawołał Jasio; wyżeł, harcujący po polach, przybiegł w podskokach. Idź do domu! I sprowadź tu Maka.

Rex puścił się cwałem.

— Nie mówię, abyś już teraz stanął przed ojcem — rzekł znowu Jasio — albo, żebyś szedł zaraz do domu.... Rozumiem, że to dla ciebie jest niepodobieństwo. Ale należy pomyśleć o mamie.... Nie wolno sprawiać jej jeszcze większego bólu. Dokąd chciałeś pójść? Odejść daleko, tułać się i nie zobaczyć jej więcej? Bez słowa pożegnania? Pomyśl, że....

Buk już nie myślał wcale. Oparty o ramię przyjaciela, utracił przytomność, zanim ów to spostrzegł. Jak rzecz martwa ciążył teraz na Jaśku, który, sam słaby i zmęczony, wątpił, czy potrafi go udźwignąć.

Na szczęście pomoc zjawiła się rychło: nadbiegli Mak i Cis, przyczem Cis przyniósł butelkę koniaku, a Mak ciepły szal.

Rozgrzany alkoholem, dobrze otulony, podtrzymywany serdecznie Buk został sprowadzony do domu. Gdy znaleźli się przy furtce i wysoka postać ojca ukazała się na progu, nieszczęsny chłopiec jął się cofać i pobladły, próbował wyrwać się z rąk braci i uciec. Ale ojciec, który to widział i zrozumiał, odwrócił się, jakby nie chcąc go widzieć, i powoli wszedł na schody.

Mogli tedy, nie spotkawszy go, odprowadzić chłopca aż do sypialni, położyć go do łóżka i podać mu szklankę gorącego mleka, którą litościwa ręka postawiła na progu zamkniętych drzwi. I Buk zasnął.

ROZDZIAŁ XXV.

W którym dobiega nas ciężki krok żandarmów.

Jaką drogą wieść ta rozeszła się po wsi, trudno opowiedzieć: może wprost z pałacu, dokąd Wiktor przybiegł bez tchu, z twarzą, wzbudzającą litość.

Ale nie trudno zgadnąć w jakiej formie rozeszła się po wsi: zmienionej, potwornej. Wystarczy, gdy wam powiem, iż z początku mówiono

o jednym zabitym, potem o dwu, albo przynajmiej o dwu ciężko rannych. I zmyślano fantastyczne przyczyny, mówiono źle o doktorze i jego dzieciach: iż zanadto do wszystkiego się wtrącał, tamci zaś byli nieroztropnymi chłopakami, którzy sobie zbytnio pozwalali....

Gdy ujrzeli potem młodego wikarego, a wkrótce i przzodownika karabinierów,*) udających się do domu doktora, nie mieli już żadnych wątpliwości: musiał tam być przynajmniej jeden zabity i jeden uwięziony.

Wikary wszedł na górę do pokoiku rannego i pozostał tam długo; potem, uspokojony przeszedł do pokoju mamy, siadł z nią przy ogniu i potrafił swemi słowami uspokoić biedną kobietę. Wreszcie poszedł z nią do Buka, który spał ołowianym snem.

— Niech mi pani wierzy, że z całego tego nieszczęścia, zrodzi się tyle dobrego, iż teraz trudno to sobie wyobrazić. Należy zawsze błogosławić Boga, nawet wówczas, gdy się przelewa łzy. Teraz niech i pani się położy, bo widać, że już trudno pani utrzymać się na nogach; powrócę dziś wieczorem i pomówię z tym chłopcem.

To wszystko wypowiedział wikary w korytarzu głosem przyciszonym, a potem zeszedł do ambulatorjum, gdzie zastał doktora i przodownika żandarmów w pogawędce bynajmniej nie przyjacielskiej.

— Powtarzam, iż ranny nie może i nie powinien mówić.

— A ja powtarzam, iż moim obowiązkiem jest zbadać go.

— Skoro tylko będzie to możliwe, drogi panie przodowniku; aczkolwiek wydaje mi się, że moje słowa i moje świadectwo wykluczają... A wreszcie, ponieważ zajście miało miejsce pomiędzy dwoma chłopcami, za których ja i tylko ja jestem odpowiedzialny.

— Jesteś pan w błędzie, drogi doktorze. Ja jestem przedstawicielem prawa i do mnie należy zdecydować, kogo pociągnąć do odpowiedzialności. Przypuszczam, że ponieważ winowajca jest małoletni...

— Ale cóż za brednie mówisz mi pan teraz? Tutaj miały miejsce jedynie nieposłuszeństwo i nieszczęśliwy przypadek, oto wszystko. A winowajcy są już należycie ukarani: jeden cierpi fizycznie i będzie miał ślady na całe życie, drugi....

— Właśnie o drugiego chodzi, panie doktorze, o drugiego... Należy, aby czuł, aby rozumiał ciężar i wartość prawa...

*) Carabinieri — żandarmi włoscy.

— Ciężar? — mruknął doktór z smutnym uśmiechem: — Gdyby chłopak był w tym wieku i tak winien, iż musiałby dźwigać kajdanki u rąk, nie ciążyłyby mu one dotkliwiej, niż kara, jaką mu nałożyłem w domu, gdzie na mój rozkaz nikomu nie wolno do niego przemówić, nikomu nie wolno dostrzec jego obecności; jest jakby napiętnowany w rodzinie, rozumiesz pan? Cierpi już tak silnie, że tej nocy błąkał się po lesie, że dziś rano z trudnością udało się bratu ranionego nakłonić go do powrotu do domu... I wystarczyło, że mnie ujrzał zdaleka, aby na nowo ogarnęła go chęć ucieczki, rozumie pan?

— Rozumiem, rozumiem — oparł przodownik gniewnie, gdyż bolało go, być może, że ominęła go sposobność wysłania do władzy pięknego protokółu, — niech pan nie wątpi, że zrozumiałem. Ale czy nie zdaje się panu, że właśnie ta chęć ucieczki wskazuje na poczucie winy u winowajcy?

Doktór zerwał się rozgniewany i byłby może powiedział coś coby pogorszyło sprawę, gdyby wikary nie był go powstrzymał grzecznym ruchem i nie oświadczył stanowczo, zwracając się do zbyt gorliwego urzędnika:

— Widziałem rannego. Nie może mówić, ale pisze. Oto, co napisał — dodał, podając przodownikowi kartkę; ów, nie bez godności, nałożył okulary i przeczytał:

— Nie troszcie się o mnie, bo wyzdrowieję prędko. Pamiętajcie o biednym Buku, który ma się gorzej ode mnie, a jest bez winy.

— Przyznaję — rzekł przodownik, zwracając kartkę, — że te słowa, jeśli nie dyktowała ich wspaniałomyślność, mogą mieć wielkie znaczenie. I jestem gotów uwierzyć, iż w istocie nie było tu złej woli. A jednak według prawa należało zawiadomić mię bezwłocznie i pozostawić tu wszystko nienaruszone, zamiast pospiesznie zmyć plamy krwi i doprowadzić pokój do porządku... jakgdyby było tu coś do ukrycia przed władzą. Nie mówię tego przez niedowierzanie, mam bowiem cały szacunek dla pana doktora; mówię to z obowiązku i przez uszanowanie dla prawa....

Młody wikary spoglądał na doktora, wciąż jeszcze niecierpliwiącego się, i przemówił z uspakajającym uśmiechem:

— Pan przodownik ma słuszność; złajemy starego Józka, iż zbyt starannie zmył podłogę i odstawił fuzję na miejsce. Widać, iż człeczyna nie miał nigdy do czynienia ze sprawiedliwością.

— Należało go pouczyć.

— Oczywiście. Ale doktór, przybiegłszy od chorego, myślał jedynie o udzieleniu koniecznej pomocy rannemu. Panie przodowniku, pan nie ponosi tu żadnej odpowiedzialności i będzie mógł w swem sprawozdaniu wyjaśnić, że był to tylko nieszczęśliwy wypadek i że pan, z zwykłą gorliwością uczynił wszystko, co należy.

— Pewnie — zgodził się poczciwy żandarm, udobruchany temi grzecznemi słowami. — Ale muszę być posłuszny prawu i obejrzeć przy świadkach tę broń, miejsce, z którego padł strzał, mur, w którym utwiła kula, muszę też wybadać winnego i innych....

— Który śpi teraz, jak suseł.

— Można go będzie obudzić. Zwracam uwagę, iż tylko dla pana doktora czynię to, że badam chłopca w jego domu, mógłbym bowiem posłać po niego, by go wybadać w urzędzie policyjnym.

Doktór uczynił ręką znak przyzwolenia, a w geście tym wyraziło się wielkie znużenie. Wikary zaofiarował się jako świadek podczas badania i poszedł z przodownikiem na górę; wraz z nim do sypialni udał się drugi żandarm, który dotąd czekał w przedpokoju na swego zwierzchnika.

Trzeba było silnie potrząsać biednym chłopcem, którego żaden głos nie byłby wstanie obudzić. Wreszcie otworzył oczy i, ujrzawszy karabinierów i wikarego, patrzył z takiem zdumieniem i przestrachem, iż gdyby nie obawa, że przodownik będzie się czuł urażony, wikary nie umiałby się powstrzymać od śmiechu.

— Bądź spokojny, bądź spokojny — rzekł doń wesoło z współczuciem.

— Księże wikary — upomniał przedstawiciel władzy, — nie do pana należy zabieranie teraz głosu.

Buk usiadł na łóżku gwałtowine i zapytał z lękiem:

— Umarł? Jaś z litości powiedział mi, że nie umarł. Boże, Boże! Uczyń, abym ja także umarł. Dokąd mam pójść panie przodowniku?

— To nie twoja rzecz zadawać pytania — odparł ów surowo. —

Odpowiedz na moje zapytania. Dlaczego wziąłeś fuzję?

— Aby pokazać Bronkowi, że umiem się z nią obchodzić.

Odpowiedź wywołała uśmiech na twarzy wikarego i prostodusznego karabiniera, ale nie rozjaśniła twarzy przodownika.

— Czy wiedziałeś, że była nabita?

— O, gdybym był wiedział, czy pan sądzi, że nie byłbym celował wyżej?

— Tedy celowałeś do niego?

— Nie, nieee! — zawołał obwiniony z prawdziwem przerażeniem. — Celować do Bronka? Ach! Któż to może przypuszczać?

— Czy przedtem nie posprzeczaliście się o nic?

— Tak. On twierdził, iż najlesze są hammerless, a ja mówiłem, że najlepsze są fuzje z kurkiem.

— I wybuchnęła gorąca sprzeczka?

— Nie... Nie gorętsza, niż zwykle. A wreszcie u Bronka kończyło się zawsze na śmiechu.

— Śmiałby się teraz, gdyby nie miał twarzy owiązanej — zauważył wikary wesoło.

Buk pił te słowa, jak spragniony pije wodę źródlaną. Więc Bronek nietylko żyje, ale niedługo odzyska zdrowie i wesołość. Tedy cierpliwości do wszystkiego innego!

— Ubierz się; skonfrontujemy cię teraz z ofiarą.

— Czy mogę ją uprzedzić?

— Uprzedzić, kogo?

— Ofiarę — z wielką powagą odparł młody kapelan wojskowy.

— Niechaj ksiądz czyni, co uważa za potrzebne, ale ja muszę słyszeć, co ksiądz powie.

Bronek sączył właśnie powoli jakiś ciepły napój, przez słomianą rurkę, a jedyne oko, widoczne z pod opaski, śmiało się do Cisa, pomagającego mu w tej czynności. Ale gdy wikary wszedł, mówiąc: — Pan przodownik pragnie cię pozdrowić — oko Bronka stało się poważne, pytające, a ręka jego sięgnęła po ołówek i bloczek, leżący na łóżku.

— Gdzie jest Buk? — nakreślił pośpiesznie: — I czego chce przodownik?

Ów, stojący na progu, wyciągnął rękę po kartkę, którą wikary musiał mu podać, a przyłożywszy rękę do trójgraniastego kapelusza, odparł:

— Chcę cieszyć się wraz z panem, iż uniknąłeś niebezpieczeństwa i skonfrontować pana z obwinionym.

Gdyby Cis nie był w porę go powstrzymał, Bronek byłby zerwał opatrunek i naraził się na krwotok, aby tylko zaprotestować własnemi usty przeciwko temu określeniu o b w i n i o n y.

Nie mogąc uczynić nic więcej, otworzył ramiona do Buka; podtrzymywany przez policjanta, Buk stanął przed nim z wyrazem takiego bólu i opuszczenia w twarzy i ubraniu, wdzianem byle jak, iż wzbudzał litość. Więc k o n f r o n t a c j a była krótka i przekonywająca: uściskali się gorąco i wcale nie chcieli się rozłączyć.

Cis rozpłakał się, jak dziecko, wikary przesunął kilkakrotnie ręką po oczach, policjant sapał głośno, a pan przodownik zagryzał wąsa zajadle, by ukryć drżenie swych warg.

— Czyż chcecie przyczynić się do podniesienia gorączki u rannego i wziąć na siebie odpowiedzialność za pogorszenie — upomniał surowo doktór, którego nadejścia nikt nie dosłyszał. — Tutaj, zgodnie z prawem rozkazuję ja i wyrzucam wszystkich za drzwi.

Ale trudno przemilczeć, że i w głosie doktora brzmiało trochę wzruszenia.

Pokornie i szybko pierwszy wyszedł karabinier. Buk chciałby uczynić to samo, ale z obawy, aby tego nie przyjęto za tchórzostwo, powstrzymał się i, usunąwszy się na bok, czekał z opuszczoną głową. Czekał na wyrok głowy domu, sędziego, którego najbardziej się obawiał i najbardziej kochał. Ale wyrok nie zapadł; raczej nie padły słowa, któreby ten wyrok sformułowały.

Doktór podszedł do łóżka i ujął chorego za puls, by policzyć jego uderzenia. Przodownik zrozumiał nareszcie, przyłożył palce do kapelusza i wyszedł z pokoju, a za nim wikary i Cis. Buk pozostał jeszcze. Być może, że gdyby nawet chciał się poruszyć, nogi odmówiłyby mu posłuszeństwa.

Oko Bronka, pełne współczucia i przywiązania biegło od ojca do syna. Ale ojciec zdawał się nie rozumieć niemej prośby.

— Zachowuj się spokojnie i staraj się usnąć — nakazał doktór rannemu.

Ten chwycił za ołówek i napisał:

— Chcę, aby Buk był moim pielęgniarzem.

Ojciec uczynił głową lekki ruch przyzwolenia i wyszedł, nie obdarzywszy syna ani jednem spojrzeniem.

ROZDZIAŁ XXVI.

Z którego można zrozumieć, jak niekiedy zło jest konieczne, aby utorować drogę dobremu.

Jak niebo po burzy wydaje się czystsze, a powietrze bardziej orzeźwiające, tak w domu doktora, gdy minęły dni, kiedy się nie wiedziało, czy większa jest zgryzota z powodu tego, co się stało, czy przestrach z powodu tego, coby się stać mogło, wszystko wydawało się łatwe i miłe.

Surowość ojca dla nieposłusznego syna osłabła nieco wobec zachowania się chłopca, który, widując teraz cześciej ojca u łóżka rannego, przemógł swój lęk (pochodzący raczej z własnego poczucia winy, niż wywołany wyrazem twarzy ojca, zawsze obojętnego, a bynajmniej niegroźnego) i okazywał się pokornym i zawsze gotowym na rozkazy, jak ktoś, co rozumie, iż zasłużył na takie traktowanie i szczerze uznaje je za sprawiedliwe.

Żaden chory nie miał pielęgniarza bardziej gorliwego w odgadywaniu jego życzeń, cierpliwszego w oddawaniu mu wszelkich posług. Żaden doktór nie miał sumienniejszego pomocnika, wykonywującego dokładniej jego rozkazy.

Buk spędzał noce również w tym pokoiku, ułożywszy się byle jak na materacu, rozłożonym na podłodze, a z rana doprowadzał wszystko do wzorowego porządku i sprzątał tak starannie, iż Bronek znający się na rzeczy, nie szczędził mu gorącej pochwały.

W owej chwili pojawiała się zwykle mama. Ach! surowość mamy wzięła rychło koniec, jeśli wogóle miała kiedykolwiek początek. Uśmiechała się teraz z jednaką miłością do obu chłopców i poczynała rozumieć dobro, jakie, wedle miłej przepowiedni młodego wikarego, urodziło się ze złego: troska, jaka dawniej ściskała jej serce na myśl

o przyszłości tego syna, teraz minęła jakoś bez widocznej, zewnętrznej przyczyny.

Wyznała to pewnego dnia staremu proboszczowi, który choć z trudem wlókł nogi, postanowił jednak odwiedzić chłopców. Podniósł na nią swe jasne, głębokie źrenice, które jakoby widziały teraz lepiej zaświaty, niż naszą ziemię, i powtórzył z uśmiechem stare słowa wiary, co na jego ustach przybierały cechy wróżby:

— Drogi Pana są dla nas tajemne, ale nieskończone; i wszystkie głosy, nawet najsłabsze, które Go błagają, bywają wysłuchane, jeśli to błaganie płynie z pragnienia prawdziwego dobra. Jedynie starcy mogą pojąć przyczynę tylu cierpień, tylu trosk ludzkich... Ale zobaczmy naszych więźniów.

Ci przyjęli go jak przyjaciela. Bronek, siedząc na łóżku z opatrunkiem już znacznie mniejszym, tak, iż przynajmniej oczy mogły mówić na swój sposób (i to im się doskonale udawało); Buk z twarzą cichą i jasną, co osobliwie radowało tych, którzy pamiętali go zawsze posępnym i niespokojnym. Mówili o wielu rzeczach: o bliskich świętach Bożego Narodzenia, o przedstawieniu teatralnem, o komedyjkach z marjonetkami, które należało ułożyć, o zaproszeniach, które należało licznie rozesłać.

— Trzeba to powiedzieć doktorowi — polecał stary kapłan — trzeba go poprosić, aby uczynił zadość temu życzeniu starego przyjaciela, który was wszystkich błogosławił i wprowadził na łono wiary chrześcijańskiej: kto was nie widzi zbliska, jak ja, zazdrości wam i nie rozumie, iż sami jesteście twórcami waszego szczęścia, idąc za przykładem i wskazówkami waszych rodziców... Nie w bogactwie, którego nie posiadacie, nie w obyczajach miejskich, których się nie trzymacie, leży źródło waszego tak szczerego i pańskiego życia, tej waszej niedającej się zaprzeczyć wyższości nad innemi rodzinami, ale w sumie przymiotów, jakich wymaga się od każdego z was, i chciałbym, jak to już powiedziałem, aby wielu chłopców tutejszych, ze wsi i z miasteczka, poznało was bliżej. Powiedzcie ojcu ode mnie, że jeśli kto potrafi, tak jak on wyhodować roślinę — człowieka, nie wolno mu ograniczać się tylko do własnego ogrodu...

— Nie — odezwał się wesoły, donośny głos doktora, który od

kilku chwil stał za plecami proboszcza (ów, nieco głuchy, nie słyszał go wchodzącego). — Nie; toć, kochany mój księże Józefie, jak długo jego własne rośliny są młode, ogrodnik ma obowiązek oczyszczać je z gąsienic i pasożytów i nie pozwolić chwastom, aby obrosły je dookoła! Czyż mogę wiedzieć, że dobro, które ja dam ludziom, otwierając drzwi mego domu, wynagrodzi mnie za zło, jakie mogą inni wyrządzić moim dzieciom?

Proboszcz powoli podniósł drżącą rękę, by powstrzymać gniewne uniesienie doktora.

— Nie mówię, abyś pan otworzył swój dom naoścież: rodzina jest jak świątynia i tak ją wszyscy pojmują! Ale gdybym pana poprosił, abyś niekiedy otworzył oborę dla moich owieczek...?

— Jeśli — poprawiła mama — to już lepiej szopę.

— Zrozumiałem — rzekł doktór, bardziej zrezygnowany, niż zadowolony — jużeście się porozumieli, co?

— Nie, nie — zaprzeczał ksiądz Józef. — Czyż pan uważasz mię za zdolnego do tego? Nie mówiłem z panią jeszcze ani słowa o tem, ale pani wie, że...

— Dobrze — zgodził się ojciec, — niech będzie szopa. Ale stawiam jeden warunek: nie chcę, zrozum mię dobrze, stary przyjacielu, n i e c h c ę, dokoła mego domu, nie chcę dokoła moich dzieci, widzieć ani brudasów, ani takich dzieci, które nie umieją zachować się, mówić albo milczeć, jak przystoi osobom dobrze wychowanym. Ksiądz proboszcz to określił doskonale: nie trzeba bynajmniej być bogatym, lub mieszkać w salonach, aby pamiętać, że nie wolno krzyczeć, bić się, pluć na podłogę, wchodzić do pokoju w czapce na głowie, że należy ukłonić się, gdy się wchodzi, podziękować, gdy potrzeba, jednem słowem, że należy zachować się trochę inaczej, niż trzoda prosiąt, biegnących do koryta. To tyczy się formy. Pozostaje jeszcze treść, a ta jest najważniejsza. Dzieci, które nie mają chęci do pracy, dzieci, które nie szanują swych rodziców, a zwłaszcza dzieci występne, które palą, grają w karty i już uczęszczają do karczmy, takich dzieci n i e w p u s z c z ę nawet na jeden wieczór do szopy. Wydaję się księdzu niedobrym, ale niech mi ksiądz wierzy, że tak potrzeba... Tem bardziej, iż ksiądz jest zbyt dobry.

— Stanie się, jak pan sobie życzy — odparł stary kapłan uroczyście i oparł się serdecznie na ramieniu Buka, który pomagał mu powstać z krzesła. — A kiedy ci dwaj rekonwalescenci wyjdą z tego pokoju?

Ojciec zrozumiał. Rzeczywiście było ich dwu, co odzyskiwali zdrowie i tem należało wielce się radować. Na twarzy Bronka i w duszy Buka pozostaną na całe życie ślady ich winy, ale obaj odrodzili się lepsi, bardziej panujący nad sobą.

Ta drżąca ręka, co opierała się na ramieniu jego dziecka, mówiła ojcu jeszcze jedną rzecz: prosiła o pobłażanie. Ale to nie było tak łatwe dla głowy rodziny; toć z winy własnego syna ujrzał śmierć u wezgłowia przybranego więc odpowiedź ojca brzmiała jeszcze surowo:

— Od dzisiaj Bronek będzie mógł wstawać z łóżka i przechadzać się po pokoju mamy. Już niedługo będę mógł zdjąć mu opatrunek i wtedy zejdzie do stołu.

Wydawało się, iż to oznacza, że Buk winien podjąć znowu swe samotne życie, jadać sam jeden w sypialni i żyć znowu w zapomnieniu. Słuchał słów ojca z opuszczonemi oczyma, ale z podniesioną głową, z rodzajem pokornej dumy, zgoła w nim nowej. Nikt się nie odzywał ale Bronek pochwycił już za ołówek i pisał szybko; potem, patrząc na doktora śmiejącemi się oczyma, wręczył mu kartkę, która brzmiała:

— Panie tatusiu doktorze, oświadczam i przysięgam, iż wyjdę z tego pokoju i zejdę do stołu jedynie oparty o ramię mego wiernego pielęgniarza.

Więc ojciec, ostatecznie pokonany, przyzwolił uśmiechem, co przeniknął w serce skruszonego syna, jak błogosławiony deszcz przenika w rozpaloną ziemię.

Tego wieczora Mak powrócił z miasta z radosną wieścią, że wakacje Bożego Narodzenia rozpoczną się nazajutrz, i że cenzurki wszystkich trzech uczniów (nawet i dwu, którzy musieli przerwać lekcje na dwa tygodnie) były rzeczywiście dobre i więcej w nich było piątek, niż trójek. W nagrodę usłyszał tyle innych dobrych nowin,

iż należy mu wybaczyć, jeśli z radości cisnął w górę książki, przepasane rzemieniem, a te rozsypały się w nieładzie. Zrozumcie! Powiedzieli mu wszystko odrazu i mówili wszyscy naraz. Szczawik nawet nie mówił — wrzeszczał.

— Przedstawienie w szopie; proboszcz chce rozesłać dużo zaproszeń; tatuś nie chciał, ale się zgodził; Bronek zejdzie do stołu pod ramię z Bukiem; Buk uzyskał przebaczenie; mama płakała i śmiała się; Kalina upiekła ciastka (zje się je dziś wieczorem w pokoju mamy) Jasio namalował już głowy kukiełek, ale nie chciał ich pokazać, aż Buk uzyska przebaczenie; Cis przyniósł z pałacu kilka pięknych kawałków starych tkanin z jedwabnego brokatu na suknię dla królowej i złote galony dla obszycia królewskiego płaszcza; Różyczka ułożyła już przy pomocy Jasia pierwszą baśń, którą mieli odegrać (ale i ona nie byłaby jej opowiedziała, gdyby Buk był dalej wykluczony z ich grona); wikary przyjdzie dziś wieczorem, by omówić różne rzeczy....

— Nic nie zrozumiałem i zrozumiałem wszystko — oświadczył Mak, zbierając swe książki.— A ja wam powiem, iż wszystkie części teatrzyku są już gotowe, bo spiłowałem i zheblowałem je w niedzielę. Trzeba je tylko złożyć.

— Niech żyje Mak! — krzyknął Szczawik.

— Niech żyje ojczulek!—odparł Mak. Porwani zapałem, wbiegli wszyscy pędem po schodach, wpadli do pokoju mamy, gdzie byli Bronek i Buk... I dobrze się stało, iż ojciec nie powrócił jeszcze ze swych wieczornych wizyt u chorych, inaczej groziło im, że zepsują wszystko przez swą szaloną radość.

ROZDZIAŁ XXVII.

W którym jest mowa o szopce i o pewnym słodkim głosiku. O innych rzeczach nie mówi się, lecz pozostawia się je domyślności czytelnika.

Stosownie do rady młodego kapłana, który pragnął swemu zgrzybiałemu zwierzchnikowi oszczędzić rozgardjaszu, w tym roku nie przygotowano obchodu szopki w parterowym pokoju plebanji, jak dotąd bywało, lecz w dobrze uprzątniętej szopie doktora, gdzie Mak z wielką zręcznością w jeden dzień urządził teatrzyk.

Jasio namalował scenę o wschodnim kolorycie, z lekkiem falowaniem gruntu, kilku palmami, dolinkami w głębi i zaledwie naszkicowanym profilem małego miasteczka, którem mogło być również i Betleem; domki były niskie, białe, a dachy niewidoczne. Wszystko było zlekka otulone mgłą jasnej, księżycowej nocy.

Rozumie się, iż księżycem była lampka ukryta w górze teatrzyku, skąd padało błękitne, tajemnicze i pełne słodyczy światło. W pokoju, ani też na scenie nie było żadnego innego oświetlenia, prócz maleńkiego, słabego, czerwonawego światełka w chatce, zajmującej połowę proscenium i zbudowanej z gałęzi sosnowych oraz z liści wawrzynu i pokrytej mchem, jak wszystko dookoła.

Kontrast dwóch świateł sprzyjał efektom cieniów i półcieniów, zacierając niedoskonałość figur i całości. Nikt nie mógł zauważyć, iż święty Józef był ustawiony bardzo w głębi i przytwierdzony do gałęzi, gdyż inaczej nie mógłby się utrzymać w równowadze. Nikomu nie wpadłoby też na myśl, że Dzieciątko dlatego tylko otrzymało maleńką kołderkę na nogi, iż rzeźbiarz, doszedłszy do nóg, stracił głowę i nie potrafił ich wyciosać. Co się tyczy figury Matki Boskiej, było w niej dobre to, że pochylała się mocno ku Dzieciątku i że obszerny, błękitny płaszcz okrywał ją całą, gdyż pomimo zapału, jaki Jasio włożył w to dzieło, a może właśnie dlatego, że chciał wykonać je zbyt dobrze, nie umiał dać Madonnie pięknej, słodkiej twarzyczki o regularnych rysach; na domiar złego, chcąc poprawić chociażby nos, ostatniemi pociągnięciami pendzla zepsuł wszystko.

Bez obrazy dla artysty wyznać należy, iż najlepiej udały mu się zwierzęta: majestatyczny wół i osiołek, który, zdawało się, zaryczy lada chwila; a w pobliżu chatki pół tuzina owieczek z wełny; Różyczka spruła starą czapeczkę i zaopatrzyła owce tak obficie w runo, że zakryło całkowicie cztery pałeczki, reprezentujące nogi. Pasterzy nie było na scenie, lecz rozumiało się samo przez się, iż należało ich sobie wyobrazić za kulisami.

Natomiast rzeczą, której nie trzeba było sobie wyobrażać, bo była widoczna na twarzach dzieci, należących do rodziny, jakoteż i tych, które zostały dopuszczone do posłuchania szopki, był zachwyt. Sami twórcy tego dzieła podziwiali je, niby cud, a uzupełniając wyo-

braźnią wszystko, czego brakowało, byli przejęci i wzruszeni tem przedstawieniem, tak starem, jak świat chrześcijański, a jednak wciąż nowem, wciąż się odradzającem.

Szopa, opróżniona, ślicznie uprzątnięta przez Buka i Wiktora, ozdobiona zielonemi gałęziami winorośli, pnącemi się po ścianach i suficie, wydawała się nieomal jak sala. A gdy cała publiczność się zebrała i zastygła w oczekiwaniu, z najciemniejszego kąta, poza teatrzykiem, tam, gdzie młody wikary kazał ustawić swą piękną fisharmonję, rozległy się słodkie pienia, a potem jeszcze słodszy śpiew świeżych i jasnych głosów Kaliny, Różyczki, Bronka i Maka; rychło przyłączyły się do nich poważniejsze głosy wikarego i Jasia.

Mama nie ukrywała swych łez; a Buk, siedzący przy matce, przytulił się do niej mocniej. On sam, niepewny swego głosu i słuchu, nie próbował nawet śpiewać; a jednak w sercu jego, teraz już całkiem ukojonem, coś śpiewało radośnie; oczy jego, już nie posępne, i pogodne czoło mówiły o spokoju duszy.

Lecz gdy zamilkł chór i rozległ się samotny czysty głos kobiecy, jeszcze nieznany większej części słuchaczów, by zwiastować chwałę Boga na niebiosach i błagać o pokój na ziemi dla ludzi dobrej woli, wszyscy się zdumieli. Nawet i dojrzali słuchacze, między nimi i doktór, niełatwy do wzruszeń, opuścili głowy jakby onieśmieleni i zadumani nad własnem wzruszeniem.

Donośny, jasny, pewny siebie głos ten jakoby unosił się w górę i drgał tam nieulękły i niezmęczony, niby śpiew skowronka. Cis, stojący opodal drzwi i trzymający pod ramię starego hrabiego, czuł drżenie tego ramienia; nie dziwiło go to zgoła, sam chciałby bowiem móc słuchać tego śpiewu w samotności i z zamkniętemi oczyma.

Lecz uderzył go uśmiech, co na chwilę zabłąkał się na te wargi, złożone teraz zawsze w wyraz znużenia i bólu i był za niego nieskończenie wdzięczny niewidzialnej śpiewaczce.

— Któż to taki? Któż to? — począł się dopytywać ten i ów, w kim ciekawość przemogła już wzruszenie. Ale nikt nie umiał odpowiedzieć. Hrabia zaś nietylko nie interesował się, jak inni imieniem i osobą śpiewaczki, lecz nawet się tem zaniepokoił; nerwowym, gwałtownym ruchem pociągnął za sobą Cisa i szybko wraz z nim skierował się ku pałacowi.

Gdy Cis, odprowadziwszy i pożegnawszy hrabiego, udał się w kierunku swego domu, natknął się na grono ludzi, powracających na folwark. Była głęboka noc; ale przy świetle latarni, którą rządca trzymał w ręku, młodzieniec rozpoznał rządcę, jego żonę, służącego hrabiego, pokojową i mógł dojrzeć obok nich wysoką i szczupłą postać młodego dziewczęcia, opiętą w czarny płaszcz, skrojony niby strój zakonnicy. Dojrzał ją tylko na chwilę; ale zajęła jego myśli, albowiem w tej obcej twarzy coś było znajomego, swojskiego: nie umiałby określić, czy to coś leżało w dużych, jasnych oczach, czy w zarysie ust, nieco pogardliwych.

Myślał o tem często; ale milczał; dlaczego — sam nie umiałby wyjaśnić.

Mniej jeszcze umiałby wytłumaczyć sobie, dlaczego, powróciwszy do domu i, znalazłszy go pełnym radosnych głosów z powodu niespodzianego przybycia Łukasza, otoczonego przez wszystkich i witanego serdecznie, po raz pierwszy, odkąd Łukasz stał się jego bratem, nie poczuł ostrego żądła zawiści. Przeciwnie, przechodząc obok Kaliny, silnie zaróżowionej z radości, lekko i pieszczotliwie dotknął jej ramienia, jak dobry brat, który wszystko potrafi zrozumieć.

— Przybyła wczoraj wieczorem z zakonnicą, którą wezwaliśmy do pielęgnowania młodego hrabiego — objaśniała nazajutrz pani rządczyni gronu ciekawych kobiet, które ją okrążyły po skończonej mszy. — Czyż nie wiecie, że zakonnicom nie wolno podróżować samym? A zabrakło innej zakonnicy, któraby jej mogła towarzyszyć; wszystkie były zajęte. O tej porze tylu jest chorych! Dlatego wybrali najlepszą, najroztropniejszą z wychowanek... Co mówicie, Józefo? że ładnie śpiewa? O tak, jak anioł... Ach! Gdyby pan hrabia chciał...

Ale tutaj pani rządczyni przerwała i oddaliwszy się nagle, jak ktoś, co spostrzegł, że powiedział za dużo, pozostawiła kobiety niezadowolone i prześcigające się w domysłach.

ROZDZIAŁ XXVIII.

W którym chleb mówi, jak umie, takoż i wino; również i kapusta i inne. Jest tu także ktoś, kto się wstydzi i milczy.

— Mamusiu, jak myślisz, — pytał Mak — czy osiem krzeseł w pierwszym rzędzie wystarczy? Ztyłu postawimy ławki.

— A kto wam pożyczy ławek?

— Każdy potrosze. Zobaczysz, iż będziemy ich mieli aż nadto. Ale ile powinno być krzeseł dla „dostojnych gości"?

— To zależy. Kogo za takich uważacie?

— Przedewszystkiem ojca. A potem, rozumie się, ciebie, mamusiu.

— Doprawdy? Co za zaszczyt! Chciałabym przeto, aby codziennie były przedstawienia.

— Dlaczego?

— O! Dlatego, że „ludzi dostojnych" zazwyczaj słucha się bezzwłocznie, nie dając sobie powtarzać dwa, trzy razy.

— Oho, pani mamusiu, dzisiaj nie praw nam kazań! Ksiądz proboszcz dziś rano wypowiedział już jedno, tak długie!

— Bronku, Bronku! Jak możesz tak mówić? Ten biedny, święty starzec powiedział rzeczy tak słuszne i wzruszające....

— Właśnie! Czułem, że wszystko we mnie się wzrusza, poczułem też potem taki apetyt, że nie mogłem już wytrzymać na ławce, chociaż trzymałem sobie brzuch obiema rękami.... I bardzo mi było trudno doczekać godziny obiadu; jeśli mamusia teraz znowu zaczyna, nie wiem, jak dotrwam aż do kolacji.

— Nie baj — podjął znowu Mak, — nie oddalajmy się od przedmiotu. Mam mało czasu, a nikt mi nie pomaga....

— Nikt? Czegóż chcesz jeszcze? Jasio powtarza rolę, Różyczka robi przegląd tualet, Buk kończy iluminację, a Wiktor szuka ławek...

— Tak; ale ani Cis, ani Kalina, ani Łukasz nie raczą przyłożyć ręki. Cis wyrzekł się nawet roli pasterza, grającego na fujarce...

— Właśnie! przypomniałeś mi w samą porę. Muszę pójść zaraz zrobić próbę muzyczną.

I Bronek pobiegł szybko, pozostawiając mamę z Makiem i maleńkiemi, które w ten chłodny dzień Bożego Narodzenia, tuliły się do niej, przy rozpalonym kominku, jak kurczęta do kwoki.

Były to ciche godziny świątecznego popołudnia, gdy poranne zajęcia już były skończone, a wieczorne jeszcze się nie rozpoczęły; są to rzadkie chwile, w których matki mają więcej czasu i cierpliwości, by wysłuchać swe dzieci.

— Powróćmy tedy do krzeseł — podjęła znowu mama. Szczawiku, policz na palcach, by pomóc Makowi. Tatuś, jeden. Mamusia dwa. Proboszcz, trzy. Wikary...

— Nie, wikary nie będzie mógł siedzieć. Będzie miał zbyt dużo roboty i pozostanie z nami.

— A więc?

— Więc — ciągnął dalej Szczawik, — nasza nauczycielka, cztery.

— Masz słuszność. A jeśli i hrabia zechce przyjść, to będzie pięć. I rządca...

— Jeśli doliczymy rządcę, to i Kacper powinien zająć pierwsze miejsce ze względu na swój wiek i swój rozum, prawda, mamusiu?

— Oczywiście. A więc mamy siedem.

— A czy babci Rycie — dodała Topolka, tak starej, każecie siedzieć na ławce? Zmęczy się.

— Więc mamy osiem. Nie widzę, aby było potrzeba więcej...

Ach, ta mama i ten synek, zapominający o przedstawicielach władzy, którzy przecież mogli się obrazić! Na szczęcie wikary zjawił się w samą porę i naprawił całe zło; ręką Szczawika, dumnego z tego poruczenia, zostały wypisane i rozesłane zaproszenia. Już tego ranka wójt, spotkawszy młodego kapłana, ukłonił mu się bardzo zimno, a ów teraz dopiero zrozumiał przyczynę. A pisarz, spotkawszy doktora, zapytał go, czy prawdą jest, iż w jego domu rychło rozpoczną się przyjęcia, a „skoro spotka go zaszczyt otrzymania zaproszenia“, czy należy przyjść „w wieczorowym stroju“?

Niewiele brakowało, aby doktór odpowiedział mu niegrzecznie

i posłał go do kaduka. Nie umiał się jednak powstrzymać od powiedzenia mu, że ponieważ przyjęcie ma się odbyć w szopie, o dwa kroki od stajni, trzeba pod względem etykiety poradzić się ich konia Murzynka. I powrócił do domu wielce zniecierpliwiony, jakby swoboda i spokój jego domu już zostały zburzone przez wtargnięcie obcych. Tembardziej iż, nie chcąc okazać przzodownikowi karabinierów, iż w duszy doktora pozostał choćby ślad niesmaku po historji z fuzją, należało zaprosić i jego.

— A przecież — mruczał doktór — tak chętnie prosiłbym wszystkich, aby pozostali w domu, u siebie!

Ale gdy nadszedł wieczór przedstawienia, zły humor ojca, niepokój młodszych dzieci, zakłopotanie publiczności z ławek i nadęta mina niejednego gościa z pośród władz, ustąpiły, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, skoro tylko podniosła się kurtyna i rozpoczęła się baśń, zrodzona w wyobraźni Różyczki, a ułożona wierszem przez Jasia.

Osóbki o drewnianych główkach żywo poruszały się na scenie; z pod scenki różne głosy odzywały się zawsze w porę, a publiczność słuchała z taką uwagą, iż artyści mogli być w zupełności zadowoleni.

Była to stara, zawsze interesująca baśń o młodzieńcu, któremu księżniczka przyobiecała swą miłość, jeśli stanie mu odwagi do pokonania smoków i olbrzymów; młodzieniec idzie tedy przez góry i lasy, spotyka duchy i karły, które zabawiają się sprowadzaniem go z drogi, a także dobre wróżki, które mu pomagają, i złe jędze, które go prześladują, i potwora, co chciałby go pożreć, i wiele zwierząt, rozprawiających z większym rozumem od ludzi; i wszystko kończy się dobrze.

Po każdym z trzech aktów kurtyna opuszczała się wśród szumu oklasków. I za każdym razem najkomiczniejsza z kukiełek ukazywała się, kłaniając i dziękując, uderzając głową i rękami o drzewo scenki, czem pobudzała publiczność od najstarszych do najmłodszych do szalonego śmiechu.

Potem nastąpiła komiczna scena, wymyślona przez Bronka; cały korowód śmiesznych nieporozumień, sporów, wyjaśnień. Jeśli w tej bezustannej gmatwaninie żadna z kukieł nie rozbiła sobie głowy, było to wyłącznie zasługą dobrego drzewa, z jakiego były zrobione.

Dzieci na ławkach wiły się ze śmiechu; brzuch pana wójta również trząsł się radośnie.

Wieczór zakończył się oznajmieniem wikarego, iż odbędzie się drugie przedstawienie; będzie to niespodzianka, dla której uprasza się jednak o pomoc tej części audytorjum, która liczy od ośmiu do czternastu lat. Kto zamierza współpracować, niech podniesie rekę. Może nie wszyscy zrozumieli, co znaczy współpracować; ale dużo rąk uniosło się w górę — i wikary szybko zanotował chętnych i naznaczył im spotkanie na następny wieczór w plebanji. Tylko imienia jednego, który odważył się podnieść rękę, młody kapłan nie zapisał: spojrzał nań nawet wymownie, tak, iż tamten opuścił oczy.

Nie wypowiedziano ani jednego słowa, a jednak doktór widział i zrozumiał. Zrozumiał, iż Bartkowi udało się wejść tego wieczora, choć nie był zaproszony; a teraz nie powstydził się wysunąć się i skorzystać z ogólnego nastroju, by gwałtem przekroczyć zakaz. Ale to mu się nie udało, gdyż wślad za surowem spojrzeniem wikarego padło nań groźne oko doktora; więc Bartek, zmieszany i onieśmielony myślał tylko o tem, jakby się wymknąć co rychlej.

Ostatni wyszedł hrabia; wpierw pożartował z artystami i aktorami, uściskał dłoń Łukasza i ucałował rękę mamy; zdawało się przez chwilę, że chce jej coś powiedzieć, ale powstrzymał się i ujął Cisa pod ramię, prosząc, by go, jak zwykle, odprowadził do dworu.

Kto miał nadzieję, iż tego wieczora ujrzy dziewczę o przecudnym głosie, doznał rozczarowania. Ale, schodząc ze stopni dworu, Cis spotkał ją idącą w górę, z tacą w ręku i kierującą się ku pokojowi chorego. Szła powoli, choć zwinnie i jakby pochłonięta myślą, która kazała jej trzymać oczy opuszczone. Lecz gdy podeszła blisko i rzuciła na niego szczere spojrzenie, choć może trochę wyniosłe, przyczem na ustach jej pojawił się lekki, przyjazny uśmiech, Cis odszedł zadowolony; po pierwsze był rad z uśmiechu, a po drugie, że nareszcie zrozumiał.

Łukasz pragnąłby bardzo, aby niespodzianka była gotowa przed jego odjazdem; ale to było niepodobieństwo. Miał się znaleźć na

swem stanowisku w pierwszym tygodniu nowego roku i nie chciał, aby mama starała się uzyskać przedłużenie jego wakacyj.

— Przyrzekłem, — mówił młodzieniec — a tam czeka na mnie ich dwoje: ciocia Julcia, aby nie zostać samą po odjezdzie wuja Wirgiljusza i on sam, aby mi dać przed odjazdem wszystkie potrzebne wskazówki. Muszę jechać.

W tym krótkim czasie Łukasz zmienił się bardzo; jego spojrzenie stało się bardziej stanowcze, a obejście, lubo zawsze bardzo wytworne, mniej wyszukanem. Teraz był to człowiek myśli i woli. Po jego odjeździe mama i Kalina, z któremi chciał we trójkę spędzić ostatnią godzinę swych wakacyj, spojrzały na siebie i nie potrzebowały słów, aby się zrozumieć.

Obie były rade i dumne; a były takiemi bardziej jeszcze, gdy wieczorem ojciec, mówiąc o Łukaszu, w dwu słowach zawarł swą pochwałę:

— To człowiek zacny i pełen honoru.

Ojciec powracał z pałacu i przyrzekł zajść tam znowu zrana. Chory przechodził okrutny kryzys. Zakonnica czuwała przy nim po całych nocach, a młoda dziewczyna przebywała u jego wezgłowia prawie przez cały dzień. Hrabia dość rzadko ukazywał się w pokoju chorego; lecz wówczas dziewczę oddalało się bezzwłocznie.

Nigdy nic więcej ponad lekki ukłon ze strony hrabiego; nigdy nic ponad lekkie pochylenie głowy ze strony dziewczęcia.

— A właśnie — mówił doktór tego wieczora do mamy i Kaliny, gdyż reszta już spała — właśnie w chwili wymiany tego zimnego ukłonu, wzajemne ich podobieństwo uderza najsilniej; te same oczy duże, jasne, wyniosłe; ten sam zarys ust...

— Więc ona wie? — pytała mama.

— Że jest córką hrabiego Maurycego i wnuczką starego? Tak.

— A co wie o swojej matce?

— To, co jej mówiły zakonnice. Może ją uważa za umarłą.

— A czy nie jest nią? — spytała Kalina.

— Nie — uciekła. A może i to można jej wybaczyć, ponieważ hrabia Maurycy, niestały w swych uczuciach, jak i w swych przyzwy-

czajeniach, nie wahał się pozostawiać jej samą przez całe miesiące. Ale tego jej wybaczyć nie można, że pozostawiła trzyletnie dziecko na opiece sług i nie dała już znaku życia...

— A teraz? — spytała znowu Kalina.

— Teraz, hrabia, który nigdy nie zgadzał się na to małżeństwo i nigdy nie chciał uznać synowej, wolałby dalej nie znać wnuczki, godząc się na dalsze przebywanie jej u sióstr dominikanek. Ale przeorysza, kobieta zacna i energiczna, wejrzała w tę sprawę. Dziewczyna nie chciała dłużej pozostawać w klasztorze, chciała zobaczyć ojca, pielęgnować go, chciała, by ją uważano za córkę i wnuczkę, nie zaś za obcą; a ponieważ hrabia żądał zakonnicy do pielęgnowania chorego, zakonnica została przysłana pod warunkiem, iż hrabianka Marja będzie jej towarzyszyła. Hrabia musiał ustąpić. Teraz stają naprzeciw siebie dwie wole; jednako silne. Która zwycięży?

— O, napewno młoda — rzekła mama. — Biedne dziecko, jakże musi cierpieć.

— Jest godna podziwu. Nic jej nie odbiera odwagi; ani nieprzyjazna obojętność dziadka, ani szał chorego i jego wstrętne miny. Boć trzeba powiedzieć i to: chory jej nie poznaje; nie wie, kim jest i szaleje wobec niej może więcej jeszcze, niż wobec innych. Jedyna rzecz jednak go uspakaja; gdy zdaleka słyszy ją śpiewającą. Ale hrabianka śpiewa tylko, gdy zakonnica ją o to prosi i gdy sądzi, że dziadek nie może jej słyszeć... I nie wie, iż dziadek, niekiedy podchodzi cichutko, by słyszeć ją, sam nie będąc widzianym.

Kalina przytuliła się do matki i ojca z nagłym dreszczem litości dla tych trojga bogaczy, co samotni i zrozpaczeni żyli w wielkim dworze, pełnym rzeczy pięknych i drogocennych.

— Posiadać tyle i nie umieć używać szczęścia — szepnęła.

— Nie posiadają żadnego szczęścia, moje dziecko — odparła mama. — Tam, gdzie więcej jest dumy, niż miłości, gdzie niema zdrowia, ani chęci do pracy, jakież tam może być szczęście?

Niespodzianka udała się w całem tego słowa znaczeniu. Współpracownicy potrafili dochować tajemnicy. Nikt z zaproszonych nie mógł

odgadnąć, co kryło się za dwiema zasłonami, które, przeciągnięte od teatrzyku do ścian, ukrywały przed oczyma publiczności głąb obszernej izby; ani też, co mogły oznaczać estrada, ustawiona przed samym teatrzykiem i stół, stojący na podjum.

Gdy skończyło się przedstawienie kukiełek, właśnie w chwili, gdy wszyscy podnieśli się, gawędząc i napełnili szopę gwarem, trzy donośne uderzenia warząchwią w dno dużego miedzianego kociołka, przywołały wszystkich na swoje miejsca.

Z pod teatrzyku wyskoczył na podjum rodzaj kucharza, pociesznego, z ogromnym, nadętym brzuchem, ledwie wciśniętym w obszerną, białą kurtkę; czarne, cienkie nogi; czapka śnieżnobiała, płaska — ach, jaka płaska! trzy razy szersza niż potrzeba; — a w rękach ogromny kociołek, w który walił wciąż warząchwią.

Gdy ucieszny kucharz uznał za stosowne zaprzestać swej okropnej muzyki, rzucił okiem na publiczność i czekał aż wszystko się uspokoi, poczem znowu podniósł warząchew, znowu uderzył trzy razy i rozpoczął głośno:

— Kuchnia dla słabych żołądków. Jadłospis dzisiejszego wieczoru. Zupa szczawikowa, kluski makowe, kompot z mięty i dobre wino. Naprzód, kto ma apetyt.

Bronek z taką werwą odegrał swą wesołą rolę i zawiadomienie o tej smacznej kolacji było tak zabawne, iż wesołość publiczności zdawała się nie mieć granic. Ogólny śmiech rozlegał się tak donośnie i był tak zaraźliwy, że nawet, kucharz na swem wzniesieniu i aktorzy za kulisami, pomimo wysiłków, by pozostać niemymi i niedostrzeżonymi nie umieli nad sobą zapanować; dało się słyszeć parskanie i skomlenie, i jęczenie; jednem słowem wszystkie przytłumione, a jednak gwałtowne dźwięki, pochodzące zazwyczaj od powstrzymywanego śmiechu.

Gdy spokój został nieco przywrócony, uchyliła się jedna z zasłon i wyszedł z niej worek. Piękny worek z białego płótna, o dwóch nogach i dwóch ramionach; ale bez głowy; przynajmniej głowa nie była widoczna. Chyba tylko patrząc usilnie w górę, tam gdzie worek był związany, można było zobaczyć dwa otwory, przez które błyszczała para żywych oczu. Na przodzie worka było wypisane wielkiemi literami: Żyto.

Więc Zyto postąpiło na przód sceny, pozdrowiło ukłonem wpierw kucharza a potem publiczność i, zwrócone do ostatniej, poczęło mówić:

Przychodzę tutaj bez zaproszenia,
Ale to wam przecież nie zawadzi.
Tam, gdzie ludzie jest apetyt,
Znają mię i są mi radzi.

Dalej mówił o chlebie, który ludzie wypiekają z żyta i który zarówno na stole bogacza, jak i biedaka jest pożądanem pożywieniem. Mówił, iż ziarno żyta, znane już na cztery tysiące lat przed Chrystusem, jest przyjacielem wszystkich i wszystkim smakuje jednakowo.

— Brawo! — wołał stary hrabia, który bawił się doskonale; on pierwszy też począł bić oklaski.

Worek zrobił obrót, pokłonił się, dziękując na prawo i na lewo i zniknął za zasłoną; tymczasem z poza drugiej zasłony wytoczyła się beczułka, poruszająca się zabawnie na dwóch nóżkach, które w porównaniu z taką okrągłością wydawały się cieniusieńkiemi. Rąk nie było widać; natomiast wychylała się głowa — a była to głowa Szczawika — przyodziana w kaptur ze słomy, zdjęty z dużej flaszki.

Nie mogę się pokłonić,
Ni pochylić tu i tam,
Bo przecież, jak wiadomo wam
Wino się wylewa.

Dalej wychwalał przymioty wina, które, pite w miarę daje radość życia i pokrzepienie, osobliwie ludziom starszym, ale biada temu, kto do kieliszka zagląda zbyt często.

Trudno powiedzieć, aby oba te utwory były poezją. Ale wykształcona część publiczności nie mogła być wymagająca; druga zaś chciała się tylko zabawić, nie zastanawiając się nad wartością poety i aktorów. Być może, iż utwory lepsze mniejby ją bawiły.

Szczawik znikł ze sceny, podskakując, oklaskiwany gorąco, a tymczasem wytoczyła się na podjum ogromna głowa kapusty w zielonym płaszczu i zaprezentowała się publiczności, powoli i z godnością kłaniając się wszystkim dookoła.

Głowa kapusty kołysała się do taktu, to potwierdzająco, to przecząco, podczas gdy z pod płaszcza wesoły głos, w którym wszyscy poznali młodego kapelana, księdza Pawła, wychwalał przymioty i usprawiedliwiał niedostatki tej rośliny, jakoteż kalafioru, czerwonej kapusty, sałaty, brukselki i t. d.

Dawszy jasne, dokładne i zajmujące wyjaśnienie o właściwościach tych roślin krzyżowych, wesoły głos powiedział na zakończenie, aby nikt nie próbował przeczyć, wysuwać zastrzeżeń, a tem mniej ubliżać kapuście, aby raczej podziwiali bohaterstwo tej głowy kapusty, gotowej dla dobra wieczerzy paść pod toporem kata.

To rzekłszy, ogromna głowa kapusty oderwała się i potoczyła na stół kucharza, który, pochwyciwszy szybko za nóż, jął ją siekać, podczas gdy płaszcz znikł za zasłoną.

Tymczasem z poza zasłony wyszły trzy wdzięczne postacie i ustawiły się dokoła kucharza: Marchewka, w żółtym płaszczu, z zielonym czepeczkiem na głowie, Cebula, ubrana w trzy, czy cztery suknie z welinowego papieru, w odcieniach od białego do lila, i Pomidor, odziany w czerwony płaszcz z naszyjnikiem prawdziwych pomidorków na szyi.

Skoro każde z nich opowiedziało swe dzieje, wszyscy ujęli się za ręce i utworzyli koło, a kucharz donośnie walił swą warząchwią w kocioł.

Posłuszni na to wezwanie, pojawili się worek z żytem i beczułka wina, ciągnąc za sobą nieśmiałe i opierające się inne worki: worek kartofli, worek z makiem, którym był właśnie Mak, worek grochu i worek ryżu.

Ci czterej mieli odegrać swe role, jak i inni; ale ogarnęła ich taka nieśmiałość, iż niepodobna było dosłyszeć ich głosów.

Z tej przyczyny kucharz, w obawie, że entuzjazm publiczności ulotni się podczas tego bezcelowego oczekiwania, odłożył swą warząchew i zagrał na harmonijce, którą miał w ukryciu; rozległy się wesołe, taneczne dźwięki.

Więc wszystkie worki, płaszcze i tuniki puściły się w tan, prawdziwie komiczny; wreszcie, zachęceni przez publiczność dorosłą, w tańcu

tym wzięli udział wszyscy mali widzowie i powstał stąd harmider i wesołość, jakie łatwiej sobie wyobrazić, niż opisać.

To wszystko nic! — stwierdził wesoło ksiądz Paweł, przyjmując powinszowania hrabiego. — Zobaczy pan hrabia, jaki konkurs urządzimy wśród roślin włóknistych. Zobaczy pan pochód drzew! I pochód miast, z których każde będzie sławiło swą chwałę i swe osobliwości! Zobaczy pan, jak każde opowie dzieje swej sztuki, lub rzemiosła, lub swego produktu, albo wynalazku! Zobaczy pan, jak będziemy tu opowiadać o dzieciństwie wielkich ludzi.... Mam w głowie całą górę pomysłów! — zakończył zacny młodzieniec, który nie uważał dla siebie za uchybienie odegrać rolę głowy kapusty.

— Ale jak ksiądz potrafił ich tak dobrze nauczyć ról?

— Ja? Wcale ich nie uczyłem. Sami wysilili swój dowcip; prosili o pomoc nauczycielki i dopytywali się Cisa; przeglądali różne podręczniki rolnicze. Wiedzieli, iż powinni się przygotować. Inaczej, odebrałbym im rolę. I wierz mi pan, gdyby te cztery duże dzieciaki wraz z Makiem nie zawstydziły się w ostatniej chwili, posłyszałbyś pan rzeczy ciekawe! Umiałyby opowiedzieć wszystko, od powstania rośliny, aż do obecnego stanu jej hodowli, aż do zysków, jakie przynosi, i do jej wartości odżywczej! I wie pan? rzeczy, których nauczyły się w ten sposób, nie zapomną już nigdy. Wierz mi, hrabio, miłość do ziemi, ta miłość błogosławiona i konieczna ma swój początek w zrozumieniu, ile cierpliwości, ile starań, prób i niepowodzeń w ciągu dziesiątków i dziesiątków wieków kosztowała uczonych i rolników każda, najbardziej dziś znana i skromna roślina, zanim stała się tem, czem jest dzisiaj.

ROZDZIAŁ XXIX.

W którym mówi się o śniegu i Alpach; o domu i Ojczyźnie, a także o tem, jak piękną i chwalebną, lub też brzydką i upokarzającą może być śmierć.

Przybyły jednocześnie dwie rzeczy: śnieg i ciocia Julcia; i wydały się one jak rodzeństwo: oboje — źródło radości dla dzieci. Owego poranka, gdy ciocia stanęła przed drzwiami domu, ubrana w biały płaszcz, z twarzą ukrytą do połowy pod czapeczką z śnieżno białej wełny (nikt nie wiedział, że przyjedzie i nikt nie słyszał jej nadejścia), dzieci powitały ją zarówno jak i śnieg, który wtedy zaczął padać, jednym, wielkim okrzykiem radości; a Szczawik wrzeszczał na całe gardło:

— Oto są! Oto są!

Weszła bardzo poważna; ale jej oczy śmiały się, jak zawsze.

Mama chciałaby wejść ją powitać; ale mając jedno maleństwo na ręku, gdy drugie krzyczało w kołysce, by je stamtąd wyjęto, otoczona przez Maniusię i Topolkę, które z radości poczęły tańczyć dookoła niej, musiała się tego wyrzec.

Ciocia Julcia ze swej strony musiała przez kika minut zaniechać pójścia na górę, była bowiem osaczona w przedpokoju przez dzieci, które ją ściskały, całowały i, prześcigając się w uprzejmości, wyrywały sobie z ręki jej walizkę, którą każdy chciał wnieść na górę. Gdy wreszcie poczęli wstępować po schodach, nie przesadzę, gdy powiem, że kochana, mała cioteczka wcale nie dotknęła stopni; gdyż Bronek i Mak ujęli ją silnie pod ręce, a wszyscy inni, idąc przed nią i za nią, w porywie swego zapału popychali ją i prawie ciągnęli.

Więc obie siostry musiały poczekać z zamianą słów powitania i podzielenia się wiadomościami i myślami, aż ten zapał nieco ostygnie, lub znajdzie sobie inne ujście.

Krzyczące bliźnię umilkło wreszcie na kolanach Różyczki, która tak dobrze umiała uspakajać maleństwa; drugie spało już na ręku matki. Dwie dziewczynki, uszczęśliwione, że ciocia Julcia obrała sobie

niskie krzesełko przed ogniem, przytuliły się do niej i nie pisnęły więcej.

Kalina, przewidując zlecenie mamy, zeszła do kuchni, potem do śpiżarni, a teraz przygotowywała pokój gościnny. Co się tyczy chłopców, ci zbiegli w podskokach ze schodów, a teraz dobiegały na górę ich wesołe, podniecone głosy oraz krzyki przy wyciąganiu sanek z pod dachu; chcieli je bowiem doprowadzić do zupełnego porządku.

Byli tam wszyscy, prócz Jasia, oczywiście, którego radość ponownego zobaczenia się z ciocią Julcią — jak każde wzruszenie — zwaliła nieco z nóg i który pozostał na uboczu w pokoju mamy, wahając się pomiędzy dyskrecją, nakazującą mu oddalić się, a słabością nóg, nakazującą mu usiąść.

Niewątpliwie twarz jego bezwiednie tak jasno wypowiadała stan jego duszy, iż nie trudno było obu paniom zrozumieć go i porozumieć się z sobą; więc, spojrzawszy na siebie z uśmiechem, obie poczęły go prosić, by przybliżył się do kominka i zasiadł na fotelu dziadka.

Tak pozostali, rozmawiając spokojnie, aż ojciec powrócił z porannych wizyt, a Cis z folwarku.

Potem hałaśliwa część rodziny przy obiedzie połączyła się ze spokojniejszą. Nietrudno wyobrazić sobie urok tego długiego stołu, dokoła którego zasiadło piętnaście osób i zdrową wesołość, tryskającą z twarzy chłopaków, zarumienionych od zimna, ruchu i radości; a także szybkość, z jaką płaty polenty[1]), zaprawionej dobrym sosem z cebuli i pomidorów, znikały w tych zgłodniałych, a mimo to gadatliwych ustach.

— Już was się wcale nie spodziewaliśmy! — rzekł Cis, mówiąc zarazem o śniegu i cioci Julci, obok której siedział i której rękę, leżącą na stole, pieścił. — Ale przybyliście jeszcze w samą porę. Teraz trzeba, by śnieg padał przez dwa dni, a następnie, żeby padać przestał, zimno zaś powinno trwać dalej.

Chłopcy spoglądali ciągle przez okno.

— Jaki piękny i obfity śnieg. A spada tak lekko, jak mąka.

— I wcale nie taje! Jaki piękny!

— Dwoje sań jest gotowych. Trzecie muszę jeszcze podkuć.

[1]) Włoska potrawa z kukurydzowej mąki, znana też i lubiona przez chłopców rusińskich, którzy ją zwą mamałygą. (Przyp. tłum.).

— Widziałem księdza Pawła; był u ciężko chorego, tam na wzgórzu. Miał wojskowy płaszcz i owijacze. Zdawał się być gotów do przejażdżki w toboggan'ie.

— Czy zaprosiliście go?

— Oczywiście! I tego biedaka Franciszka! Miał taką na to ochotę! Mówi, że po wojnie i szpitalu jeszcze nie użył tej przyjemności.

— Potem trzeba będzie pozwolić mu odpocząć tutaj.

— Tak i dać im się napić gorącego wina.

— Tatusiu, i ty powinieneś jechać z nami.

— Jeśli będę mógł, bardzo chętnie. Ale dziś rano pozostawiłem hrabiego Maurycego w dość kiepskim stanie. Nie zdziwię się, jeśli śmierć nadejdzie rychło...

— Nieszczęsny!

— Jednak bardziej nieszczęsni od niego, co obecnie niewiele rozumią, a może i niewiele cierpią, są jego stary ojciec i jego młodziutka córka. Nie mają nawet tej pociechy, by mogli wspólnie płakać.

— Więc hrabia jest niezłomny?

Ojciec zaśmiał się gorzko.

— Hrabia nie rozumie, co to nagiąć się. Zobaczycie, iż po śmierci hrabiego Maurycego stary odeśle wnuczkę do klasztoru.

— Nie ma prawa.

— Ma prawo, aż panienka dojdzie do pełnoletności.

— Ale jeśli biedactwo pragnie pozostać w domu, w rodzinie?

— Ona jest jeszcze dumniejsza od niego i niczego nie żąda, ani nie zażąda. Ale bolesne jest patrzeć na nią. Wczoraj dopytywała się o każde z was. Chciałaby zobaczyć bliźnięta.

— Powiedz jej, aby przyszła do nas! — zawołała mama, przejęta współczuciem. — Będę rada, gdy będę mogła zatrzymać ją trochę u nas z dziewczętami...

— Nie przyjdzie. Jest tutaj jedynie, by pielęgnować ojca i tylko z tej przyczyny pozwolono jej opuścić klasztor.

— Ależ, Boże mój, czyż to jej wina, że jej matka źle postąpiła?

— Nikt nie jest winien, że miał złych rodziców, a jednak pokutuje się zawsze za ich grzechy.

— Ile czasu potrzeba, aby śnieg spadł dość wysoki i stwardniał dostatecznie? — zapytała w tej chwili ciocia Julcią.

— To zależy, jak silnie pada i czy tej nocy będzie dość zimno. Jeśli będzie padało w ten sposób przez 24 godziny, a w nocy przyjdzie przymrozek, sanna będzie cudowna.

— Dobrze: więc mam przynajmniej 24 godzin do dyspozycji?

— Masz ich więcej — poprawił ojciec, boć to dzisiaj dopiero czwartek; a sądzę, iż przed niedzielą uczniowie nie będą mogli zająć się sanną. Co o tem mówicie?

Co prawda nikt nic nie powiedział; ale niejedna wesoła twarzyczka nagle się zachmurzyła.

— A cóżeście myśleli? — spytała ciocia Julcia, napoły ze zdumieniem, a napoły surowo: — Ze będziecie się bawili, zanim ukończycie swą pracę? Że zrobicie sobie wakacje przed czasem? Prawda, że nie? Tem lepiej. Przykroby mi było, gdybym musiała źle o was myśleć. Umawiam się z wami na niedzielę rano, zaraz po pierwszej mszy. Dobrze? Teraz, Cisku, jeśli możesz, odprowadź mię do dworu.

— Patrz, ciociu Julciu, właśnie teraz zrobiła się zawierucha.

— Zawierucha! Tem lepiej. Zależy mi na tem, aby przyjść tam nieoczekiwana: jak zawierucha!

To mówiąc, żwawa kobietka otuliła się doskonale, ujęła Cisa pod ramię i zniknęła z nim w gęstej śnieżycy.

Miękki dywan, pokrywający podłogę obszernego gabinetu, tłumił zupełnie lekkie kroki małej kobietki; ledwie dosłyszalny głos starego służącego, który, unosząc portjery, zameldował przybyłą, nie wystarczyły również, by wyrwać hrabiego z jego głębokiej zadumy.

Siedział pochylony nad rozpalonym ogniem, słabo oświetlającym pokój; ciężkie, aksamitne portjery nie wpuszczały tu światła śniegu, bielejącego na dworze.

Mogła więc podejść do hrabiego niedostrzeżona i, dopiero, gdy stanęła przed nim, podniósł głowę... i zdumiał się.

Lecz zdumiał się tylko zlekka, albowiem drobna ta istotka już

od dłuższego czasu zajęła wybrane miejsce w duszy hrabiego, tak mało skłonnej do przyjaźni.

Blask uśmiechu rozjaśnił piękną, poważną twarz tego arystokraty, który, powstawszy i skłoniwszy się głęboko, prosił, aby zajęła miejsce obok niego, i nie ukrywając swego zdziwienia, pytał, jakiemu pomyślnemu wiatrowi zawdzięcza tak miłe odwiedziny.

— Wiatrowi, co przyniósł śnieg — odparła krótko.

Uśmiech na ustach starego pana stał się wyraźniejszy i szczerszy. Zbudziło się w nim upodobanie do żarcików.

— Że wiatr przyniósł śnieg, widzę — odparł, — ale nie wiedziałem, że ze śniegiem...

— Przychodzi też burza, prawda? A jednak to się zdarza, zdarza się niekiedy nawet w zimie. Śnieg i grad jednocześnie; niekiedy nawet i grzmoty.

— Ach! ach! I to zdarzyło się właśnie teraz? — pytał hrabia, żartując dalej.

— Tak się zdaje — odcięła się zimno.

— W takim razie, ponieważ nad pałacem nie umieściłem jeszcze piorunochronów...

— Które zresztą nie zdałyby się na nic...

Coraz bardziej zdziwiony, a teraz już lekko zaniepokojony, hrabia wyprostował się na te słowa, jak ktoś, co nadstawia ucha. Potem, jakby chcąc zrozumieć lepiej:

— Nie zdałyby się na nic, — powtórzył jak echo. — Więc nie pozostaje mi nic innego, jak poddać się burzy. Czy tak? Czy to znaczy, że tam-tam przyszedł mię spiorunować?

— To znaczy, że przyszłam powiedzieć panu coś ważnego... Nie, powiedziałabym raczej, iż przyszłam posłuchać tego, co pan hrabia ma mi do powiedzenia.

— Nie rozumiem. Zdaje mi się, iż prócz wyrażenia wielkiej radości, że panią widzę u siebie, nie mam jej nic do powiedzenia.

— Jeśli pan jest tego całkiem pewny, mogę sobie odejść. Ale...

— Odejść? A więc pocoby pani przyszła? A piorun?

— Niekiedy jedno spojrzenie wystarczy, by spiorunować.

— Zatem... tego spojrzenia winienem się obawiać?

— Obawiać się? Nie wiem. Spodziewać się, tak.

— Więc dobrze — zgodził się hrabia, pocierając nerwowo jedną rękę o drugą. — Zrozumiałem. I nie chcę udawać, że nie zrozumiałem. Już w głosie doktora szłyszałem nieraz naganę. A teraz mamy piorun. Oto ktoś nie wołany, lubo zawsze miły przychodzi do mego domu. Ale nie przychodzi jako przyjaciel, nie sprowadza go przywiązanie do starego samotnika; nie. Przychodzi kontrolować jego uczucia, a może i przyganić jego postępkom...

Mówił powoli, zimno, szydersko. Kobietka milczała.

— Zbadać duszę jego aż do dna, może wynaleźć źródło jego udręki...

Kobietka milczała; za każdym razem, gdy hrabia przestawał mówić, ciężkie milczenie zalegało piękną komnatę, pełną cichego smutku.

— A może także, aby pocichu wytoczyć mu sprawę... Pozostaje mi jeszcze, dowiedzieć się, jakiem prawem; boć na żywego Boga! w moim własnym domu — zawołał hrabia, nagle podnosząc twarz i głos — sądzę, iż panem byłem zawsze ja.

Jakby nie widząc wściekłości i bólu, jakie malowały się na twarzy starego pana, ciocia Julcia wyciągnęła rękę i położyła ją lekko na jego dłoniach, skrzyżowanych w geście, pełnym udręki. Milczała ciągle.

Ale w ruchu tym tyle było słodyczy i współczucia, iż wystarczyło, aby czoło hrabiego na chwilę spoczęło na tej małej rączce, jakby w niej szukając spokoju.

— Całe szczęście — zauważyła kobietka z błyskiem swej figlarnej wesołości w oczach — całe szczęście, iż dotąd nic jeszcze nie powiedziałam.

— Pocóż mówić? odparł tamten, już udobruchany, patrząc na nią z smutnym uśmiechem. — Jakgdybyśmy nie byli przyjaciółmi od tak dawna! Jakgdybym nie odgadł słowa za słowem wszystkiego, co pani chciałaby mi powiedzieć?

— Zdaje mi się, że trudno jest odgadnąć, co inni chcą nam powiedzieć, jeśli nie powiedzieliśmy sobie tego już sami.

— A najtrudniej jest — odciął gwałtownie — istocie tak prostodusznej i czystej, tak nieświadomej całej ludzkiej sromoty, jak pani, odgadnąć, co człowiek taki, jak ja, może myśleć, cierpieć i postanowić

wobec całego okrutnego łańcucha nieszczęść. Pozostawmy to, mój zacny tam-tamie, — dodał hrabia, zmieniając nagle ton i wyciągając rękę do dzwonka. — Pocóż psuć tak rzadką radość tych odwiedzin? Teraz Wawrzyniec przygotuje nam dobra filiżankę herbaty i pogawędzimy. Jak się ma profesor? Kiedy przyjedzie do naszego sadu? A jak idzie praca Łukaszowi?

Ale ciocia Julcia nie odpowiedziała. Herbata została przygotowana i wypita w zupełnem milczeniu. Tak dalece, iż Wawrzyniec, wyszedłszy z tacą, mruknął do siebie:

— Niema scena.

— Więc pani wypowiada mi wojnę? — spróbował wreszcie zażartować hrabia, widząc, iż kobietka wciąż milcząca, zamierza się oddalić.

— Wojnę? Nie. Ale nasza przyjaźń się skończyła — odparła surowo i smutnie.

W porywie podrażnionej dumy zerwał się na równe nogi i odciął zimno i wyniośle:

— Niech będzie, jak pani sobie życzy.

Lecz gdy ciocia Julcia znalazła się przy drzwiach — dokąd ją ceremonjalnie odprowadził — wyciągnął do niej rękę błagalnie i rzekł bolejącym głosem:

— Zatem ani jednego dobrego słowa?

— Gdzie jest? — spytała ciocia Julcia, jakby nie widząc tej wyciągniętej dłoni.

— Kto?

— To biedne dziewczę.

Przez twarz starca przebiegł skurcz bólu, zanim zdołał odpowiedzieć raczej gestem, niż głosem:

— Tam, u chorego.

— Dobrze. Jest na swojem miejscu. Ale gdy przestanie cierpieć ten nieszczęsny, któremu niechaj Bóg wybaczy i przyjmie go rychło na swoje łono, i gdy stary ojciec pozostanie, jak tego pragnie, sam ze swoim bólem, czy biedna ta istota ma dalej ponosić swą karę?

— Ja nie karzę nikogo. Bronię swego spokoju, bo przecież cierpiałem już tyle. Nie mogę, n i e c h c ę przyjąć do swego domu owocu związku pomiędzy rozpustnikiem i nieszczęsną, na który ja

nigdy nie chciałem zezwolić, którego nigdy nie uznawałem! I sądzę, że mam do tego prawo. I nie widzę, zaiste, kto śmiałby stać się sędzią mojego sumienia!

— Ja też nie widzę, panie hrabio... Na ziemi nikt tego uczynić nie może. Jedynie nasze własne sumienie, niepytane niekiedy samo wydaje wyrok. A wtedy nazywa się to wyrzutem sumienia. Ale nie mówmy już o tem. I jeśli moja szczerość niezbyt pana dotknęła...

— Nie, mój dobry tam-tamie. Jakże obrazić się na panią? Nie sądzę, aby to było możliwe. Nietylko to, ale gdybym poza tem, co dla mnie jest niepodobieństwem, mógł zrobić cośkolwiek, by odzyskać przyjaźń pani...

— Tak, jedną rzecz może pan zrobić! Ale poproszę o to w swoim czasie... być może, iż pan to zrobi bez mojej prośby — rzekła na zakończenie zacna kobieta, zanim zniknęła za portjerą, którą Wawrzyniec trzymał uniesioną w górę.

— Ciociu Julcu, doskonała pogoda do sanny! Śnieg jest twardy. Słońce blade, bez promieni, silny mróz...

— Jabym się nawet zadowoliła mniejszym—zauważyła skromnie, gdy Cis, stojąc na dworze, określał jej stan nieba i ziemi.

— Jakże? A w jaki sposób byśmy się zabawili? Ciociu, ubierz się prędko! Jesteśmy tak radzi, że mamy cię w swojem gronie. Ksiądz Paweł przyrzekł mi, że odprawi mszę z wojskową szybkością.

— A więc, tem lepiej.

— Slicznie! Piękna mi pobożność!

— Ależ nie! To nie tyczyło się mszy. Idźcie sobie! Nie bałamućcie mię waszem gadaniem. Zaraz przyjdę.

Potem, przy wyjściu z kościoła, kobiety, które były na prymarji, zatrzymały się zaciekawione, by przyjrzeć się wesołej kompanji. Okryci kapturami, płaszczami, szalami, z owijaczami na nogach, z gwoździami w butach, wyglądali jakby się wybierali na Mont Blanc. Ten rynsztunek był również źródłem wielkiej wesołości.

Jasio i Franciszek, żartujący, że mają razem trzy nogi, czekali

na księdza Pawła, by ze względu na jego słabe płuca wraz z nim powoli wejść na górę. Ale ciocię Julcię poprosili, by pobiegła razem z dziećmi.

— A jak to zrobię?

— Tak — objaśnił Cis, wsuwając swe silne ramię pod jej ramię, podczas, gdy Buk uczynił szybko to samo z drugiej strony. Tak uniesiona z ziemi, nie umiała potem dokładnie powiedzieć, w jaki sposób znalazła się na grzbiecie pagórka, zanim tam przybyli inni, którzy wprzągnięci po kilku do sań, wlekli je w górę, przemarzli i szczęśliwi.

— I zadają sobie tyle trudu, aby wciągnąć je na górę, a potem znowu zjechać w dół!

— Cóż chcesz, malutka cioteczko? Taki jest świat: człowiek wspina się w górę, aby zejść, schodzi, poto, aby znowu wspinać się w górę.... A ksiądz Józef powiedziałby nato: Dobrze, dobrze.

— Dlaczego Kalina nie chciała przyjść? — spytała Różyczka z żalem.

— Lepiej zrobiła, że pozostała z mamą.

Teraz wszyscy szli rzeźko po grzbiecie pagórka, ciągnąc sanki za sobą. Oto nareszcie doszli do upragnionego celu: długa i szeroka spadzistość, pozbawiona drzew, łagodna, zachęcająca, gdzie śnieg, nietknięty i niepokalany rozpościerał się niby duży, śnieżnobiały obrus. W głębi parowu, stuletnie jodły zdawały się być dumne, iż dźwigają na swych gałęziach biały ciężar.

Nieco dalej, w głębi ukazywał się pałac hrabiego z szarego kamienia i jakby zasnuty lekką mgłą; tylko dwie szyby świeciły czerwonem światłem; zapewne w pokoju chorego, gdzie jeszcze paliły się lampy; noc bowiem nie przynosiła mu już ni snu, ni spoczynku.

Z wielkim hałasem, z wieloma sporami, szybko zlikwidowanemi przy energicznem napomnieniu Cisa, chłopcy wedle jego wskazówek usadowili się tak, aby silniejsi zajęli miejsca odpowiedzialne.

— A Jasio? a Franciszek? a ksiądz Paweł? — spytała ciocia. — Czy nie poczekacie na nich?

— Nie, najpierw zjedziemy sami. Znajdziemy ich niżej.

— Litości! Więc niemasz tu z nami ani jednej roztropniejszej osoby! O, ja biedna!

— Cociu Julcu, nie obrażaj nas, — odciął się Cis ze śmiechem. — I siądź sobie tutaj. Czy okryłaś się dobrze? Siedzisz mocno? Dobrze; czy wszyscy gotowi? Tak? Uwaga! Pierwszy zjeżdżam ja. Raz, dwa, trzy! Naprzód!

W odpowiedzi rozległo się wesołe hurra! i lekkie saneczki pomknęły szybko, coraz szybciej po łagodnym spadku. Ten pył śnieżny! Co za radość w tem czystem ostrem powietrzu! A co za szalone wyścigi urządał Rex, to wyprzedzając ich, to pędząc za nimi, tarzając się w śniegu, to znów biegnąc w wielkich podskokach, wciąż przytem szczekając radośnie! I z jakim okrzykiem triumfu powitali się nawzajem na dole, gdy wszyscy, cali i zdrowi znaleźli się u podnóża wzgórka, gdzie trzej spóźnieni towarzysze już na nich czekali.

Wtedy to w jednem z oświetlonych okien ktoś ukazał się za szybą. Drobna, biała postać przyglądała im się uważnie i jakby nie mogła się oderwać od tego widoku.

Dostrzegła ją ciocia Julcia i wskazała dyskretnie Różyczce.

— Biedaczka! — rzekła ta. — Kto wie, jak chętnie zabawiłaby się z nami.

— Być może, iż narazie bardziej niż się zabawić pragnęłaby wypocząć, wyspać się — rzekł ksiądz Paweł, bardzo powoli i zygzakiem wspinając się wraz z nimi wgórę, podczas gdy chłopcy szli prawie stromą ścieżką, ciągnąc za sobą saneczki.

— Wczoraj wieczorem doktór był bardzo zafrasowany — rzekła ciocia; a dziś rano nie mógł pójść z nami.

— Brzydka to śmierć! — zawołał Franciszek.

— Zdaje mi się, że śmierć zawsze jest brzydka — zauważyła Różyczka.

— Nie, moja panienko — odparł ksiądz Paweł. Widziałem, istotnie, dużo śmierci strasznych i okrutnych: ciała rozszarpane, twarze tak umęczone, iż przestały być podobne do ludzkich twarzy, rzeczy to okropne. Ale widziałem także śmierci uroczyście, niezapomnianie piękne. I właśnie dzisiaj, przy całej tej białości myślę o nich dużo; prawda, Franciszku?

Kaleka skinął głową potwierdzająco i szedł wgórę powoli, rytmicznie uderzając swą drewnianą nogą o stwardniały śnieg.

— Gdy się widziało — mówił dalej kapelan — padających w obliczu niewidzialnego nieprzyjaciela, rażonych w piersi młodzieńców, co byli obrazem zdrowia, siły, a których umierające twarze przybierały jednak imponujący wyraz pogody i wzruszającego spokoju, człowiek staje w zadumie wobec tej tajemnicy. Niekiedy zdawali się być dziećmi, które usypiały pod macierzyńskim pocałunkiem.

— Ja mówię — rzekł powoli Franciszek — iż aby rzecz pojąć, trzeba ją poznać samemu. Zanim ktoś nie zajrzał śmierci w oczy, nie może dobrze wiedzieć, czem ona jest.

— Z pewnością, ciągnął dalej ksiądz Paweł — w ich twarzach był spokój tych, co spełnili swe zadanie; nietylko to, ale i zadowolenie człowieka, który nareszcie pojął, dlaczego należało tak postąpić.

— Dlaczego? — komentował Franciszek. — To prawda. Ileż to razy ja sam łamałem sobie głowę nad odgadnięciem tego, dlaczego tyle krwi, tyle nienawiści, tyle grozy?... A potem, gdy w szpitalu odjęto mi nogę i miałem dużo czasu rozmyślać, zrozumiałem to dlaczego. Ale nie umiałbym tego objaśnić.

— Być może, iż są to horyzonty zbyt rozległe, obejmujące więcej, niż nasza własna dusza może pomieścić — zauważyła ciocia Julcia.

— Tak — podjął znowu ksiądz Paweł — być może, iż tak jest. To jest, jak miłość ojczyzny. Aby objaśnić to uczucie komuś, kto go nie nosi w sercu, należałoby powiedzieć mu: — Spróbuj zsumować twoje przywiązanie do domu rodzinnego z miłością do twoich dzieci i do twojej matki, potem pomnóż wszystko przez liczbę istot, które, zrodzone z tego samego narodu, żywią tę potrójnę miłość...

— Nie wystarczyłoby — zauważył Franciszek. — Należałoby przenieść ich tam, w Alpy, w śniegi, gdzie my broniliśmy naszych domów, naszych dzieci, naszych matek....

— Na tem właśnie polega różnica pomiędzy śmiercią walecznych, będącą niekiedy bardziej czynem, niż niejedno życie i owocniejszą, niż ono, a upokarzającą, nieużyteczną, sromotną śmiercią tego, kto zgnił w rozpuście i może się uważać za umarłego, zanim dokonał swego życia — zakończył ksiądz Paweł. — Ale teraz nie mówmy więcej o rzeczach smutnych, dobrze? Oto przybyliśmy.

Smiejąc się jak dzieci, dorośli użyli dwa, trzy razy upojenia saneczkowania, przyczem, chcąc go zażyć znowu, musieli z rezygnacją wspinać się wgórę. Potem, znużeni pozostawili chłopców na wzgórzu, a sami z ciocią Julcią i Różyczką skierowali się do domu doktora, gdzie Kalina miała już dla nich wpogotowiu gorące wino, które podała im w dużej, staroświeckiej kuchni, przy buchającym płomieniu ogniska.

Ale siedzieli tam niedługo. Wnet przybył zadyszany chłopiec z folwarku: szukał księdza Pawła, by go zawezwać do pałacu. Hrabia Maurycy umierał.

ROZDZIAŁ XXX.

W którym się mówi o teatrze i o monecie, jaką należy płacić za wejście.

Zakonnica i jej wychowanka odjechały natychmiast po pogrzebie i ciocia Julcia wraz z niemi. Stary hrabia, pomagając im wsiąść do zamkniętego samochodu, który miał je odwieźć do miasta, pożegnał trzy panie z doskonałą grzecznością, ale twarz jego pozostała nieprzeniknioną. Potem wszedł do przedsionka, uścisnął rękę doktora, który z Cisem pozostał, by wysłuchać jego rozkazów lub życzeń i dał im do zrozumienia, bardziej gestem, niż słowem, iż jedynem jego życzeniem było, pozostać samym.

Pałac stał zamknięty, jakgdyby był niezamieszkały.

— Gdzie przebywa, jeśli nie widać go nigdy, nawet za szybą?

— Jak spędza swój czas?

— O czem myśli?

— Czy warto być bogatym, by tak żyć?

— A ta biedna dziewczyna, odepchnięta przez jedynego krewnego wygnana z domu?

— Nie rozumiem, jak można być tak bezlitosnym....

Ojciec podniósł lekko rękę i nakazał milczenie.

— Nie sądzę — rzekł — abym dał komukolwiek z was prawo czynienia tego, czego ja sam nie czynię: sądzenia człowieka i przyjaciela, który, przynajmniej wobec nas był zawsze sprawiedliwy i wielkoduszny. Winniśmy w milczeniu szanować jego samotność, jak się

szanuje wolę zmarłego. Być może, iż pewnego dnia i dokoła niego zakwitnie zdrowe i czynne życie. Obecnie on jest jako ziemia, co wydaje się zamarłą pod lodem.

To wszystko mówił ojciec, siedząc pewnego wieczora w obszernej kuchni przy ogniu; ciepły jego płaszcz, rozciągnięty na poręczy krzesła, parował, susząc się, a on sam czekał na pantofle, po które Różyczka pobiegła na górę i na gorące wino, jakie Kalina przygotowywała mu z goździkami i cytryną.

Dzieci stały dokoła niego, przyciągane pachnącym, pięknym płomieniem żywicy i piękną postacią ojca, którego włosy, teraz już bardzo szpakowate, ale długie i gęste, błyszczały w refleksach ognia, jak srebro.

Spokojnie i wesoło minęła zima dla tej gromadki dzieci, przywykłych wyzyskiwać każdą rzecz na swoją korzyść, bądź pod względem zdrowia, bądź nauki. A teraz, gdy nieufność doktora została przezwyciężona i gdy każdego sobotniego wieczora w szopie schodziły się wszystkie grzeczne dzieci ze wsi, te prześcigały się w dobrej woli i w prawdziwych wysiłkach, by zasłużyć sobie na tę rozrywkę. Wiedziały, że wejście do sali musiało zostać opłacone monetą nie dźwięczącą, ale drogocenną, taką, która raz wydana, odnajduje się potem w kieszeni, conajmniej podwojona. Duże arkusze tej monety winny były nosić podpis pani nauczycielki i księdza proboszcza i można było na nich odczytać słowa, które są potem najlepszym wiatykiem w świecie, cobądź myślą o tem ludzie złej woli: pilność w pracy, uczciwość w słowach i czynach i chęć poprawy.

Bez takiej kartki nie było wejścia na salę. I rozumie się, że nie wszyscy i nie zawsze mogli ją uzyskać. Aliści byli i najlepsi, którzy nawet nie potrzebowali pokazywać swego biletu wejścia; sama ich twarz wystarczyła, by wykazać spokój ich sumienia. Tym synowie doktora, stojący przy drzwiach, dawali, śmiejąc się, znaki aprobaty i zabawiali się przytem, wołając głośno:

— Abonent!

Od takiego abonenta nie było już nawet potrzeby żądać drobnych, wiedział bowiem sam, iż powinien pokazać czyste ręce i paznogcie, wiedział sam, iż należy grzecznie zdjąć czapkę z głowy,

spytać o pozwolenie, zanim zajmie miejsce, następnie zasiąść spokojnie, nie trącając sąsiadów, mówić półgłosem, jak długo kurtyna jest opuszczona i zachowywać się cichutko w czasie, gdy kurtyna jest podniesiona.

Tę publiczność, wychowaną w szacunku dla samej siebie, wesoły wikary potrafił przez całą zimę obdarzać widowiskami wciąż odmiennemi i malowniczemi. Najlepszymi aktorami byli, oczywiście, Cis i Bronek; ale Jasio był nieporównany w urządzaniu sceny i wymyślaniu strojów, które on rysował, a Kalina szyła, podczas gdy Różyczka używała zawsze pomocy cierpliwego przyjaciela w układaniu wierszem swych bajek, w których stale występowały potwory i dobre wróżki. Odegrać rolę potwora, lub ryczeć za kulisami, jak lwy, wszyscy byli gotowi: zaofiarowanie zawsze przewyższało zapotrzebowanie.

Nie umiem wam powiedzieć, jak wesoło bawiły się te szczęśliwe dzieci i ile się nauczyły w te kilka zimowych miesięcy. Geografja i historja kraju ojczystego, najcharakterystyczniejsze cechy innych krajów, bieg największych rzek w Europie, dzieje najważniejszych gałęzi przemysłu, żywoty największych ludzi.... I wszystko to było bardziej przedstawione oczom, niż uszom, wszystko tak, jak w opowieściach, gdzie rzeczy, rzeki, góry, narody są uosobione i gdzie każde opowiada o swojej przeszłości, teraźniejszości i o tem, czem zamierza zostać. A najpiękniejsze było to, iż wszyscy, ucząc się, mniemali, że się tylko bawią.

W zamkniętej i ciepłej szopie, w tem schronieniu przed mrozem, co ścinał ziemię i przed tem innem zimnem, które mrozi serca i zwie się ciemnotą, kiełkowały niezliczone zarodki dobrego; tak samo, jak w łonie ziemi nasiona roślin kiełkują pod śniegiem, czekając wiosny, już niedalekiej.

Niewiele było dzieci we wsi, któreby zostały wykluczone z tych zebrań i to nietyle z własnej winy, ile z winy tych, co powinni byli nad niemi czuwać. Ale tam, gdzie ojciec sam jest niegodny, a matka niedbała, cóż może wyrosnąć z dzieci? Tam, gdzie ziemia jest nieu-

rodzajna, a wdodatku pozwala się jej zarastać chwastami, czyż może wyrosnąć zdrowo ludzka roślina?

Jednym z tych banitów był Bartek, którego nałóg do gry w karty i złe towarzystwo, jakie sobie znalazł w mieście, czyniły coraz gorszym. Drugim byl Maciek, głuptak, któremu trzeba było zabronić wejścia do sali potem, jak dwukrotnie pokazał, że nie umie się w niej zachować; dla którego wesołość polegała na wyciu, na szaleństwach, i którego niesposób było nauczyć wycierać sobie nos inaczej, jak ręką.

Ale jeśli Bartek przyjął zakaz ze śmiechem i prawie się nim chwalił, mówiąc, iż te dzieciństwa mogłyby go tylko zanudzić na śmierć, Maciek, natomiast, wziął go sobie bardzo do serca. I szał zemsty począł, jak czerw, toczyć ciemny jego mózg.

ROZDZIAŁ XXXI.

Z którego można się nauczyć, co znaczy zachować dyskrecję, ale w którym pewne dziecko i pewien pies nie umieją jej zachować.

Ostatni wieczór był jednym wielkim triumfem dla Jasia, który tyle i tak dokładnie w swych ukochanych książkach studjował o zwierzętach i roślinach, iż mógł powierzyć każdemu aktorowi (a trzeba było zapisać jeszcze dwudziestu, prócz dotychczasowych) ucieszną rolę. Na scenie ukazały się pająki i chrząszcze, ogromne i zabawne; pojawiły się piękne kwiaty i głosiły o swych własnościach leczniczych i trujących; przyszły skromne grzyby jadalne i wspaniałe grzyby trujące; przyszły w trójkę: gąsienica, oprzęd i motylek, począwszy od tych, co żyją z miąższu owocu, do tych, co zadawalają się ogryzaniem liści i opowiedziały o swej pracy i swych przejściach.

Ileż to się napracowały domowe dziewczęta i inne, co przyszły im pomagać, by sporządzić ogromne oprzędy, w które mniejsi aktorzy mogliby wsunąć się i zniknąć aż po nóżki; by uwić wielkie wieńce, któreby służyły jako nakrycia głowy dla aktorek, nadających się do odegrania ról kwiatów; by pomalować różnobarwnie ogromne skrzydła motyle i uszyć wąskie, długie, bronzowe worki z niebielonego

płótna, w które aktorzy-gąsiennice musieli się wczołgnąć — to wszystko łatwiej sobie wyobrazić, niż opowiedzieć.

Ale była to wielka radość. Albowiem, gdy skończył się pochód, gąsienice też zapragnęły się wyprostować, prując rękami i nogami, szwy swych worków. Nie można sobie wyobrazić nic komiczniejszego od tych łobuzów, opiętych w rodzaj skóry, której ogon, jeszcze zeszyty, opadał im pomiędzy nogami w takt wesołych dźwięków harmonijki Bronka, wprawiających w ruch wszystko: kwiaty, pająki, gąsiennice i motylki.

Publiczność, składająca się tego wieczora przeważnie z ojców i matek, trzęsła się od śmiechu. Ale gdy donośny głos doktora zakomenderował tym zadyszanym tancerzom: dosyć, a ci zatrzymali się bezzwłocznie, publiczność oniemiała ze zdziwienia: nie wierzyła, aby można było jednem słowem osiągnąć to natychmiastowe i zupełne posłuszeństwo.

Z uczuciem innego zgoła szacunku ojcowie i matki żegnali się z doktorem i jego małżonką, dziękując obojgu za cierpliwość, jaką okazali i przepraszając za nieporządek, jaki ich dzieci narobiły w domu...

— O, tak — odparł doktór, by przerwać podziękowania — istotnie, przewrócili nam dom do góry nogami, szczególnie dzisiejszego wieczora. Ale umówiliśmy się, prawda, dzieci? Jutro czworo z was przyjdzie tu zrobić porządek. Odtąd też, każdej niedzieli popołudniu każdy, kto zechce posłuchać, jak Jasio i Cis przeczytają wam coś ładnego, może przyjść i ma zarazem prawo pytać o to, czego nie zrozumie, oczywiście pod warunkiem, iż opłaci w zwykły sposób swój bilet wejścia. Czy dobrze mówię, księże Józefie?

Stary proboszcz w milczeniu uścisnął rękę doktora.

— Wasza najstarsza — mówiła tymczasem mama do wdowy po drwalu (po śmierci ojca powróciła do wsi i starała się tu utrzymywać, jako krawcowa) — okazała dużo zręczności, pomagając moim córkom. Cobyście powiedziały, gdybym was poprosiła, abyście przychodziły obie do mnie przez dwa dni w tygodniu szyć dla dziewcząt i mniejszych dzieci?

— Pani łaskawa, bardzobym chciała! Ale ja nie umiem szyć

dla państwa... A potem, na czyjej pieczy pozostawiłabym dwoje młodszych? Pozostałyby same w domu, bo przecież Nastek jest cały dzień w lesie i uczy się u nowego drwala.

— Co się tyczy samej roboty, to my nie jesteśmy przecież prawdziwem państwem i ubieramy się skromnie, więc sądzę, że z żurnalu da się coś zrobić. A co do dzieci...

— O dzieci zatroszczę się ja i Jasio — rzekła pośpiesznie Różyczka; — zaopiekujemy się niemi godzinę, trzy godziny, a nawet pięć.

— Różyczko, ależ ja chcę, abyś ty się nauczyła szyć — oświadczyła mama. — Przecież Kalina nie może sama szyć wszystkiego!

— A kto mówi, że ja nie chcę pomagać? Ale to wszystko, co mi każecie robić, te obrębki, obrzucanie szwów, wszystkie te rzeczy marudne, nudne, nie zajmujące, mogę sobie przecież urozmaicić opowiadaniem bajeczek!

— Wie pan, doktorze? — oznajmił, śmiejąc się, wikary — że kazano mnie się zapytać, czy nie urządziłbym teatrzyku tam na dole, w Pieve? Wieści się rozchodzą...

— I ksiądz, oczywiście, przyjął?

— A ja, oczywiście, odmówiłem. Nie mam czasu. A potem, jak pozostawić...

— Synu mój, nie powinieneś poświęcać się dla mnie, — prosił stary proboszcz, ale głos drżał mu silniej na samą myśl, iż musiałby choć na kilka godzin wyrzec się tej cennej pomocy.

— A jakże miałbym zaniedbać swoje obowiązki tutaj i narazić się na to, że proboszcz skorzysta z mojej nieobecności i zanadto się utrudzi? Nie, nie! Tu jesteśmy i tu zostaniemy. Należy pamiętać, iż w tym roku mamy wczesną Wielkanoc i, że trzeba wszystko przygotować: kościół i dzieci, ozdoby i dusze. Nie czas na przedstawienia!

Luty łudził najpierw dniami tak ciepłemi, że drzewa migdałowe, zawsze nieroztropne, zakwitły i niejeden fiołek pozwolił sobie wyjrzeć na świat, otoczony kępką ciemnozielonych listków.

W czwartek po południu dzieci szły gromadami do lasku, gdzie słońce przeświecało swobodnie z poza nagich jeszcze gałęzi. Ziemia była tu twarda i goła, doskonała dla podskoków Rexa; a z wyżyny bukowego lasku widać było pola, obsiane zbożem i już pokryte delikatną, jasnozieloną runią.

Chodziły grupkami według wieku i upodobań. Starsze dzieci z Cisem na czele szły szybkim krokiem, lubiły bowiem odbywać długie spacery. Młodsze zaś, którym większą przyjemność sprawiało szperanie w ziemi, niż bieganie, szły z Jasiem i Różyczką. To jedno, to drugie zatrzymywało się, czyniąc jakieś odkrycie: tu jaszczurka ukazywała się na słońcu, tam pracowite mrówki, owdzie jakaś mała roślinka wydobywała się na świat Boży.

Szczawik, prawdziwy rywal Rexa, biegając od jednej grupy do drugiej, odbywał podwójną drogę. Ale zaledwie słońce zaczęło zachodzić, Różyczka dała młodszym znak powrotu. Należało bardzo uważać na Maniusię, którą zapalenie oskrzeli bardzo osłabiło. Wszyscy tak kochali słodką dziewczynkę o przezroczystej twarzyczce i złotych włoskach, wszyscy okazywali jej tyle troskliwości, iż gdyby przywiązanie i pielęgnacja mogły dokonać cudu, ona stałaby się jak najsilniejszą. Tymczasem, ojciec był niespokojny o tę maleńką i sprowadził do niej z miasta swego kolegę, doktora Pieri, aby i on wypowiedział swe zdanie.

— Nic lepszego nad to, co zrobiono, zrobić nie można — orzekł ten lekarz — co najwyżej można jeszcze w swoim czasie pojechać z nią trochę nad morze...

— O, takbym tego pragnął dla niej i dla Jasia! — zawołał ojciec z takim zapałem, iż pobudził przyjaciela do śmiechu.

— Dbasz prawie więcej o te przybrane dzieci, niż o swoje własne — zauważył.

— Nie, ale nie czynię pomiędzy niemi żadnej różnicy. Przecież moje hoduję zdrowo od pierwszych miesięcy i widzisz, jak krzepkie rosną bliźnięta. Powiedziałbym może, że o swoich wiem wszystko, jak ogrodnik o swoich roślinach, co do których wie napewno, w jaki sposób wystawić je na słońce i na cień, jak je polewać i kiedy obcinać im gałęzie. Ale te...

— Te znalazły wyjątkowego hodowcę i zrobiłem doskonale, iż jemu je zawierzyłem. Spójrz tylko na Jasia; jest nie do poznania. A jeśli ta malutka ma pewne widoki wyzdrowienia, zawdzięcza to tobie, twej żonie, twej zacnej Różyczce i całemu temu zdrowemu, prostemu sposobowi życia, jakie każecie jej prowadzić... Prawda, widziałem też Łukasza i wydawał mi się nieco blady. Trzeba go będzie rychło zabrać na wieś.

Ojciec zmarszczył brwi i nie odpowiedział.

— Co się stało? — spytał przyjaciel. — Dlaczego nie chcecie go zabrać? Czy naraził was sobie czemkolwiek?

— Naraził? — zawołał ojciec z uśmiechem, ściskając dłoń doktora, który wchodził do wagonu, by powrócić do miasta. — To nie jest przyczyna mego wahania. Raczej uczucie zgoła przeciwne...

— Mów jaśniej, jeśli potrafisz! — poradził doktór Pieri żartobliwie.

Ale dobry ojczulek-doktór nie chciał mówić jaśniej. On dźwigał wielką odpowiedzialność za całą swą liczną gromadkę i czuwał nad tem, aby słodki spokój dzieciństwa trwał w niej jak najdłużej, nim ustąpi miejsca marzeniom i niepokojom wieku młodocianego. I na ten raz przynajmniej wolał zamilczeć.

Mniejsze dzieci powróciły już do domu, a starsze poszły szosą na spotkanie doktora; tutaj ujrzały, wychylającą się nagle z jodłowej alei, prowadzącej do pałacu, zgarbioną postać, o twarzy wychudłej, o długiej, białej brodzie, idącą powolnym krokiem. Z trudnością ją rozpoznały.

Mężczyzna zbliżał się do nich z rękoma skrzyżowanemi na plecach, z oczyma opuszczonemi i tak zatopiony w swych myślach, iż prawie zetknął się już z dziećmi, a jeszcze ich nie widział.

Ale gdy podniósł twarz i znalazł je tuż przed sobą, nie doznał (albo nie okazał) żadnego zdziwienia. W jego sposobie patrzenia na nich i w tonie jego pierwszych słów było coś, z czego dzieci pojęły, iż one również nie powinny okazać żadnego zdziwienia.

— Idziecie naprzeciw ojca? Spytał stary hrabia (jakże się zestarzał w niespełna dwa miesiące!) — Pójdę z wami.

Wsunął rękę pod ramię Cisa i oparł się na nim ciężko. Mówił powoli, jakby z wysiłkiem, lubo głosem tak spokojnym, jakgdyby się widzieli poprzedniego dnia.

— Otrzymałem ciekawą broszurę, którą chcę ci pokazać, Cisu. Mówi o specjalnej hodowli, dokonanej przez chłopców amerykańskich, o ich towarzystwie rolniczem i o tem, jak doskonale potrafią sobie zarobić na życie tym swoim przemysłem... Musisz to przeczytać i dać innym do przeczytania... Kiedy rozpoczniemy prace w sadzie?... Ach! Otóż i doktór.

Ojciec był jeszcze dyskretniejszy, niż dzieci. Miał czas dostrzec swego starego przyjaciela w tej gromadce i mógł uścisnąć podaną sobie dłoń (należy bowiem zawsze poczekać, aż starsza osoba pierwsza wyciągnie rękę), nie okazując zbytnio swej radości.

Wszyscy razem skierowali się ku domowi doktora i, być może, że hrabia byłby wszedł tam również, gdyby Szczawik i Rex zachowali się tak samo, jak inni. Ale wyżeł począł szaleć i szczekać z wielkiej radości, a Szczawik począł głośno wołać mamy i sióstr, by przyszły i zobaczyły, kto przyszedł, a rezultat był taki, że gdy mama podeszła do okna, hrabia już się gwałtownie odwrócił, by powrócić do swej samotni.

ROZDZIAŁ XXXII.

W którym spędza się, jak można najlepiej porę deszczową, a potem raduje się słońcem; stare zlodowaciałe serca tają również.

Początek marca był obrzydliwy: deszcz, zimny wiatr, śnieżyce. Drzewa migdałowe utraciły swe piękne kwiecie, zanim ono spełniło swe zadanie; fiołki pożałowały również swej ciekawości.

Buk, Mak i Bronek powracali zwykle ze szkoły przemokli i przemarznięci i nie zawsze w dobrym humorze, gdyż podczas deszczu nawet Bronek przestawał przewodzić swą wesołością. Ale niewiele było potrzeba, aby wszystkim trzem przywrócić humor: serdeczne słowo Jasia, jakaś uprzejmość ze strony siostry, jakiś figiel Szczawika, a wreszcie w najtrudniejszych wypadkach—pieszczota mamy.

Pokój jadalny, najcieplejszy po kuchni, był w ciągu całej zimy zamieniony na pokój do nauki i warsztat; dzieci bardzo go lubiły, chociaż w porze kolacji trzeba było zawsze opróżniać stół z wszystkiego, co tam nagromadziły. Albowiem, gdy odrobiono już lekcje i książki i zeszyty zostały usunięte na bok, Szczawik rozpościerał na stole duże arkusze papieru i stawiał garnuszek z klejem i pęk trzcin, by z pomocą Jasia sporządzić sobie latawca na pierwszy pogodny dzień; Maniusia kładła tam swe chore lalki, które Mak leczył; Topolka rozkładała swe farby, któremi zdobiła nietyle papier, ile swój fartuszek; Cis opierał na nim łokcie, by móc lepiej zatopić się w czytaniu; zatykał sobie uszy rękami i zapominał w ten sposób o całym świecie; Różyczka sadzała na stole swą ulubioną siostrzyczkę z bliźniąt, okrągłą, śmiejącą się Miętulkę, która dotykała wszystkiego, czego mogła dosięgnąć rączkami i specjalnie lubiła zrzucać na ziemię nici Kaliny, która szyła pilnie, acz pogrążona w zadumie. Buk rysował, przekreślał i znowu rysował szkic ogrodowej pompy, nad którą rozmyślał od wielu miesięcy. Wiktor czynił obliczenia swego dochodu z wieprzków, które dotąd przyniosły mu nieco doświadczenia, a mniej zysku, ponieważ jeden z wychowanków padł na nieokreśloną bliżej chorobę. Nie zbrakło nawet Tymianka, który przychodził odwiedzić wszystkich na ręku mamy i radośnie dotykał rączkami wszystkich pochylonych głów.

Myślicie pewno, że niełatwo było utrzymać spokój i zgodę pośród tylu dzieci, zamkniętych w jednym pokoju i siedzących dookoła jednego stołu? Istotnie, wciąż dawały się słyszeć wykrzykniki:

— Usuń się z twojemi arkuszami, nie widzisz, że zajmujesz za dużo miejsca? — rzekł Buk do Szczawika.

— Wcale nie, obliczyłem... Mam prawo do ośmdziesięciu centymetrów... — Ach! klej się przelewa!

— Czy obliczyłeś też miejsce na garnuszek? — spytał Bronek, pracujący przy swoim stoliku: — Musisz też wziąć w rachubę gderanie Katarzyny, zanim ci pozwoli przygotować inny klej; inaczej ja nie będę mógł przykleić podszewki.

— Mój kochany, zrobiłbyś lepiej, gdybyś dawał więcej szpilek, a mniej kleju! Moje buty przemakają całkiem.

— Ośmdziesiąt centymetrów? Dziękuję! Jak ty to obliczałeś, Szczawiku?

— Mokre? Nie wierzę! Ty zawsze lubisz chodzić w kałuży! Dla ciebie i obuwie z błota teżby nie wystarczyło.

— Co za przesada! Dzieci, dajcie mi jakąś szmatkę do wytarcia! Inaczej ten klej...

— Co za wymagania! Weź sobie sam. Kto wylał, niech wytrze.

— Cisku, uważaj! zamoczysz i poplamisz łokieć.

— Tutaj nie chodzi o wytarcie! Trzeba raczej rozcieńczyć klej wodą, aby go zebrać ze stołu...

— Co to przylepia mi się do łokcia? Ach, co za fuszerzy!

— Maku, moja lalka! Zabrudzi się cała!...

— Topolko, daj mi wody z twojej miseczki! Prędko, potrzebuję do mycia!

— Ależ to nie woda! To niebo! Dlaczego mi zabierasz?

— Ośmdziesiąt centymetrów na jedno, gdy nas jest sześcioro po każdej stronie...

— To był piękny, błękitny kolor, bez chmur... Szkaradny!

— Trzebaby, aby stół miał cztery metry ośmdziesiąt, a ten ma z pewnością nie więcej, jak trzy metry czterdzieści.

— Topolko! zrobisz mi piękne niebo bez chmur. Mam taką ochotę pójść do lasu!

— Najmniej trzy metry i pół! Założymy się?

— Nie mam już więcej ani ultramaryny, ani... O mamo!

— Żadnych zakładów, dzieci. Tatuś nie pozwala.

— Nie płacz, Topolko. Nie bądź taka obraźliwa!

— Cóżto, czyż mam zawsze szukać swych nici na podłodze? Różyczko, znajdź dla Miętulki jaką inną zabawkę. Przez to nie mogę szyć prędko.

— Ach, oto Agata! Doskonale, mam nadzieję, że dzisiaj nikt nie da się prosić, aby zebrał swe rzeczy. Agato, trzeba tu dobrze wymyć, zanim położycie serwetkę.

— O litości, cóż oni robili na tym biednym stole?

— Nic. To woda z nieba Topolki... Czego się tak dziwicie? Czyż to taka wielka rzecz, że z nieba pada woda?

— Ale nie tego koloru i nie jest taka lepka.

— Jeśli będziesz dobra i grzeczna, Topolko, może pomyślimy o ultramarynie. Ale jeśli będziesz dalej gniewała się i wzruszała ramionami...

— Chodź tu, Toluś, chodź... Dam ci jutro farby, która ci jest potrzebna. Prawda, mamo?

— Tak, Jasiu, ale pod jednym warunkiem, że się teraz uspokoi i pomoże Agacie nakryć do stołu. Tutaj niema miejsca na kaprysy i długie lamenty. Szczawik źle postąpił, ale...

— Konieczność, mamo, okoliczności łagodzące! Aby zapobiec gorszemu! Gdy grozi niebezpieczeństwo...

— Dostaniesz w łeb! Zmykaj, Szczawiku, to ci radzi przyjaciel!

— Jeśli teraz, gdy wytarłam, nie dadzą mi położyć obrusa, pan nadejdzie, a stół nie będzie nakryty.

— Chwilkę, tylko jedną chwilkę! Jeden... Dwa... Trzy...

Poczekaj, ja też chcę zobaczyć! Nie, źle mierzyłeś. A zresztą przecież to kobiecy metr!

— Kobiecy? Czyż bywają metry męskie i kobiece?

— Nie, ale kobiety prędzej zniszczą i rozciągają...

— Zmierzmy moim metalowym...

— Dalej, dajcie mi nakryć do stołu!

— Chłopcy, bądzcie posłuszni.

— Tak, mamo. Zresztą, czy czterdzieści, czy pięćdziesiąt, zawsze brakuje dużo...

— Do czego?

— Szczawiku, oddaj mi przynajmniej garnuszek!

— Do ośmdziesięciu centymetrów, jakie Szczawik obliczył dla każdego.

— Ale któż wam mówi, że obliczałem tak dla wszystkich? Wiadomo, że dla starszych wystarczy mniej.

— Szczawiku nie gestykuluj tak z garnkiem w ręku!

— Ach, tak? Ładna sprawiedliwość! Więc dla dorosłych mniej? A dlaczego?

— Przepraszam, może do czytania, albo do szycia potrzeba tyleż miejsca, ile dla zrobienia latawca z arkuszami, z pałkami... Ach, już po nim!

— Mówiłam! Machasz tak rękami!

— Kto tłucze, płaci...

— Nie, przecież skorup nie zatrzymam. Macie, Agato. W kuchni znajdzie się inny stary garnuszek...

— Szczawiku, Szczawiku!

— Mamusiu, mamusiu! Nie łaj mnie! Widzisz, litościwy los chciał, aby garnuszek, zanim się stłucze, wpierw się opróżnił! Inaczej, byłoby jeszcze gorzej!

Ale urwis nie probował objaśnić na swój sposób, dlaczego byłoby gorzej i zwiał szybko do kuchni.

Potem przyszła pogoda. Pewnego wieczora, prawie nagle, niebo się wyjaśniło, zabłysły gwiazdy i ojciec oświadczył, że następny dzień będzie słoneczny.

Po śnie pod całunem śniegu, po smutnym deszczu ziemia zdawała się cała oddawać radości przebudzenia. Teraz chłopcy zrana wylegali na dwór, śpiewając. Prześcigali się kto wstanie wcześniej, by móc pobiegać trochę na słońcu, zanim pójdą do szkoły do miasta, albo do wsi. Latawiec pofrunął w górę, prawie jak aeroplan.

Stary dom otworzył naoścież wszystkie okna od parteru, aż do poddasza. Jasio zajął się przystrojeniem pokoiku cioci Julci, już po tem, kiedy malarz pod jego nadzorem pokrył ściany delikatną, kremową farbą, przyczem z trudnością dał się powstrzymać od zamazania sufitu zwykłemi, nieprawdopodobnemi kwiatami wszelkich, możliwych gatunków.

— Co? Goły sufit? Tego nie widziano nigdy! To będzie bardzo źle i ja się skompromituję.

— Ja już to sam zrobię — odparł Jasio spokojnie i przekonywująco; — to nie znaczy, że sufit będzie goły, jeśli zadowolimy się oprawieniem go w dobrze dobrany fryz, w dwu kolorach nieco ciemniejszych, niż ściany...

— Aha, zrozumiałem: ornamenty z wypukłej sztukaterji, cieniowanej...

— Aby te były prawdopodobne, trzebaby odmienić bieg słońca.

— A więc niech mnie pan nauczy, jeśli umie tyle! I jeśli pan uważa, że może to zrobić sam, ja odchodzę. Gdy się nie umie cenić artystów...

Rozgniewany artysta już schodził ze schodów, ale Jasio przywołał go zpowrotem; i powoli przekonał go. Gdy wreszcie dzieło posunęło się już daleko i kolorowa rama w czystym prostolinijnym rysunku ozdobiła sufit, nie obciążając go, i gdy wreszcie Jasio począł lekką i wprawną ręką malować fryz z bursztynowych róż i czerwonych liści, które odbijały pięknie od szarego cokółu, wiejski malarz musiał zmienić zdanie i przyznać, że Jasio pod dobrym kierunkiem mógłby zajść tak daleko, jak i on: ale musiałby się uczyć używać jaśniejszych kolorów, do djaska! Gdyby namalował róże czerwone, niebieskie i fioletowe, zobaczyłby, jaki to byłby efekt!

Cis został wezwany na folwark do wiejskich robót, które stały się tem pilniejsze, że niepogoda opóźniła wszysto. Ale przedewszystkiem należało pomyśleć o okopaniu zbóż, oczyszczeniu ich z chwastów, należało nawieźć pola i przyspieszyć wszyskie roboty, szczególnie na gruntach, przeznaczonych na sad, dokąd wuj Wirgiljusz przysłał już krzewy i dokąd się wybierał w tych dniach, by je zasadzić.

Okna pałacu również potrosze otworzyły się ku słonecznemu ciepłu i widać było służbę, zajętą sprzątaniem....

Cis rozmawiał z rządcą, gdy ujrzał, że ów zdejmuje kapelusz i poczuł, iż jakaś ręka opadła mu na ramię.

— Nie przyszedłeś po książkę, o której ci mówiłem i nikt z was nie powiedział mi, że pojutrze przybywa profesor — mówił z wyrzutem głos starego samotnika; ale głębokie oczy spoglądały łagodnie w żywe i szczere oczy młodzieńca, a ręka, co spoczywała na jego ramieniu, dotykała go z czułością. — Nietrudno wam tedy przyszło obejść się bez tego starca, co?

Za całą odpowiedź Cis położył swą rękę na dłoń, która go trzymała, a starzec uśmiechnął się. I tak bez słów wznowiła się ich dawna przyjaźń.

— Czy będę niedyskretnym, jeśli zapytam, czy tam-tam także przyjedzie i gdzie w takim razie pomieścicie waszych drogich gości, gdy macie dom i tak przepełniony?

— Ciocia Julcia zostaje w mieście, aby robić gruntowne porządki domowe. Ale istotnie rozmyślamy nad tem, gdzie umieścić wuja Wirgiljusza, gdyż Jasio chciał tak upiększyć gościnny pokój, iż narazie nie można tam oddychać z powodu zapachu farb i lakierów!

— A czy nie przyszło wam na myśl przyjść i powiedzieć mi to, przypomnieć sobie, że ja posiadam cały, pusty dom? Szczęściem rządca był wczoraj w mieście, widział profesora i powiadomił mię o jego przybyciu! Dobrze więc, powiesz mamie, że jej brat jest moim gościem na noc i zawsze, gdy za dnia rodzina wyda mu się zbyt hałaśliwą; powiesz jej także, iż w dzień sadzenia drzew, będziecie wszyscy u mnie.... O ile i ona nie ma do mnie żalu....

Skoro tylko mógł, Cis pożegnał się i pobiegł do domu. Spieszno mu było donieść tak dobrą nowinę; radość jego była tak wielka, iż wydawało mu się możliwem nietylko biec, ale i fruwać; biegnąc, począł śpiewać, sam o tem nie wiedząc.

ROZDZIAŁ XXXIII.

W którym się mówi o roślinach i duszach; o teraźniejszości i przyszłości.

Buk, Mak, Bronek i Wiktor wraz z sześcioma z pośród najlepszych abonentów i czterema młodymi wieśniakami pracowali cały dzień nad sadzeniem drzew i zasypywaniem wykopanych dołków, według zarządzeń Cisa i rządcy, którzy otrzymali wszystkie wskazówki od wuja Wirgiljusza. Ten obszedł z Łukaszem kilkakrotnie sad dokoła, ganiąc robotę, lub chwaląc, lecz czynił to zawsze tonem tak spokojnym, ojcowskim, iż nietylko jego pochwały były miłe, ale i nagana.

Wszyscy wiedzieli, jak bardzo kochał rośliny i, że od wczesnej młodości poświęcił swe życie badaniom tej ukochanej przez siebie dziedziny wiedzy. Bywają nietylko apostołowie wiary, lecz i apostołowie nauki. A uprawa ziemi jest wiarą i nauką.

Rzeczy, które robią się od tak dawna, wydają się łatwe i nie myśli się o tem, iż, aby dojść do tego, by je zrobić dobrze, ktoś

przed nami musiał się męczyć, probować, uczyć... Pomiędzy pierwotną, surową uprawą roli, a obecną racjonalną jej kulturą, jest ta sama różnica, co pomiędzy pierwszym pługiem, a obecnemi narzędziami rolniczemi. Droga od dzikiej wiśni do jednej z tych wspaniałych roślin owocowych Burbank (nazwisko Amerykanina, który zapomocą prób i szczepienia osiągnął owoc, mający najlepsze cechy najsmaczniejszej brzoskwini, najmięsistszej śliwki i najpiękniejszej, najsmaczniejszej wiśni) była długa i uciążliwa. Ileż bezowocnych prób, ileż niepotrzebnie powtórzonych doświadczeń, zanim doszli do celu!

Starzy wieśniacy śmieją się niekiedy z tych wszystkich nowych rzeczy i słów: uprawa owoców, hodowla pszczół, hodowla kur. Czyż potrzeba aż książek i profesorów, aby obciąć drzewo gruszkowe, zebrać rój pszczół i trzymać tuzin kur?

Ale gdy później zobaczyli ogromne, soczyste gruszki, jakich przedtem nigdyby się nie mogli doczekać i piękny miód, co wydaje się płynnem złotem, i drób duży, zdrowy o smacznem mięsie i jajkach, co nie zawsze udaje się osiągnąć, poczęli zastanawiać się, że chyba nie nadarmo napisano książki, że profesorowie chyba nie nadarmo studjowali. I niejeden mówił wkońcu, jak ten stary chłop do wuja Wirgiljusza, gdy ten wypowiedział piękny odczyt przed słuchaczami — samymi chłopami: — „Panie profesorze, kłaść wiedzę do naszych głów to jest to samo, co lać wodę do koszyków. A jednak coś w nich pozostaje, boć i koszyki namokną“.

Ten sam wieśniak, widząc, iż wuj Wirgiljusz obcina winne latorośle inaczej, niż to się czyni zwykle i że pozostawia niektóre gałęzie, które w pierwszym roku wydają się całkiem nieużyteczne, uczynił sobie żarcik, mówiąc, iż pan profesor zrobił to dlatego, aby na nich zawiesić kapelusz i kurtkę; ale gdy w rok później zobaczył, że właśnie te gałęzie były najobficiej obwieszone kiściami winogron i że te kiście rozwinęły się najlepiej, zmienił swe zdanie.

— I stał się moim najwierniejszym przyjacielem — z uśmiechem zakończył profesor swe opowiadanie; lubił mówić o tych i innych

doświadczeniach, jakie porobił w ciągu trzydziestu lat swego apostolstwa pośród rolników.

Cis i Łukasz, pozostawszy w pałacowej sali jadalnej z hrabią, rodzicami i Kaliną słuchali go uważnie. Tylko troje tych najstarszych dzieci zostało dopuszczonych do stołu w pałacu. Reszta bez żalu zasiadła do stołu rządcy wraz z sześcioma abonentami i czterema młodymi wieśniakami i umiała godnie uczcić doskonałą wieczerzę, przygotowaną przez panią rządczynię. Doglądaniem najmłodszych i dopilnowaniem, aby Maniusia jadła tylko to, co jej nie mogło zaszkodzić, by Topolka nie kaprysiła, a Szczawik nie dokazywał zanadto, zajęli się Różyczka i Jasio.

Potem mama przyszła po małe, aby pożegnały się z hrabią i powróciły z nią i Kaliną do domu, zanim wieczór nie stanie się zbyt chłodny; Łukasz poprosił o pozwolenie pójścia z niemi.

Hrabia i doktór również odprowadzili mamę kawałek drogi.

Był cichy i jasny wieczór, a dzień ten był dla wszystkich tak pełen radosnego trudu, iż pozostawił w duszach uczucie ukojenia.

Teraz głosy dziecięce wesoło rozbrzmiewały po alejach parku, gdzie żwawsze się goniły, a poważniejsze przechadzały się statecznie. Buk i Bronek, złączeni teraz wierną przyjaźnią, trzymali się pod rękę i rozmawiali:

— Zrozum, że dla sześciuset drzew owocowych w miesiącach suszy potrzeba będzie sporo wody... I jeśli mi się uda zbudować mój przyrząd...

— Potem trzeba będzie uważać na choroby, powiedział profesor. Rośliny i ludzie chorują i leczą się podobnie. I wśród roślin odbywa się walka pomiędzy pasożytami a siłami żywotnemi i, jeżeli zarodki chorobotwórcze....

— Ho, ho, jak pięknie mówisz dziś wieczór! — zawołał Buk, który jeśli nie mówił już pfe! na każde zdanie, które mu się wydało wyszukanem, był jeszcze skłonny wykpić je.

— Czy ci się zdaje, że ja doprawdy jestem łataczem z powołania? Czy wiesz, że gdybym nie musiał się uczyć, lubiłbym bardzo książki, szczególnie medyczne? Lekarzem nie zostałbym nawet, gdybym, mógł, bo na to trzeba za dużo... Ale pielęgniarzem

zostałbym chętnie i chcę się nauczyć być dobrym pielęgniarzem, a nie fuszerem.

— Aby zabrać się do tych chorobotwrórczych zarodków, co?

— Z pewnością — odciął się figlarz, chwytając przyjaciela za obie ręce i wstrząsając niemi wesoło: — Gdybyś ty był jednym z nich, zobaczyłbyś zaraz, jakbym cię unieszkodliwił!

I walcząc, dwaj przyjaciele poczęli tarzać się po trawie, jak to chłopcy czynią niekiedy z przywiązania, poczem usiedli znowu, by prowadzić dalej rozmowę.

Gromadka maleństw z mamą i dwojgiem starszych dzieci znikła już w półcieniu zmierzchu a stary hrabia, stojąc na skręcie drożyny, zdawał się wciąż spoglądać za niemi. Potem ujął doktora pod ramię i wracał z nim powoli ku dworowi. Milczał, a przyjaciel — lekarz szanował to jego milczenie. Ale gdy podeszli już blisko do trawnika, na który padało światło z dużych okien pałacu, stary arystokrata zatrzymał się i, patrząc z natężeniem w twarz swego towarzysza, zapytał półgłosem:

— Więc pan jesteś tego samego zdania, co i on? — i wskazał głową profesora, którego wysoka postać odcinała się obok Cisa w świetle okna. — Mówicie, że latorośl chorej rośliny może wyrosnąć zdrowo? Także, gdy mowa o roślinach ludzkich.... i o chorobach moralnych?

— Z pewnością; jeśli usunąć ją w porę z niebezpiecznego sąsiedztwa i przesadzić na zdrowy grunt i, powiedzmy to także, dać jej potrzebny pokarm....

— Ale jeśli choroba tkwi w korzeniu?

— Nie jest w korzeniu — oświadczył doktór szczerze, patrząc prosto w oczy starego przyjaciela, oczekującego jego odpowiedzi z źle ukrywanem wzruszeniem.

Szli jeszcze czas jakiś w milczeniu, lecz ramię starca ściskało coraz silniej rękę doktora.

— I wy myślicie... Myślicie, że to jest możliwe, aby pewna matka, już nazbyt obarczona pracą i odpowiedzialnością, znalazła w swem sercu czas i miejsce jeszcze dla jednego dziecka?....

— Z radością i prawdziwą czułością, mogę za to ręczyć.

Cis i wuj Wirgiljusz, dostrzegłszy ich, odeszli od okna i poszli im naprzeciw. Pomiędzy hrabią a doktorem nie padło już ani słowa więcej w tym poważnym i drażliwym przedmiocie. Zrozumieli się i to wystarczało.

Wuj Wirgiljusz nie wiedział nawet wtedy, ile dobrego wykwitło z jego odwiedzin w tym opuszczonym domu, a Cis ani się domyślał, iż postanowienia, zapadłe tego wieczora, miały zaważyć na jego przyszłości.

Ale właśnie tak było dobrze. Biada nam, gdybyśmy wiedzieli dzisiaj, co nas spotka jutro! I najodważniejszy mógłby zadrżeć.

Gdyby Cis był wiedział, ile mu przyjdzie cierpieć, zanim zdobędzie swe wielkie szczęście i, gdyby mógł był wpłynąć na bieg własnego losu, pragnąłby niewątpliwie wyrzec się tej wielkiej radości za cenę, aby jemu i jego ukochanym został oszczędzony ten wielki ból.

Zanim wuj Wirgiljusz odjechał, zebrał na łące wszystkie dzieci z domu siostry i ze wsi.

— Chcę wam powiedzieć dwie, czy trzy rzeczy, które sprawią wam wiele radości, jeśli macie wszyscy, jak mi się to wydaje, dobrą wolę. Po pierwsze to, iż jestem zadowolony, że mogę wam powierzyć nowy sad. Na kilku z pośród was ciąży teraz obowiązek czuwania nad młodemi roślinami, które są, zaiste, jako dzieci; to znaczy, iż przygotowują się do tego, by przynieść owoce; ale jak i dzieci, gdy o nie nie dbać, nie czuwać nad niemi troskliwie, marnują się, lub wydają mniej owocu, niżby należało. Na wielu z was ciąży odtąd obowiązek ochraniania sadu od tych, którzy dzięki brzydkiemu upodobaniu do niszczenia, lub przez prostą nieświadomość, mogliby uszkodzić te siedemset młodocianych istnień, które, wierzcie mi, cieszą się życiem zarówno, jak i wy. Wszyscy, zrozumcie mię dobrze — wszyscy, duzi i mali, jesteście odtąd zaproszeni na pierwszy, wielki zbiór owoców, który nastąpi za trzy lata. Z radością przyjdziecie wtedy zajadać doskonałe owoce, którym bądź pracą, bądź nadzorem i ochroną przed uszkodzeniem pomagaliście kształtować się, rosnąć i dojrzewać; pomagaliście tedy, aby światło słoneczne i soki ziemi

w cudowny sposób zamieniły się w barwę i smak; soki tej naszej świętej i ukochanej gleby, która zawsze i z całą wspaniałomyślnością daje nam wszystko wzamian za to niewiele, które my jej dajemy.

Teraz proszę was, abyście się dobrze przyjrzeli temu obrazkowi, który poczciwy Jasio odrysował dziś rano — w powiększeniu z pewnej książeczki, którą wam przyślę w wielu egzemplarzach, aby każde z was mogło ją przeczytać. Podoba wam się, prawda? Nasz mały malarz — poeta dobrał odpowiednie kolory — dodał wuj Wirgiljusz, uśmiechając się do Jasia, podczas gdy Łukasz i Cis trzymali ponad głowami zebranych ogromny arkusz, przedstawiający wesołą postać chłopca, który pokazuje publiczności ogromny kawał czerwonego arbuza. I jaki kawał! Szerszy, niż plecy pokazującego.

— Oto, co książeczka opowiada o tym chłopcu i o jego porcji arbuza — ciągnął dalej wuj Wirgiliusz. — Chłopiec, jak to widać, jest rzutki; nie brak mu, oczywiście, inteligencji, ani też tej zalety, co się zwie — inicjatywą. Inicjatywa — zapoczątkowanie. Wszystko, co teraz wydaje wam się rzeczą zwykłą, prostą, którą robią wszyscy, kiedyś było zapoczątkowane; to znaczy probowane, badane, odmieniane tak długo, aż stało się łatwem dla każdego. Wystarczy pomyśleć o pierwszych ludzkich osiedlach, zbudowanych z pali i błota i spojrzeć teraz, jak gromada murarzy wznosi szybko piękne, proste i trwałe mury domu. Wystarczy pomyśleć o pierwszych, prostackich plecionkach ze słomy i łyka, a potem spojrzeć na piękną tkaninę wielometrowej długości, jaka wychodzi z współczesnego warsztatu tkackiego, albo na piękny różnobarwny dywan, jak ten, który rozkładacie w kościele, gdy przyjeżdża biskup. Czy nie mam słuszności?

Wracając do arbuza, muszę wam powiedzieć, iż ten ładny chłopak, syn rolnika z Dakoty*) przeczytał w miejscowym dzienniku adres pewnej firmy ogrodniczej, takiej, w której hodują wszelkie rośliny, by potem sprzedawać ich nasiona. Napisał tedy, prosząc o katalog. Otrzymawszy i przejrzawszy go, dzielny dakotańczyk, który widocznie bardzo lubił arbuzy, postanowił wydać parę groszy na nasiona i wybrał rozmaite tego pięknego owocu, jakich jeszcze

*) Stany Zjednoczone Ameryki.

w tej wsi nie hodowali. Chciał się sam przekonać, czy te arbuzy istotnie wyrastały tak duże, jak to twierdził katalog.

Rodzice i sąsiedzi potrząsali głowami: piękniejszych i lepszych arbuzów, od tych, które już rosły we wsi, z pewnością być nie może. Rośliny z innych stron, dają tutaj małe zbiory, mówili. Ale nasz chłopak dalej siał, hodował... Aż wreszcie zebrał, jadł i sprzedawał tak doskonałe arbuzy, iż wszyscy musieli mu przyznać słuszność. Nietylko tyle; rodzice sami rozszerzyli hodowlę, zainicjowaną przez syna, tak, iż obecnie oni zaopatrują sąsiednie targi w ten smaczny owoc.

— A chłopiec? Czy nie otrzymał nagrody?

— Nagrodę wziął sobie sam, albowiem teraz stał się ogrodnikiem i wybiera corocznie nowe rośliny, które wprowadza do wsi. Próbuje, uczy się i zarabia.

— I wszystkie się udają temu dakotańczykowi? — zapytał stary Kacper, który stanął za chłopcami, aby posłuchać wykładu.

— Nie, mój przyjacielu — odparł profesor, uśmiechając się. — Tego książeczka nie mówi. Muszę raczej poradzić chłopcom, aby byli ostrożni z próbami... W książce, pomiędzy innemi, jest też historja pewnego małego hodowcy, nagrodzonego na wystawie za piękną owcę, której runo było istnym cudem; ale kto tam wie, ile go to kosztowało studjów i z jaką starannością hodował swą owieczkę? A tymczasem, ileż to prób hodowli zwierząt nie udaje się, prawda, Wiktorze? Składa się na to potroszę niepowodzenie, potroszę nieznajomość rzeczy, a trochę też i niedbalstwo.

W książce wspomina się też o czternastoletnim doborcy. To ci słowo, co? Doborca! Ale oznacza ono tylko tego, kto dobiera, czyni dobór. Ten chłopiec dobierał, to znaczy wybierał najpiękniejszy groch z pośród tych, które hodował jego ojciec i z tego wybranego przez siebie nasienia największego grochu urządził sobie osobną uprawę grochu. Potem, przy zasiewach następnego roku dobierał znowu najpiękniejsze nasiona, z pośród uprawianych przez siebie. Wiadomo, iż każda roślina jest dla siebie jednostką z przymiotami i wadami, jakie nie zawsze cechują jej siostrzyce. Chłopcu — doborcy udały się osiągnąć takie strączki, za które na targu brał ładne pieniądze.

Gdyby naprzykład jeden z was, wybrał tego roku, gdy żyto

dojrzeje dwa, albo trzy najpełniejsze, najpiękniejsze kłosy i zachował je aż do zasiewów? Jakiś kawałek ziemi zawsze się na wsi znajdzie na próbę tego rodzaju. Urządźcie sobie pólko wielkości kwadratowego metra i czyńcie na niem swe badania. Nawoźcie wasze żyto i nie pozwalajcie mu obrastać chwastami.... A jeśli wasze żniwo będzie takie, iż zwróci uwagę waszego ojca, zobaczycie, że on w następnym roku znajdzie na swoich polach miejsce dla waszych nasion.

To samo możecie zrobić z kukurydzą, koniczyną, z ziołami leczniczemi... Co się tyczy krzewów owocowych, których najpiękniejsze odmiany zostały osiągnęte właśnie dzięki doborowi, proszę was, abyście uważali, obserwowali i zwrócili uwagę na winne latorośle, najobficiej usiane gronami, na gałęzie śliw, lub brzoskwiń, najbogatsze w owoc. A potem, gdy powrócę, pokażecie mi je, albo też, gdy mnie nie będzie, pokażecie je Cisowi i Łukaszowi. Oni zobaczą, czy warto szczepić te drzewa, by osiągnąć odmiany jeszcze szlachetniejsze Czy się zgadzacie?

W Ameryce chłopcy założyli poprostu stowarzyszenie rolnicze, by wspólnie ponosić koszty, dzielić się zarobkiem i zdobytem doświadczeniem. Ale my tutaj posiadamy inne temperamenty i nie sądzę, aby nasi chłopcy... Dosyć! To już wasza sprawa.

Tu wuj Wirgiljusz pożegnał swych słuchaczy serdecznym ruchem ręki.

ROZDZIAŁ XXXIV.

W którym się mówi o robotach polnych i domowych. Ale mówi się też o dobrem i złem, a także o uderzeniu kamieniem.

Kwiecień i maj: pora pracy dla wszystkich, w domach i na polach; wielki pisk w gniazdach, wielka, cudowna i milcząca praca rozrostu i rozkwitu każdej rośliny; brzęczenie owadów i pracowitych pszczółek, oraz jedwabników, które jedzą, a jedząc, czynią osobliwy szmer, podobny do plusku wody. A powietrze pełne jest woni, śpiewu i śmiechu dziecięcego.

Łukasz cieszy się wsią, wdychając pełną piersią wiatr polny, podziwiając piękno przyrody oczyma nowemi, jak sam mówi; to

znaczy bardziej otwartemi teraz, gdy zna wartość i dzieje każdej sprawy wiejskiej.

— Godni pożałowania ci, którzy zawsze przebywają w mieście i nawet nie wiedzą, jak się które drzewa nazywają!...

— A jednak niema jeszcze roku, jak i my należeliśmy do ich liczby! — powiedział Jasio, stojąc z bratem przy oknie ich sypialni, z której najlepiej widać było blask słońca wśród zieleni doliny i potok, wezbrany wodami, co spływają ze stopionych śniegów górskich.

— Istotnie! Niewiele to miesięcy, gdy weszliśmy po raz pierwszy do tego pokoju... Prawda! Gdzie umieściliście w tym roku jedwabniki?

— Na górze, na strychu, który uprzątnęliśmy zupełnie: Mak doprowadził do porządku okna, Buk postawił tam piecyk na wypadek nieprzewidzianego zimna, ojciec oddzielił, jak zwykle, trutniów od robotnic... A ponieważ chłopcy (prócz mnie) mają zdrowe nogi, nie boją się schodów.

— Przecież tobie jest znacznie lepiej, Jasiulku!

— Znacznie, a może dlatego właśnie, chciałbym już być zupełnie zdrów. Ale to są wymagania zbyt wygórowane, prawda?

— Nie, dojdziesz i do tego. Jestem zupełnie pewny. Chciałbym być równie spokojnym o Maniusię... To dziecko jest zbyt przezroczyste.

— Ale teraz nie kaszle już, i śpi, i je, i śmieje się. A przytem pielęgnują ją tak troskliwie!

— Tak, Różyczka jest prawdziwą mateczką dla naszej siostrzyczki — zgodził się Łukasz, czule patrząc na brata, który cieszył się tą pochwałą tak samo, jakgdyby odnosiła się do niego samego.

— Ale Kalina jest nią niemniej — odparł Jasio. — Gdy chodzi o uszycie sukni, lub bielizny zawsze myśli się najpierw o Maniusi. I z jaką cierpliwością i uprzejmością!

Tym razem na Łukasza przyszła kolej zarumienienia się z radości, lubo śpiesznie zmienił przedmiot rozmowy.

— Jak się uczą chłopcy?

— Wiktor ma niezłe stopnie, a Bronek zda jako tako. Ale żaden z tych dwu nie jest stworzony do nauki.

— Będą pracowali — odparł Łukasz z pewną surowością w głosie.

— Pewnie. Obecnie Wiktor spędza swe wolne chwile w dworskich stajniach i zdobywa sobie tam pewną znajomość zwierząt i paszy, to też rządca zabiera go, gdy tylko może. Bronek, jak wiesz, utoruje sobie zawsze drogę na lądzie, lub na morzu. Mowi, że łaciarzem jest jedynie z obowiązku, potem zobaczy. Tymczasem chodzi co wieczór do księdza Pawła, by próbować sola chóralne i wiem, że organista począł uczyć go muzyki. Bronek mówi, iż będzie robił wszystko; wszystko może się przydać w życiu, zarówno umiejętność położenia łaty na obuwiu, jak i granie na organach. Nie zdziwiłbym się zgoła, gdyby, nabywszy przeróżnych umiejętności, pewnego dnia wsiadł na jakiś okręt handlowy i zgodził się ponosić wszelkie trudy, aby tylko znaleźć się na wodzie i zwiedzić dalekie kraje.

— A ty, mój Jasiu?

— Ja? Przywiązany do ziemi!... ale zadowolony. Teraz jeszcze bardziej, ponieważ wiem, iż przydam się na coś i ponieważ znajduję upodobanie w prowadzeniu książek, również i na folwarku...

— Ale lubiłeś przecież układać wiersze, uczyć się...

— Wiersze też są liczbami, a liczby jakoby mi pomagają myśleć wierszami. Nie uwierzysz może, ale tak jest. Jestem jak ktoś, kto odpoczywa po trudzie pracy, oddając się milszej mu pracy i skoro, zamykam duże księgi rachunkowe, chętniej jeszcze otwieram te drugie, gdzie znajduję liczby, co brzmią, jak muzyka.

— Mówiłeś, że i na folwarku?

— Tak, rządca jest stary i pozostawia już wszystko Cisowi i mnie: Cis zajmuje się robotami, a ja rachunkami. Sądzę, że to hrabia tak postanowił. Chcieli mi też wyznaczyć pensję...

— A ty?

— Nie przyjąłem. Jeśli sprawię się dobrze, dostanę jakieś wynagrodzenie w końcu roku. Zresztą mam inne dochody i jeśli ci czego potrzeba...

— Nie żartujesz?

— Mówię poważnie. Założyliśmy tego roku z Różyczką kurnik, który jest doprawdy wzorowy. Zobaczysz, jakie piękne kury. A ile jaj! Potem będę miał odsetki od jedwabiu... O, nie z tej małej liczby

jedwabników, które mamy na strychu. To należy do dzieci. Ale ja wziąłem na siebie nadzór nad wychowalnią jedwabników na folwarku i wszystkich jajeczek, rozdanych wieśniakom. Wiesz przecież! Gdy idzie o jedwabniki i motyle, wchodzi się na moje terytorjum, bo przecież w ciągu całej zimy nie zajmowałem się wyłącznie buchalterją. Hodowla jedwabników jest przecież nauką, chociaż wielu sądzi, że można to robić byle jak... Przychodzi mi na myśl osobliwa rzecz...

— Tycząca się jedwabników?

— Tycząca się ignorancji, jaką okazuje nawet człowiek uczony w sprawach, których nie studjował. Czy wiesz, że nawet sławny uczony Pascal nie wiedział, skąd się bierze jedwab i zdumiał się, gdy mu Fabre opowiedział dzieje gąsienicy, oprzędu, poczwarki, motyla i jedwabników? Ale powróćmy do gotówki — dodał Jasio, z wspaniałomyślnym gestem kładąc rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki — oto masz, jestem wielce rad, że pan profesor od roślin, raczej profesor od roślin i nawozów, raczy przyjąć te drobne, które mu mogę ofiarować.

— Nie, Jasiu! Dziękuję ci. Ja też mam nieco odłożonego grosza, owoc pracy, jaką wykonałem dla przyjaciala wuja Wirgiljusza. Mam zamiar kupić piękny podarek dla cioci Julci, ale nie wiem jeszcze dokładnie... Zapytam się Kaliny. A co się tyczy żartobliwych tytułów, czy wiesz jak jeden z przyjaciół wuja Wirgiljusza nazywał go, gdy byli studentami? D o k t ó r n a u k e k s k r e m e n t o w y c h i p r o f e s o r p r o w a d z e n i a n a p a s t w i s k o!

Jasio śmiał się serdecznie, a Eulalja, siedząca na parapecie okna obok dwu braci, śmiała się jeszcze głośniej.

Na dole, na łące mama pomagała Agacie składać bieliznę, a dosłyszawszy ich śmiech, podniosła głowę i uśmiechnęła się również.

— Co tam robicie? Zejdzcie, słyszę już głosy chłopców i księdza Pawła.

Młody kapelan, siedząc obok mamy na jednej z kamiennych ławek, które stały po obu stronach drzwi wejściowych, gawędził nieco osłabionym głosem, ale wesoło, jak zazwyczaj.

— Zmęczony? Ech, co tam, pani moja! Nie mówię, że nie jestem zmęczony, ale mam się dobrze i jestem zadowolony. Wy także, prawda, chłopcy?

Chłopcy otaczali go kołem i nietylko domowi. Inni, którzy byli w kościele, przyłączyli się do nich i przyszli aż tutaj. Był piękny wieczór: zdawało się, iż jasny dzień będzie trwał jeszcze długo, lubo gdzieniegdzie błyszczała już gwiazda.

— Głosy są już zestrojone... również i dusze! Kościół także będzie wspaniale przybrany; ale to nie miałoby żadnego znaczenia, gdyby serca nie były przygotowane. Teraz powiem wam ostatnie słowo przed jutrzejszym dniem i chcę wam je powiedzieć o tej godzinie i na progu tego domu. Przypuśćmy, iż dzisiejszego wieczora stanie się cud, co przecież zdarzało się przez tyle wieczorów w sposób całkiem prosty i naturalny wówczas, gdy Jezus był na ziemi. Przypuśćmy, iż widzimy ukazującą się nam Jego postać, pogodną i spokojną i widzimy, jak się do nas zbliża, a potem zatrzymuje się, z uśmiechem na ustach, jak to czynił zwykle, gdy ujrzał dzieci... Cóż czulibyśmy w sercach naszych? Wzruszenie, radość, pokorę i jakoby mękę z przyczyny wielkiej czci i wielkiego zadowolenia, prawda? Ale nie przestrach. Dlatego żebyśmy Go p o z n a l i!

Tyleśmy o Nim mówili przez te dni! Natomiast, gdyby On stanął przed gronem ludzi, którzy nie wiedzą o Nim, albo przed domem, gdzie myśli się jedynie o rzeczach tego świata, o zjedzeniu więcej, niż potrzeba, o handlowaniu więcej niż potrzeba, o zarabianiu więcej niż potrzeba i tak dalej, jak myślicie, coby nastąpiło? Większość nie poznałaby Go wcale; a niewielu, którzyby Go poznali, zadrżeliby ze strachu.

I to stałoby się przed domem tych, co się mienią chrześcijanami, natomiast On mógłby wnijść do domu Izraelitów, litościwych i wielkodusznych, podnieść rękę do błogosławieństwa i powiedzieć im: Ja chciałem urodzić się w łonie waszego narodu, który był dobry, który pozostał dobry i nie wasza to wina, jeśli w owym czasie niewielu z was mię zrozumiało; ale waszą jest zasługą, iż teraz w czynach waszych, w waszem życiu rodzinnem słuchacie mię lepiej, niż wielu z tych, którzy zowią się chrześcijanami, a nie wiedzą już, czem są.

Zapadł cichy, łagodny wieczór i nikt z pośród słuchających uważnie słów księdza Pawła, nie zauważył nadejścia doktora, który nadszedł od strony szopy.

— A teraz, czy wiecie, dzieci — ciągnął dalej kapłan — dlaczego wam to powiedziałem? Dlatego, że jutro ręka biskupa uczyni na czole każdego z was znak krzyża, znak drzewa, na którem uśmiercono Jezusa i utwierdzi was w wierze chrześcijańskiej.

Ksiądz biskup, mimo że był przez długi czas misjonarzem pośród dzikich (wśród ludzi, którzy od niedawna przestali zjadać pieczeń ze swych bliźnich i którym mięso ludzkie jeszcze nie przestało smakować), nie opowiedziałby wam nigdy o swych trudach i cierpieniach, jakie tam znosił; ale powie wam chętnie, jak dobre i tam są dzieci, którym zostało dane, rozpoznać dobre od złego; opowie wam, jakie cierpliwe są tam zakonnice, które wyrzekły się życia świeckiego, by zostać wszystkiem dla tych biednych ludzi: matkami, nauczycielkami, pielęgniarkami...

W porównaniu z tem, nasze zadanie chrześcijańskie tutaj, jest bardzo łatwe, prawda? Być dobrymi, pomagać tym, którym jest gorzej, niż nam, wybaczać tym, kto nas skrzywdził....

— I być wyrozumiałym dla tego, który nie wie, co czyni! — zakończył głos doktora, który widząc, iż wikary wstaje, by pożegnać mamę, ujął go serdecznie pod ramię. — Wstąp pan do nas i zjedz z nami wieczerzę, księże Pawle!

— Nie, dziękuję. Chcę powrócić rychło do domu, gdyż mój zacny zwierzchnik jest wzruszony, jak dziecko z powodu jutrzejszego święta i będzie mię to kosztowało dużo trudu, zanim go namówię, aby się położył. Chodźmy, dzieci, pokłońcie się temu domowi... prawdziwie chrześcijańskiemu. Ach! Co się panu stało, doktorze? — zawołał ksiądz Paweł, patrząc na lekarza i dostrzegłszy dopiero teraz, gdy ów stanął w pełnem świetle, padającem z okna, że jest blady i ma owiązaną głowę.

— Nie, nic... Nie przestraszaj się, mamusiu! Cis też ci powie...

— Gdzie jest Cis? Mój Boże! Co się stało?

— Cis jest w ambulatorjum. Opatrzył mię, jak należy. I to przecież tylko zadraśnięcie, nic wielkiego. Muszę jednak przyznać, że celuje świetnie....

Ależ kto?

— A któżby, jak nie Maciek? Słyszałem dobrze szmer w krzaku, za którym się ukrył...

— Kiedyż nareszcie zdecydują się umieścić go w schronisku?

— Nie prędzej, aż stanie się sprawcą jakiegoś wielkiego nieszczęścia, ja wam to mówię!

— A dlaczegóż miałby celować w ciebie, ojczulku?

— Ponieważ na swój sposób rozumie coś niecoś; i słyszał jeszcze dziś rano, co mówiłem do Gusty... Słyszał także niegrzeczną odpowiedź, jaką mi dała!

— Ojcze, nie chodź więcej do tego domu!

— Chodziłem do staruszki... Ale teraz do niej już nie będę potrzebował chodzić.

— Umarła?

— Tak, zupełnie spokojnie potem, gdy jej raczej oczyma, niż słowami przyrzekłem to, o co prosiła.

— A Gusta?

— Pieniła się ze złości właśnie z tego powodu, gdyż boi się, że to pociągnie za sobą koszty; wyszła za mną aż na ulicę, by mi powiedzieć, iż jeśli chłopak zostanie zabrany do przytułku dla niedorozwiniętych, niech o to troszczą się inni, że ona niema pieniędzy, jak inni, co biorą sobie bogate dzieci do domu na utrzymanie, a potem z chciwości każą im chodzić bez butów....

— Nie! Ach, co za jędza!

— A ja, gdy spotkam Maćka, dam mu już, ile wlezie...

— Chłopcy, chłopcy! Cóż to znowu? — zawołał ojciec surowo. Gdzież jest tedy wasze chrześcijańskie miłosierdzie?

— A słowa, które wam dopiero co powiedział ksiądz Paweł? Żadnych gróźb, żadnych mściwych czynów, zrozumieliście?

— Jutro ja pomówię z wójtem w obecności biskupa i zobaczymy...

— Nie, nie zobaczycie, kochany księże Pawle! Usłyszycie piękne obietnice i wszystko pozostanie po staremu.

— Nie sądze, nie sądzę — twierdził ufnie zacny kapelan. Ale doktór i tym razem miał słuszność; tem bardziej, iż pan wójt, nie chcący narazić się nikomu, właśnie tego dnia wybrał się na zwiedzenie swych pól i powrócił do wsi, gdy wieczór już zapadł.

ROZDZIAŁ XXXV.

W którym na niewielu stronicach opowiada się o wielu radościach.

Biskup przyobiecał swe odwiedziny jedynie pod warunkiem, iż zostaną mu oszczędzone wystrzały z moździerzy i trąbienie miejscowej orkiestry, o której można jedynie powiedzieć, że grajków było niewielu i źle z sobą zgranych. O tem biskup nie mógł przecież wiedzieć; widać wszelako, iż miał już doświadczenie pod tym względem i wiedział, jak barbarzyńską może być muzyka w krajach ucywilizowanych.

Był to piękny starzec o pogodnem, myślącem obliczu; schodząc z karety, oparł swą rękę na ramieniu księdza Pawła i uśmiechnął się do zebranych. Za nim wyszedł z karety jego sekretarz.

Dobry, stary proboszcz pragnąłby gorąco wyjść na spotkanie swego zwierzchnika i gościa, lecz wzruszenie zatrzymało go na progu plebanji i tu go też pozdrowił, wzniósłszy drżące ręce.

Potem wszyscy czterej zniknęli w głębi domu, którego drzwi się zamknęły. Ale w niespełna godzinę rozwarły się naoścież podwoje kościoła, a z wysokości wieżycy kościelnej rozlegała się taka powódź dźwięków, tak wesoła gonitwa tonów, które przepełniały powietrze swym śpiewem, iż budziły w każdej duszy rozkoszne uczucie radości.

— Jaka szkoda, że ta biedna babcia Ryta nic już nie słyszy, nic już nie widzi.... I pochowali ją co prędzej dziś rano, aby było więcej czasu uprzątnąć z kościoła wszelką odznakę żałoby! — mówiła Różyczka spiesznie wraz z Kaliną, kończąc ubieranie Maniusi i Topolki, podczas gdy mama doprowadzała do porządku kędzierzawą główkę Szczawika.

— Dusza jej, wyzwolona z tylu trudów, braków i cierpień ujrzy teraz, o wiele więcej, uraduje się więcej! Dla niej śmierć będzie jakoby zbudzeniem się z ciężkiego snu. Nigdy nie należy mówić biedni o zmarłych, co żyli cnotliwie. My, którzy żyjemy jeszcze wśród dobra i zła, choćby mimowolnego, jesteśmy biedniejsi od nich!... — zakoń-

czyła smutnie mama, będąca jeszcze pod wrażeniem troski, przeżytej wczorajszego wieczora i tknięta nieokreślonym lękiem przed przyszłością.

Kościół był jedną wspaniałością światła i woni kwiatów. Ołtarz prawie znikł pod pękami róż, któremi go przyozdobiono. Prócz tego dokoła otaczały go kwitnące rośliny i girlandy zielonych wieńców, a światło słońca i świec woskowych rzucało na nie uroczyste błyski.

Ukazał się biskup, cały w bieli i złocie, w swych szatach i wysokiej infule. W twarzy miał taką światłość, iż tworzyła dokoła jego głowy niby aureolę świętego. Zatrzymał się chwilę na najwyższych stopniach ołtarza i stamtąd pobłogosławił wszystkich powolnym, rozlewnym ruchem; błogosławił matki i dzieci, starców i młodzieńców, dobrych i niedobrych.... Ale w owej chwili wszyscy czuli w sobie gotowość do dobrego.

Potem zeszedł ze stopni i okrążył kościół pośród dwu rzędów tych, co mieli przyjąć bierzmowanie; i przed każdym się zatrzymywał, każdemu powtarzał proste i uroczyste słowa, i na czole każdego czynił znak, który w dobie prześladowania chrześcijan poświęcał na męczeństwo nowego rycerza Chrystusowego. Znaczę cię znakiem krzyża.....

Ale nie chciał, aby go całowano w rękę. Wszedł znowu na stopnie ołtarza przy dźwiękach donośnego i zgodnego chóru świeżych, młodzieńczych głosów, którym towarzyszyły organy i zdawało się, że cały kościół wypełnił się muzyką i radością. Potem rozległ się jasny głos Bronka, czysty i radosny w solowym śpiewie, w który on włożył całą swą duszę, całą swą świetlaną tęsknotę za dobrem. Łukasz i Jasio z trudnością powstrzymywali łzy. Ale gdy po ponownem odezwaniu się chóru, inny głos, znany już i niezapomniany, głos przeczysty, donośny, a jednak słodki wzbił się pod strop kościoła, jak się wzbija ku niebu poranny śpiew skowronka, wszystkich, wszystkich bez wyjątku, dorosłych i dzieci, starych i młodych przeniknął dreszcz wzruszenia. A Cis, stojący w głębi kościoła pomiędzy ojcem a hrabią (poczuł, jak ramię tegoż oparło się na nim silniej) nie powstydził się zajrzeć w oczy staremu panu, który się doń uśmiechał.

Nie powstydził się, mówię, pokazać mu twarzy, na której płacz i śmiech zlały się w jeden wyraz niewypowiedzianej radości.

Mama, ojciec i dwanaścioro dzieci, jeszcze pełni słodkiego wzruszenia, skierowali się powoli ku staremu swemu domostwu. Szczawik szedł obok ojca, Topolka trzymała za rękę swą mateczkę, Maniusia była na rękach Łukasza, który nikomu nie chciał odstąpić swego słodkiego ciężaru, niestety, nazbyt lekkiego. Ale jeszcze nie przekroczyli ogrodzenia, gdy dogonił ich hrabia. Nie był sam: przy nim, jak on wysoka, jak on dumna i jak on uprzejma hrabianka Marja uśmiechała się do mamy, pochylając się w ukłonie i prosiła ją w imieniu dziadka, by zechciała wraz z wszystkimi udać się do pałacu, gdyż ten piękny dzień powinien być uczczony wspólnie przez wszystkich.

— A moje bliźnięta? — protestowała mama, lubo chętnie by przyjęła zaproszenie.

— Mięta i Tymianek są już we dworze, pod dobrą opieką — oznajmił, śmiejąc się, szczęśliwy dziadek; — i jest tam z nimi ktoś, kogo pani może chętnie powita...

Istotnie, na najwyższym stopniu schodów, które wiodły do wielkiego przedsionka, mała kobietka, wydająca się jeszcze mniejszą na tle wspaniałej budowli pałacu, kobietka ubrana w szarą sukienkę, z oczyma szaremi i figlarnemi, witała ich rękoma i uśmiechem. Mama rzuciła się, by ją uścisnąć, a stary pan mówił tymczasem do doktora i dzieci, zdumionych i uradowanych:

— Widzicie, że i my potrafimy robić niespodzianki!

ROZDZIAŁ XXXVI.

W którym opowiada się, jak w jednym dniu zostały wykopane dwie mogiły, jedna duża i jedna mała.

W końcu tygodnia ciocia Julcia i Łukasz powrócili do miasta. Łukasz nabrał znowu kolorów i czuł się na siłach podjąć w swoim czasie trudy i wzruszenia związane ze składaniem egzaminów w celu wstąpienia na ostatni kurs Szkoły Rolniczej. Wuj Wirgiljusz potrafił doprowadzić go tak daleko w ciągu kilku miesięcy. Tę szkołę Łukasz opuści nie jako profesor, jak mówił żartobliwie Jasio, ale z dyplomem,

dającym mu możność otrzymania pracy w jakiemś wielkiem gospodarstwie; albo też, gdyby chciał pozostać w szkole, mógłby pomagać uczącym się, a w następstwie i sam wykładać przedmioty łatwiejsze. Profesor nie byłby go też nigdy opuścił, przeciwnie, przyrzekał mu zawsze pomóc radą i czynem.

Ciocia Julcia zbadała wszystko w swoim starym, kochanym domu: sypialnie i strychy, twarz mamy i okrągłe ciałka bliźniąt, maniery dzieci i ich prace, począwszy od kurnika Jasia, a skończywszy na kąpieli i pralni, które były dziełem Buka. Zaczerpnęła u niego specjalnych informacyj i była z nich zadowolona.

— Tem lepiej, tem lepiej!

— W te dni mówiłaś tyle razy tem lepiej — zauważył urwis Szczawik — że i Eulalja zaczęła to powtarzać.

— Ciebie nawet bierzmowanie nie nauczyło rozumu!

— Któż to mówi? Jestem pierwszy w klasie, nawet co do sprawowania!

— Doprawdy?

— Mamusiu, powiedz sama!

— To nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe — potwierdziła mama, śmiejąc się.

— Tem lepiej! — rzekła znowu ciocia Julcia wśród wybuchów dziecięcego śmiechu.

Odwiedziny siostry i obecność w pałacu (a często i w starym domu) hrabianki Marji wzbudziły w mamie nową ufność do życia, a także nieco dumy z powodu przywiązania, pełnego szacunku, jakie okazywała jej nowa jakoby córka. Mama, Marja i Kalina spędzały razem wiele godzin, Marja uczyła Kalinę haftu i sztuki robienia kwiatów, w której celowała.

— Nie teraz — mówiła Marja — gdyż tak długo, jak nie brak kwiatów świeżych, sztuczne w porównaniu wzbudzają melancholję. Ale tej zimy przyozdobimy ołtarze dwoma, pnącemi się, ukwieconemi krzakami róży i tak dobrze podrobionemi, iż wydadzą się żywe. Jasio pomoże nam cieniować barwy na płatkach róż.

Dni upływały wszystkim na gorliwej pracy. Chłopcy, ogarnięci zapałem do nauki (toć czerwiec był za pasem ze wszystkiemi swemi obietnicami dla tych, co pracowali uczciwie) nie tracili czasu. Zresztą wśród książek, jedwabników i prac domowych, do których przykładali ręce, nie mieli ani jednej wolnej chwili. Dom był, zaiste, jak ul; nigdy tak dalece, jak w tym czasie pszczoły robotnice, jak lubił ich nazywać hrabia, nie zasłużyły na to piękne miano. Gdy wieczorem zbierali się wszyscy dokoła stołu i ojciec pytał każdego o sprawozdanie z całego dnia, wiele głosów odzywało się naraz i wszystkie odpowiadały mu chętnie.

Zadraśnięcie na czole doktora zagoiło się szybko i nikt już nie myślał o tem zdarzeniu. Gdy w samej rodzinie tyle jest pracy i taka panuje zgoda, łatwiej jest zapomnieć o szkodzie, jaką nam wyrządzą obcy.

Maciek nic już więcej nie spsocił. Niejeden mówił, iż jego babka czuwała nad nim w niebiosach i, być może, kieruje go ku dobremu. Ale to by było rzeczą zbyt piękną, a rzeczy zbyt piękne są nie z tego świata.

Faktem jest, iż Witek, starszy brat, posługiwał się zręcznością biednego głuptaka w ciskaniu kamieni dla celów swego zyskownego handlu ptaszętami. Maciek trafiał kamieniem w gniazda, z których pisklęta wypadały na ziemię, przynosił je swemu bratu, a ten chował je na handel i potem sprzedawał na targu... A jeśli to były zięby, oślepiał je z zastraszającym spokojem, aby ładniej śpiewały. Ale to wszystko opowiadano sobie pocichu, nie mając pewności, że tak jest, gdyż obaj bracia pracowali pokryjomu. Nikt nie był obecny, gdy głuptak dokonywał swych bohaterskich czynów, a tem mniej jeszcze, gdy drugi kończył dzieło w ciszy swego domu.

Powróciwszy do miasta, Łukasz natychmiast odszukał doktora Pieri. Myśl o siostrzyczce dręczyła go bardziej, niż myśl o egzaminie.

— Nic w niej nadwerężonego, nic chorego, daję na to słowo lekarza i przyjaciela! Niema żadnego niebezpieczeństwa w dosłownem znaczeniu — zapewniał doktór. — Wszelako muszę powiedzieć, że osłabienie jest zastraszające. Serce i płuca zdrowe, ale niezmiernie

delikatne, a serce... ze szkła! Tedy nie zalecałbym już nawet morza, gdyż onoby zbytnio pobudzało.

— A więc?

— A więc, cóżbyś chciał uczynić ponad to, co dla tego dziecka robi się w tym domu? Ma tam miłość, wszelką pomoc, życie zdrowe, swobodne, spokojne... Zwłaszcza spokojne, a to jest najważniejsze. Otaczają ją wesołością, nigdy nie żądają od niej żadnego wysiłku, nigdy jej się nie sprzeciwiają.....

— To prawda. Widziałem ją zawsze uśmiechniętą, słyszałem ją wciąż śpiewającą...

— A widzisz? Nie myśl zbyt dużo, kochany Łukaszu; nie trap się bez przyczyny. Widzisz, skoro nam się uda bez wstrząśnień i bez chorób przeprowadzić ją przez te najtrudniejsze dla niej lata, sądzę, że będziemy mogli prawdziwie ją wzmocnić.

Proboszcz gasł powoli. Nie wstawał już z łóżka i nie zajmował się więcej sprawami kościoła, ani swej trzódki. Po okresie ruchliwości i niepokoju, nastąpił rodzaj apatji, z której wyrywały go jedynie odwiedziny lekarza.

A doktór spędzał przy nim cały swój wolny czas. Z tego powodu mama często bywała sama z najmłodszemi dziećmi, bo Cis z Jasiem spędzali kilka godzin na folwarku, podczas gdy reszta dzieci po godzinach szkolnych, bardziej niż kiedykolwiek była zajęta jedwabnikami i innemi pracami, a Kalina lubiła odprowadzać Marję aż do pałacu i tam pozostawać.

Mama przebywała wtedy w parterowym pokoju, skąd lepiej mogła czuwać nad wycieczkami Szczawika, kaprysami Topolki i spokojnemi zabawami Maniusi, która lubiła trzymać się na uboczu, tam gdzie cień, padający z wysokiego płotu, łączył się z cieniem dębu, tak gęsto pokrytego liśćmi, iż Jasio nazywał go hotelem ptasim; tyle na nim zagnieździło się ptaszęcych rodzin i taki robiły pisk, gdy przyszła pora udania się na spoczynek.

Tego wieczora, wieczora, o którym muszę wam, niestety, opowiedzieć, mama i Maniusia były zupełnie same. Pierwsza była zajęta

w domu, druga brukowała sobie kamyczkami ścieżynkę maleńkiego ogródka dla lalek, jaki urządzała sobie pod płotem. Anusia powiozła bliźnięta w wózku na spacer; Szczawik i Topolka byli zajęci wnoszeniem liści jedwabnikom, gdyż te zbudziły się z ostaniego snu z apetytem, nie dającym się opisać, należało więc puścić w ruch wszystkich, aby te stworzonka nie cierpiały głodu.

O tej godzinie i w tej części domu panował taki spokój, iż mama powoli zdrzemnęła się... Źle spała tej nocy, gdyż ząbkujące niemowlęta były bardzo niespokojne; a zresztą, biedna kobieta miała zawsze zbyt mało snu!

Słońce zachodziło powoli. Na niebie, płonącem łuną zachodu, nie było ani jednej chmurki. Maniusia ostrożnie wsadzała kamyczki w ogrodową ziemię i przyśpiewywała sobie wesoło. Potem odezwała się do Paulinki, drewnianej lalki, siedzącej przy niej: — Widzisz, jaki ładny będzie twój ogród? Jak park w pałacu. — I znowu poczęła nucić, a ptaszęta na dębie zawzięcie kłóciły się o nocleg.

A potem, co się to stało? Świst rzuconego kamienia, pisk ranionego ptaszęcia, trzepotanie skrzydeł tuż opodal wystraszonej dziewczynki.... I rozdzierający jej krzyk. Albowiem ktoś zeskoczył z płotu i spadł na nią, raczej zwierzę, niż człowiek, wyszczerzając zęby w idjotycznym śmiechu i wyrywając jej z ręki konające pisklę, łup, z którym uciekł czem prędzej.

Mama, obudzona tym krzykiem, przybiegła co rychlej. Malutka leżała na trawie swego ogródka dla lalek i patrzyła na mamę... Boże! Jakże to ona patrzy? Te błękitne źrenice tak duże i tak nieruchome?... A twarzyczka tak biała?... A usta? Pół otwarte i nieme. Nieme na rozpaczliwe wołanie biednej kobiety, nieme na jej słodkie słowa... I na zawsze.

Unikać wzruszeń, powiedział doktór Pieri. A to wzruszenie było zbyt silne dla małego serduszka ze szkła.

Dwie mogiły wykopano obok siebie: jedną dużą i drugą maleńką. Dwa duchy jednako czyste powróciły razem na łono Boga; jeden po długiej ziemskiej wędrówce, spędzonej na czynieniu dobrze, drugi, zanim jeszcze zdążył poznać zło.

ROZDZIAŁ XXXVII.

W którym opowiadająca musiała się przezwyciężyć, aby móc opowiadać.

Jedwabniki odfrunęły do lasu, żyto dojrzało i zostało zebrane; trawa, ścięta w maju,[1]) odrastała znowu; owoce dojrzewały... a dziecko o szklanem sercu spało snem wiecznym obok dobrego, starego proboszcza.

Życie na ziemi nie przerywało swego biegu i w starym domu powrócono również do dawnego trybu, ale nie stało już dawnej wesołości. Cisza panowała teraz w starych murach i na łąkach.

Kroki mamy były zmęczone, a twarz zamyślona. Ten krzyk, jakże jej utkwił w sercu! Małe, pół otwarte usta nie umiały ani oskarżyć, ani wyjaśnić; trawa ukryła rzucony kamień, wiatr rozniósł ptaszęce piórka... A zresztą? Jakimże dowodem byłby kamień na łące i kilka piórek? Ale ten krzyk?

We wsi opowiadano sobie różne rzeczy, głupie i złośliwe. Gusta zauważyła, że nareszcie i tu sprawiedliwości stało się zadość:

— Gdyby każdy pilnował własnych spraw i własnych dzieci, miast zajmować się czyjemi i gdyby ktoś, kto ma tyle swoich dzieci, nie przyjmował jeszcze cudzych, niektóre rzeczy nie byłyby się stały! Bóg karze pyszałków.

Bartek, ulegający swemu upodobaniu do wzniecania nienawiści, podkładał słomę do tego ognia:

— Słyszałem, jak doktór rozmawiał z wójtem — mówił do niej i wymieniali waszego chłopaka.

— Och, ja wiem, że za każde nieszczęście, za byle co jego robią odpowiedzialnym! Jakby nie było już innych łobuzów we wsi! I co takiego mówili?

— Wójt mówił: „Doktorze, pan nie może przecież twierdzić, że

[1]) We Włoszech pierwsze sianokosy odbywają się w maju. (Przyp. tłum.)

dziecko było silne...“ A doktór na to: „Ale była zdrowa i gdyby jej coś nie przestraszyło....“ „Doktorze, pan sam mię pouczał, iż ze strachu się nie umiera. Słyszałem przecież, jak pan krzyczał na wiejskie baby, gdy przypisywały jakąś chorobę strachom...“ A doktór mówi: „Nie umiera się od strachów, to są zabobony; ale ze zbyt silnego wzruszenia, z nagłego lęku, tak! I nikt mi tego nie wybije z głowy...“

Tutaj Bartek przerwał nagle, gdyż ujrzał doktora, przechodzącego ulicą. Ale powiedział już nazbyt dużo, a reszty dokonali urwisy, którzy, podżegani przez niego, zabawiali się napędzaniem strachu biednemu głuptakowi:

— Uciekaj, Maćku, doktór idzie! Gdy cię złapie, zabije cię. — I pokładali się ze śmiechu.

Głuptak się nie śmiał. Rozglądał się dokoła, szczerzył zęby i czmychał. Powracał dopiero nocą, o ile głód nie dokuczył mu zbytnio. Niekiedy pozostawał w lesie przez całą noc.

— Dzisiaj jest moja kolej pójścia z ojczulkiem — oznajmił Bronek, spoglądając na doktora, by otrzymać jego przyzwolenie. Ojczulek się uśmiechnął. Przywykł już do tego serdecznego współzawodnictwa pomiędzy Makiem, Bukiem i Bronkiem od czasu jak Cis, z powodu wzmożonej pracy na folwarku, nie mógł towarzyszyć ojcu podczas jego wizyt u chorych.

— Pamiętaj, że dzisiaj będziemy cały dzień poza domem — oznajmił doktór: — trzeba będzie pojechać do Pieve na konsyljum. Nie czekaj na nas, mamusiu! Zjemy tam obiad i powrócimy, gdy już będzie chłodniej.

— Tylko nie nocą — zaleciła mama.

— Nie nocą. Chociaż przy tych upałach, byłoby lepiej powracać w nocy.

— Murzynek zna drogę napamięć — dodał Bronek — a ja jestem doskonałym woźnicą, przeto...

— Przeto — odcięła się mama z uśmiechem (boć trudno oprzeć

się dobremu humorowi Bronka, szybko odzyskanemu) — proszę was, nie każcie nam niepokoić się o was.

Dzień był duszny; niebo szare i powietrze mgliste. Zrezygnowany Murzynek kłusował z opuszczoną głową. Ojciec milczał. Odwiedzili wszystkich chorych (tego dnia było ich niewielu) i teraz jechali do dużej wsi, dokąd doktór został wezwany.

Przybyli tam, gdy wszystkie dzwony oznajmiały południe; wysiedli przed karczmą i, powierzywszy Murzynka stajennemu, weszli do parterowej sali, skąd buchnął ku nim gwar głosów i gorąca woń potraw.

— Oto jesteś! — zawołał ktoś, biegnąc na spotkanie doktora. — Już straciłem nadzieję, że przyjedziesz. A to jest jeden z wielu twoich synów, co? Brawo, i ja zabrałem jednego ze swoich! Geniu, chodź tu! Czy wydałeś rozporządzenia w kuchni? Dobrze. Teraz zawrzyjcie przyjaźń.

Istotnie, siedząc przed ogromnym półmiskiem makaronu, chłopcy szybko zawarli przyjaźń, podczas gdy ojcowie — koledzy rozmawiali o ciężko chorym, do którego ich wezwano. Gdy powstali od stołu i lekarze udali się do domu, w którym ich oczekiwano, chłopcy skierowali się ku cienistej alei, biegnącej wzdłuż kanału. Tutaj, trochę gawędząc, trochę zabawiając się rzucaniem kamyków do wody, mile spędzili cały czas, albowiem spokoju nic im nie zakłócało.

— Nic zrobić nie można — rzekł ojciec do Bronka w drodze powrotnej. — Wezwali mię zbyt późno, jak zwykle.

Bronek lekko śmigał batem, by zachęcić Murzynka do jazdy pod górę i milczał. Widział, iż doktór jest nachmurzony, odgadywał jego żal i szanował jego milczenie.

Panował jeszcze wielki żar, lubo słońce kłoniło się już ku zachodowi; niebo ściemniało się coraz bardziej; głuchy i daleki,

chociaż wciąż przybliżający się huk piorunów kazały Bronkowi częściej poganiać batem grzbiet konia.

— Ruszaj, ty leniuchu! Boisz się tego tuzina kilometrów? Mam nadzieję, że nie dasz się złapać burzy!

Na te słowa ojciec podniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Lekki szelest liści przerwał teraz martwą ciszę powietrza; z drogi jęły się podnosić tumany kurzu. Potem wszystko znów się uspokoiło. Ale ogromna, czarna chmura poczęła szybko pędzić, jakby chcąc przegonić inne; nagle rozdarła ją oślepiająca błyskawica. Silny wiatr rozwichrzył wierzchołki drzew i nawet Murzynek, dotąd spokojny, nadstawił uszu.

— Byłoby lepiej, gdybyśmy byli wzięli kryty powóz — rzekł Bronek.

— Byłoby lepiej, gdybyśmy byli pozostali w Pieve do wieczora — poprawił doktór. — Potem odbylibyśmy drogę powrotną już po deszczu, o chłodzie i bez kurzu. Ale mama...

Było już niewięcej, jak trzy kilometry do domu, gdy spadły razem deszcz i grad.

O zatrzymaniu się nie można było nawet pomyśleć: w tem miejscu droga szła przez las i domów nie było tu wcale. Należało raczej popędzić konia.

— Dalej, Murzynku! — zabrzmiał głos doktora — pospiesz się. Józek cię osuszy i da ci kolację, na jaką sobie zasłużyłeś, ale pośpiesz się.

Zacna szkapa była posłuszną na ile pozwoliły jej stare lata.

— Założyłbym się, iż mama martwi się teraz, że zmokniemy, — mówił Bronek, sam wielce rad tej niespodzianej kąpieli.

— Podnieś sobie kołnierz kurtki i nie rozprawiaj — nakazał doktór, bardziej stroskany o niego, niż o siebie. — Schyl głowę! — dodał jeszcze pod huk grzmotu.

Potem nie rzekł już nic więcej... Albowiem osunął się nagle na krawędź bryczki, a z jego skroni spływała krew.

Tym razem warjat, mimo burzy, wycelował dobrze.

Rzeczy zbyt bolesne nie dają się opowiedzieć. Brak odwagi i brak słów.

Murzynek wjechał kłusem do wsi i zatrzymał się przed apteką, jak to zwykł był czynić. Bronek, stojąc na bryczce, z twarzą wzburzoną, wołał pomocy. Pamiętają to inni, co nadbiegli, nie on. Jemu z tej godziny pozostało jedynie wspomnienie grozy. Jeszcze po wielu latach ogarniało go drżenie, gdy o tem pomyślał.

Ksiądz Paweł zaniósł mamie okrutną wieść. Tymczasem żandarmi, z pochwały godną gorliwością, zaczęli szukać winnego, gdyż teraz nikt już nie miał co do niego wątpliwości i jego imię było na ustach wszystkich.

Wydobyli go nocą z największego gąszczu leśnego. Nie opierał się. Nie przyznawał się, ale nie zaprzeczał. Zgasła w nim teraz ostatnia iskierka inteligencji, jakgdyby wyczerpała się całkowicie w tym akcie zwierzęcej zemsty. Pozwolił się zamknąć w areszcie, gdzie osunął się na podłogę, jak znużone bydlę. Następnego dnia przewieziono go do miasta, gdzie go zamknięto w domu obłąkanych.

Tymczasem z winy złej rośliny i tych, co jej nie wyrwali z korzeniem, padł pień silny, padło drzewo jeszcze bujne, dające obfity owoc.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

W którym, lubo niechętnie, wypowiada się ostatnie słowo, gdy w rzeczywistości wiele rzeczy rozpoczyna się właśnie w tym ostatnim rozdziale.

Gdy ziemia znowu, jak na początku tej powieści, wydała wszystkie swe dojrzałe owoce, dała poznać, że pragnie odpocząć. Winna latorośl nuży się dźwiganiem ciężkich kiści, kukurydza kłoni swe kolby, a ścieżki leśne czerwienią się od opadłego listowia.

Teraz ziemia spełniła swój obowiązek w zupełności. Czy spełnili go również ludzie? Czy, jak ziemia, przyjęli dobro i zło, pieszczotę słońca i chłostę burzy, poddając się z pokorą wyższej woli, nie rozleniwiając się w pomyślności, nie buntując się w niepowodzeniu, ale kontynuując swą pracę za wszelką cenę?

Za wszelką cenę. Albowiem nikt nie zdoła rozkazywać słońcu i burzy, ale wszyscy powinni umieć rozkazywać samym sobie. Albowiem nikt nie wie, jaki będzie dzień jego, ale wszyscy wiedzą,

że należy go dobrze zużyć. Nawet kamień jest miękką poduszką dla tego, kto zasypia z czystem sumieniem.

Cis stoi przy wielkiem biurku starego hrabiego, który mu się przygląda badawczo z pod gęstych brwi, jeszcze nie zupełnie osiwiałych. Bada jego twarz i duszę.

Cis jest wyższy i szczuplejszy, niż wówczas, gdyście go widzieli po raz pierwszy i ma na czole poprzeczną zmarszczkę, która sprawia, iż wydaje się człowiekiem dojrzałym. Ale oczy jego są zawsze m ł o d e, to znaczy, że spoglądają szczerze i z ufnością, jak umieją patrzeć jeno oczy ludzi młodych.

Pierwszym, który podniósł głowę po burzy, co zdruzgotała jedno błogosławione życie i ugięła wszystkich w starem domostwie, jak się gną krzewy pod naporem wiatru, pierwszym, który spojrzał nieszczęściu w oczy, był Cis. Musiał i chciał to uczynić. Pomagała mu w tem ciocia Julcia. Gdyby nie ona, mama nie potrafiłaby przetrzymać tego ciosu; gdyby nie Cis, życie tej rodziny nie zabiłoby znowu swem pracowitem tętnem.

— Musimy tak postępować, jakgdyby ojciec był jeszcze z nami — rzekł pewnego dnia do braci głosem drżącym ze wzruszenia, ale silnym przez natężenie woli. — Słuchać jego rozkazów, jakgdyby on sam jeszcze nami rządził... Każdego wieczora mówić mu w duszy to, co zrobiliśmy, jakgdyby nas jeszcze pytał o to... M u s i m y g o z a t r z y m a ć p r z y s o b i e.

— Ty rozkazuj miast niego — żądali bracia.

— Nie, dopóki nie zajdzie potrzeba. Wiecie, jak macie postępować. Ojciec widzi nas i mnie. Ja również potrzebuję jego pomocy.

— Siadaj, mój synu. Masz dzisiaj twarz zmęczoną. Co się stało? Jak idzie w domu? Czy masz jaką troskę, którą mogę zdjąć z twych barków?

Młodzieniec uśmiechnął się do starego przyjaciela i potrząsnął przecząco głową. Ale smutny to był uśmiech, a przeczenie nie było

stanowcze. Przyjął uprzejmie zaproszenie i siedzi teraz przy biurku, na którem Jasio przed chwilą złożył duży i czysto zapisany arkusz z miesięcznemi rachunkami.

— Jeśli ci brak czegoś — mówił dalej starzec — jeśli to, cò wyznaczyłem tobie i Jasiowi za waszą rozumną pracę nie wystarczy, by pokryć to, co ojciec....

— Nie, nie! Dziękuję. Pan hrabia jest zbyt dobry i wspaniałomyślny dla nas, a w domu też wszystko idzie dość dobrze i niczego nam nie brak. Niemniej i pomoc, jaką ciocia Julcia i hrabianka Marja okazują mamie....

— Dobrze, że Marja nie słyszy, iż tak ją tytułujesz. Wzięłaby ci to za złe. To zaś, że ona trochę dotrzymuje towarzystwa mamie, jest rzeczą najsłuszniejszą i najnaturalniejszą w świecie, tak mi się zdaje! Ale opowiedz mi o swych braciach. Co postanowili o swej przyszłości?

— Łukasz wstępuje do szkoły; zdał świetnie egzaminy. Buk będzie pracował w dokach. Wuj Wirgiljusz już go polecił naczelnemu inżynierowi, który jest jego przyjacielem. Będzie pod jego opieką, będzie pracował z korzyścią, a jeśli spisze się dobrze, inżynier zatrzyma go przy sobie przez cztery, lub pięć lat, to jest przez cały czas trwania robót. Będzie mógł przyjeżdżać do domu każdej soboty.

— Czy Buk jest zadowolony?

— Jest szczęśliwy. To było jego marzeniem od wczesnego dzieciństwa.

— Dobrze. A inni?

— Mak jest mi nieodzownie potrzebny, panie hrabio. Również i rządca....

— A któż ci mówi o Maku? Wiem dobrze, iż on jest zawsze potrzebny na folwarku, we dworze i w sadzie. Ale Bronek i Wiktor?

— Teraz, gdy podrośli już nieco i stali się dzielniejsi, nietrudno im będzie znaleźć pracę tu, w okolicy. I wczoraj w Pieve pytano mię, czy jeden z moich braci nie poszedłby na praktykę do tego hodowcy, który powrócił z Ameryki. Ale nie wiem; nie mam jeszcze odwagi wysłać ich z domu, z pod oka mamy.

— Masz słuszność. A Szczawik?

— Szczawik niepokoi mię czasem. Nie dlatego, żeby był zły; ale jemu potrzebny był ojciec... I nietylko jemu!

— Co chcesz powiedzieć?

Młodzieniec nerwowo ścisnął kolana rękami i nie odpowiedział.

— Któż jest jeszcze w waszym domu, dla kogo twój autorytet, Cisu, nie jest wystarczający? Sądzę, iż nikt nie odmawia ci posłuszeństwa.

— Nikt, panie hrabio. O, pod tym względem, nikt.

— A więc?

— A więc, to ja sam...

— Jesteś nieposłuszny? — zapytał hrabia, śmiejąc się.

— Prawie — odpowiedział Cis powoli. — Nie zawsze jestem gotów robić to, co zrobić należy. Nie zawsze udaje mi się, jak mi to nakazuje obowiązek najstarszego, myśleć wpierw o innych, a potem o sobie... I ten trud, ten wielki wysiłek, gdy się nie stoi na wysokości zadania!... Ach, może to mnie, właśnie mnie brak ojca bardziej, niż innym... Po mamie, oczywiście.

— Nieprawda. Nie brak ci go. Jest przy tobie więcej, niż kiedykolwiek. Twoje wysiłki byłyby jego wysiłkami. Sądzisz tedy, że ojcowie również nie odczuwają wysiłku i niepewności w kierowaniu swoją rodziną?

— Ale mają doświadczenie!... Nie wiem: czy chciałbym być już starym, by lepiej znać życie i widzieć swych braci już dorosłymi i na dobrej drodze.... czy chciałbym znowu być dzieckiem, mieć ojca przy sobie, słyszeć jeszcze jego głos; słyszeć jak mi mówił niekiedy: — Dobrze, Cisu, tak jest dobrze. — Gdy do mnie tak mówił, nie było dla mnie trudności, którejbym nie przezwyciężył. Teraz...

— Teraz, ty jesteś nim i to nietylko dla twojego domu. Jesteś nim także dla tego biednego starca. Jesteś moim doradcą, jak nim był ojciec. Czyż nie widzisz tego? Nie czynię nic, nie poradziwszy się ciebie. Natomiast ty, mniej mi okazujesz zaufania, niż to czynił ojciec. Nie mówisz mi wszystkiego.

Twarz Cisa okryła się rumieńcem.

— Cóż mam panu powiedzieć?

— Być może — ciągnął tamten badawczo — być może, iż ciąży ci obowiązek pozostania tutaj przez całe życie? Być może, że marzyłeś o tem, by wyjechać daleko, widzieć piękne miasta....

— Nie sądzę. Ilekroć bywałem w mieście, zawsze tęskniłem za wsią. A gdy widzę inne wsie, zawsze z miłością myślę o tej, w której się urodziłem. Ja jestem wieśniakiem, czuję to dobrze. Ale myślę... Tak, myślę niekiedy, że gdy Mak potrafi mię zastąpić, lepiej będzie, że ja, chociaż na krótko, pójdę w świat.

— A mama?

— O, biedna mama powie tylko: — Idź, jeśli tego pragniesz. — Być też może, że powie: — Dobrze robisz.

— Ach, czy istotnie?

— A potem, przecież mama ma Jasia, który ją ubóstwia. A gdy za kilka lat Łukasz będzie mógł zabrać sobie Kalinę, Jasio pozostanie tu z Różyczką i uwiją sobie gniazdko... On będzie doskonałym ojcem dla najmłodszych.

— Doskonale! — zawołał stary pan z goryczą. — Trzeba przyznać, że pomyślałeś o wszystkiem! Nie pozostaje mi tedy nic innego, jak prosić cię, abyś poczekał jeszcze tyle czasu, ile go ja jeszcze pożyję na świecie. Boć zdaje mi się, że dałem ci do zrozumienia, że jesteś mi potrzebny i że...

— Panie hrabio! — szepnął biedny chłopiec przybity.

— I że z pośród dwu egoizmów, egoizm starca, teraz już bezsilnego, jest łatwiej wybaczalny, niż egoizm młodzieńca, będącego w pełni swych sił i mającego całe życie przed sobą. I gdy ktoś wie, iż szanują i kochają go tak, jak ja kocham ciebie...

— Panie hrabio! — prosił jeszcze Cis, zmieszany i skruszony: — Mówiłem tylko....

— Powiedziałeś tylko, że pragnąłbyś odjechać daleko.

— Ale poto, aby powrócić silniejszym i spokojniejszym...

— Ach! — zawołał starzec, nagle udobruchany. — Zatem, by powrócić silniejszym i spokojniejszym... Więc to tak! Podróże są korzystne dla zdrowia. Ale niekiedy bywają szkodliwe: odrywają od rodziny, od starych przyjaciół, rozluźniają węzły uczucia. Niekiedy mogą też stopniowo rozerwać je na zawsze....

— Ach nigdy, nigdy! — zawołał Cis z takim zapałem, iż tamten się uśmiechnął.

— Dobrze więc. A teraz pomówmy o czem innem. Sądzę, iż zanim spakujesz swoje manatki, mogę cię uważać za gotowego pomóc mi czynem i radą, jak zazwyczaj, prawda?

Cis zrozumiał wyrzut, ukryty w tych słowach i oczy jego zaszły łzami.

Spójrz no tutaj — rzekł hrabia, otwierając szufladę biurka i przerzucając zawarte w niej papiery. — Jeszcze ci nie pokazałem tego pisma, które złożono u mnie ubiegłej zimy.

„Posłuszna nieubłaganej woli, z boleścią porzucam dom, gdzie miałam nadzieję żyć. Porzucam go na zawsze. Nie opłakuję jego bogactw i dogodności. Pragnęłam jedynego bogactwa: uczucia.

Jest teraz mojem gorącem życzeniem, aby wszystko, co mi się należy z prawa — i czego wyrzekam się ostatecznie — zostało oddane tym, którzy są w możności sprawić, aby to bogactwo zakwitło i wydało owoce, to znaczy rodzinie licznej, pracowitej i zacnej.

Co się mnie tyczy, renta, którą otrzymuję i którą, wiem to, będę otrzymywała nadal, będzie aż nadto wystarczającą, abym mogła żyć w klasztorze, gdzie pozostanę, poświęcając się biednym dzieciom, pozostawionym tam i, jak ja, pozbawionym czyjegokolwiek przywiązania".

Cis przeczytał pismo i oddał je, nie śmiąc odetchnąć.

— Nic nie mówisz? — zapytał starzec z uśmiechem.

— Boję się, że to, co chciałbym powiedzieć — odparł młodzieniec powoli i szczerze — jest zbyt śmiałe.

— Powiedz jednakże.

— Chciałem powiedzieć, że nie rozumiem, zgoła nie rozumiem, jak pan hrabia mógł przez tyle miesięcy...

— Nie odpowiedzieć na to pismo, co? Z pewnością tak samo odpowiedziałby mi twój ojciec. Cóż chcesz? Starzy ludzie myślą długo, zanim coś postanowią... Widzisz, iż w końcu dałem odpowiedź i mam nadzieję, iż wypadła ona także po twojej myśli — zakończył hrabia z uśmiechem nieco złośliwym. — Ale teraz musimy powziąć postanowienie co do drugiego punktu listu, w którym jest mowa o nieużytecznem bogactwie i t. d., i t. d.

Teraz starzec spoglądał na Cisa z wyrazem najszczerszego przywiązania. Ironja i niepokój zniknęły z jego twarzy, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

— Ależ od chwili, gdy hrabianka ku ogólnej radości jest tutaj, na swojem miejscu, reszta listu nie ma już znaczenia!

— W tem mylisz się zupełnie, mój chłopcze. Marja nie zmieniła swego zdania pod tym względem; ona właśnie przypomniała mi o tem dziś rano. Ach! Ta młodzież! Wcale się nie wstydzi mówić wyraźnie. Przypomniała mi dziś rano, że dobiegam ośmdziesiątki i, że dzień, w którym mnie nie stanie... Nie mówię, żeby takie były słowa, ale sens. A zresztą, ma słuszność, najzupełniejszą słuszność. Poniekąd odpowiada to również mojemu najserdeczniejszemu życzeniu... Więc co ty o tem powiesz?

— Panie hrabio, nie rozumiem dobrze.

— Postaraj się zrozumieć, mój synu.

— A gdybym zrozumiał, odpowiedź byłaby zawsze ta sama — oświadczył Ciś, przezwyciężając wzruszenie. — Nietylko to, ale tak długo jak ja żyję i jestem tutaj, mam nadzieję, iż nikt nie zgodzi się, aby ta istota wyzbyła się na rzecz innych, z pewnością mniej godnych...

— Pozostaw górne słowa, Cisu. Nie chodzi o zasługi... Nie chodzi również o wyzbycie się, ani o dar. Bogactwo, jakie ja mógłbym ci zaofiarować i które ty mógłbyś przyjąć, nie jest darem: jest depozytem i poważną odpowiedzialnością. Bogactwo, o ile jest w rękach ludzi najlepszych, jest własnością wszystkich; ale w nieudolnych rękach, staje się ubóstwem. Należy mieć silne barki, by udźwignąć ten ciężar i czyste sumienie, by zawsze móc z niego zdać rachunek tym, co przyjdą po nas.

— Nie, panie hrabio, nie. Nie mogę, nie mogę nawet myśleć o tem! Wstydziłbym się.

— Nie? niechaj tak będzie. Sprawiasz mi wielką boleść. Odmawiasz za siebie i za innych, którzy jednak pewnego dnia mogą ci z tego uczynić zarzut. Ale jeśli mówisz, nie...

— Jakżeż pan myśli — zawołał Cis wzburzony — jakże pan może pomyśleć, że ja mógłbym przyjąć to, co z prawa należy się innym? Czyż utraciłem dzisiaj cały pański szacunek?

Oparł łokcie na kolanach, objął głowę rękoma i zadumał się. Nie widział iż ktoś, cicho wszedłszy do gabinetu, stanął za plecami starca i czule objął go za szyję.

Ale wstrząsnął nim słodki głos, choć prawie nie zrozumiał słów.

— Należy przyjąć, Cisu — mówił słodki głos. — Dla dobra rodziny, przez miłość dla dziadka, należy przyjąć... A także i dla mnie.

Wtedy Cis podniósł głowę, by lepiej słyszeć. Słuchał tak, jak się słucha muzyki, płynącej wprost do serca. To, co ujrzał w oczach Marji, powiedziało mu wreszcie jasno o tem, co jest, i o tem, co będzie.

KONIEC.

15,00